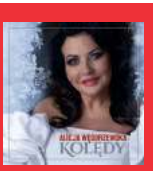
cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #186 12/2021– 01/2022

W NUMERZE PŁYTA CD
Alicja Węgorzewska
KOLĘDY



PIOTR LISIEWICZ
POLSKI SPORT POD BAGNETAMI. ŚLĄSKIE DZIEŁO ALOJZEGO BUDNIOKA

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

FOR YOU

NIEMCY–ROSJA ZABÓJCZA OŚ DLA EUROPY

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI STUDIO. FOT. BERND VON JUTRCZENKA/PAP/DPA, ADOBE STOCK (2)

ISSN 1895-4960

eprasa.pl 780403eca0

TEMAT NUMERU 6–22



Berlin–Moskwa – zabójcza oś dla Europy / 6

IDEE 24–38



Trzech szaleńców sprzed Marksa / 24

HISTORIA 40–64



Polski sport pod bagnetami. Śląskie dzieło Alojzego Budnioka / 40

KRAJ 66–75



Odwróć się, a zginie / 66

ŚWIAT 80–98



Mówią o nim „charoszyj dom” / 80

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Grochmalski
Berlin–Moskwa – zabójcza oś dla Europy /6

Antoni Rybczyński
Sojusz dwóch czarnych orłów /14

Ryszard Czarnecki
Widmo Rapallo krąży nad Europą /19

Dawid Wildstein
Wygraliśmy i przegraliśmy /20

IDEE

Jakub Augustyn Maciejewski
Trzech szaleńców sprzed Marksa /24

Ewa Polak-Pałkiewicz
Obcy. Człowiek zbuntowany w czasach zarazy /30

Małgorzata Matuszak
Nowy Rok, nowy początek /36

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Polski sport pod bagnetami. Śląskie dzieło Alojzego Budnioka /40

Dariusz Jarosiński
Olsztyn solidarny z Węgrami /46

Tomasz Łysiak
Termopile – przesmyk do Wielkości /52

Agnieszka Kowalczyk
Z Zawiercia do brazylijskiej puszczy. O wyprawie Michaliny Isaakowej /56

Józef Gollenhofer
Mochnacki wiał ku narodowi zdrowie /62

KULTURA

Olga Doleśniak-Harczuk
Odwróć się, a zginie /66

Sylwia Krasnodębska
Polskie głosy w Metropolitan Opera /70

Krzysztof Karnkowski
Krew na placu zabaw /72

ŚWIAT

Stefan Czerniecki
Mówią o nim „charoszyj dom” /80

Hanna Shen
Chińska machina wpływów w zachodnim świecie nauki /87

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /92

oprac. Antoni Rybczyński
Ukraina – niedokończona sprawa Putina /94

eprasa.pl 780403eca0

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
Przytwierdzeni do osi
NA POCZĄTEK 3



Marcin Wolski
Między Frycem a Katarzyną
PAPKULTURA 23



Małgorzata Matuszak
Czym jest... agapa
KATECHIZM INTELIGENTA 39



Ryszard Czarnecki
Prześladowanie chrześcijan i głośne milczenie UE
CZARNECKO TO WIDZĘ 65



Marek Kalinowski
Zapis zwycięstwa
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 75



Krzysztof Wołodźko
Dajmy mu żyć. Śpiewać i grać
DZIENNIK LEKTUR 76



Olga Doleśniak-Harczuk
Wiele hałasu o federalizm
Z GLOBALNEGO TYGLA 90



Tomasz Sakiewicz
W oczekiwaniu na wojnę
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska

Przytwierdzeni do osi

Największa partia opozycyjna w Polsce – wraz ze swym liderem – od lat, a być może po prostu od swego zarania, wisi na osi Berlin–Moskwa. Jej polityczne działania zdają się być pochodną tego układu, a kariera samego Tuska – efektem konsekwentnej wierności interesom obu mocarstw.

A tak hybrydowy na granicę od strony Białorusi ujawnił największą słabość naszego państwa – niemal nieograniczoną możliwość rozgrywania nas, Polaków. Ów front warszawski, o którym kilka tygodni temu mówił na łamach „GP" wicepremier Jarosław Kaczyński, okazuje się znacznie groźniejszy, niż mogło się wydawać. Bez wątpienia totalność opozycji jest doskonałym podglebiem do maksymalizowania podziałów społecznych i ich radykalizowania. Sądzę jednak, że bardzo wielu z nas miało nadzieję, iż bezpośrednie zagrożenie bezpieczeństwa państwa jest sprawą mającą potencjał jednoczący. I na gruncie ocen społecznych ten mechanizm zadziałał. Zdecydowana większość obywateli RP popiera stanowcze działania na granicy, solidaryzuje się z broniącymi jej funkcjonariuszami i żołnierzami. O dziwo, takie nastroje panują także wśród najmniej przychylnych rządowi najmłodszych wyborców. Mimo to najważniejsza partia opozycyjna jedynie koryguje swój kurs w sprawie ataku hybrydowego, ale nie rezygnuje z jawnie antyrządowego przekazu w tej sprawie, a wspierające ją środowiska medialno-celebryckie wręcz podkręcają emocje.

Platforma Obywatelska od pierwszych dni zajść na naszej wschodniej granicy była i jest nie mniej zajadła w atakowaniu i sabotowaniu działań obronnych jak propaganda Mińska i Moskwy. Sprzyjające jej media i zastępy mniej lub bardziej oszalałych aktorów czy piosenkarzy formułowały wobec polskich żołnierzy czy pograniczników dosłownie takie same oskarżenia jak media Łukaszenki czy Putina z ich najbardziej antypolskimi personami. Spójrzmy na recepty partii Tuska na sytuację na naszej wschodniej granicy. Gdyby zebrać je w całość, brzmiałyby one tak: wpuścić zwiezionych przez Łukaszenkę ludzi, nie umacniać granicy, nie budować zapór, nie wprowadzać stanu wyjątkowego, czyli dopuścić każdego na teren operacji przeciwko Polsce, i jednocześnie bić na alarm: domagać się od wszystkich pomocy. Uruchamiać Unię, ściągać NATO i prosić, by to szefowa Komisji Europejskiej do spółki z kanclerz Niemiec czy kimkolwiek jeszcze innym rozwiązywały nasz problem. Pomijając fakt, iż to działanie kompletnie nielogiczne – skoro nie bronimy granicy, to po co nam NATO? – to jest ono zabójcze dla naszego statusu na arenie międzynarodowej. Gdyby scenariusz kreślony chaotycznie przez przedstawicieli opozycji wszedł w życie, Polska zostałaby zredukowana do poziomu państwa niesamodzielnego. Klienta oczekującego pomocy. Celowo używam słowa

> Platforma Obywatelska od pierwszych dni zajść na naszej wschodniej granicy była i jest nie mniej zajadła w atakowaniu i sabotowaniu działań obronnych jak propaganda Mińska i Moskwy.

„klient", bo tak jak klient ma obowiązek zapłacenia za towar czy usługę, tak i my nie otrzymalibyśmy żadnego wsparcia za darmo. Totalna opozycja zaproponowała totalną nieskuteczność.

Tymczasem strategia obrana przez obóz rządzący okazała się skuteczna nie tylko na polu działań obronnych na granicy, ale przede wszystkim w odbiorze międzynarodowym. Z państwa biorcy bezpieczeństwa staliśmy się państwem bezpieczeństwo dającym – zarówno sobie, w oparciu o własne zasoby, jak i innym. To potężny kapitał, o którym bardzo rzadko wspomina się w polskiej debacie publicznej. W okładkowym tekście tego numeru profesor Piotr Grochmalski cytu-

eprasa.pl 780403eca0

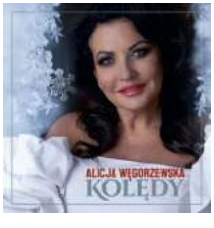
je jedną z analiz George'a Friedmana podkreślającego nieuchronność oparcia się USA na Polsce, strategicznym państwie regionu. Otóż dzięki polityce wobec ataku białorusko-rosyjskiego Rzeczpospolita jako sojusznik udowodniła swoją sprawczość. To zaprocentuje w przyszłości.

A bez wątpienia w Europie rozpoczęły się niebezpieczne czasy. Plan odzyskania wpływu na państwa byłego bloku wschodniego wkracza w decydującą fazę. Ten etap nie byłby jednak możliwy, gdyby nie intensywna współpraca na linii Berlin–Moskwa. Najbardziej niekorzystnej i groźnej dla naszego kontynentu. Bardzo dokładnie analizuje to wspomniany przed chwilą profesor Piotr Grochmalski. Moskwa nie miałaby potencjału siłowego przejmowania państw, gdyby nie polityka Niemiec.

Warto jednak zapytać o powody polityki Tuska i jego partii wobec ataku na bezpieczeństwo RP. Czy totalność w byciu opozycją tłumaczy antypaństwowy kurs? Do pewnego stopnia zapewne tak. Platforma stała się poniekąd zakładnikiem nienawiści do przeciwników politycznych. Takie reakcje wytresowała u ogromnej części swoich wyborców i różnego rodzaju społecznych sojuszników. Zmiana nie byłaby zrozumiana, a być może zostałaby potraktowana jako kapitulacja. Nie bez znaczenia jest także upatrywanie w zagranicznych interwencjach jedynej szansy na odzyskanie władzy w Polsce. Znaczna część polityków PO postrzega relacje wewnątrz Unii Europejskiej jako decydujący czynnik wpływu na polskich obywateli podczas najbliższej kampanii wyborczej. W ich ocenie wspieranie rządu Zjednoczonej Prawicy w sprawie obrony granicy mogłoby nie spotkać się ze zrozumieniem ich unijnych dobrodziei. Mimo wszystko oba zjawiska zdają się nie docierać do istoty sprawy, lecz być skutkiem – nie przyczyną.

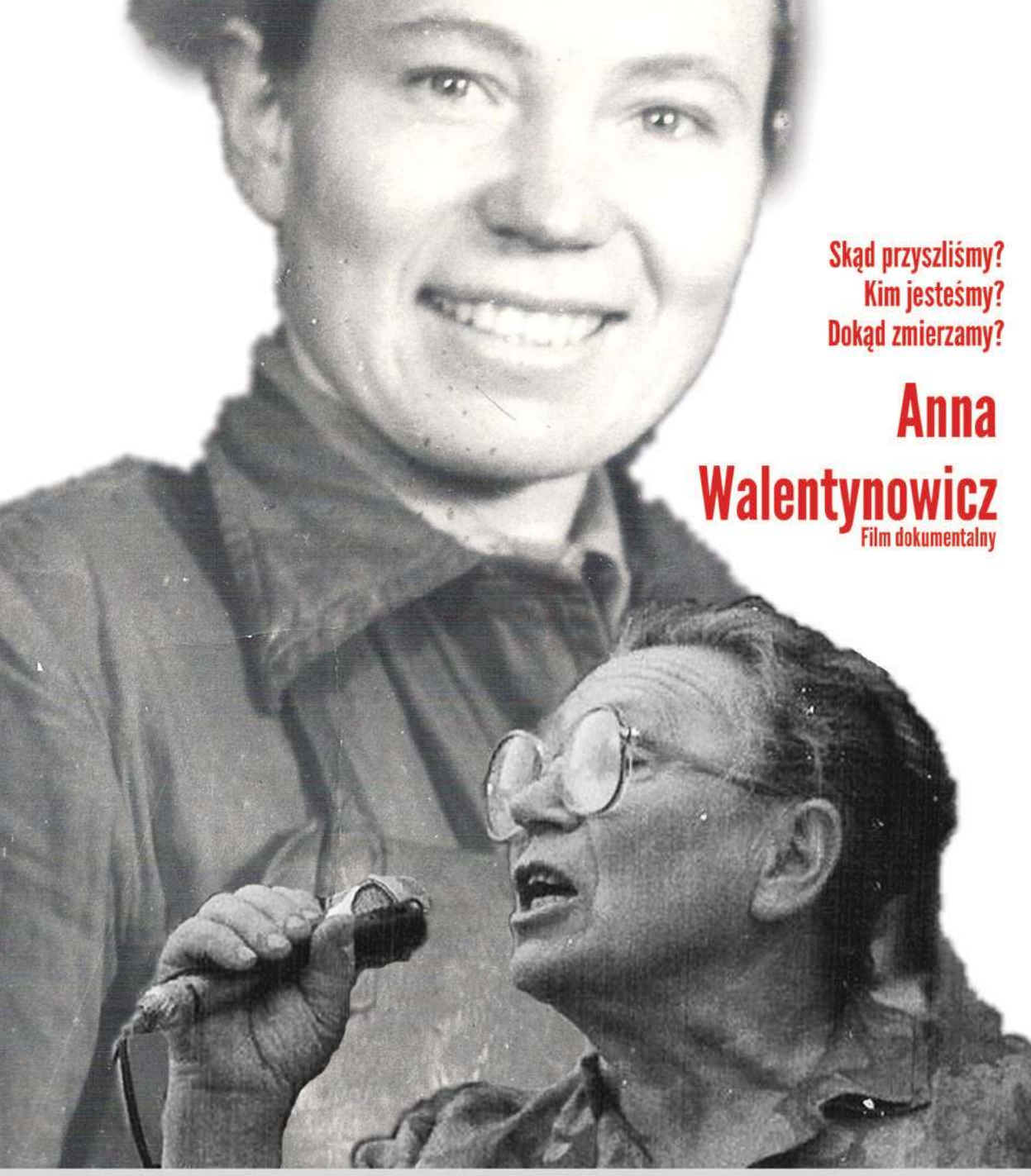
Największa partia opozycyjna wraz ze swym liderem od lat, a być może po prostu od swego zarania, wisi na osi Berlin–Moskwa. Jej polityczne działania zdają się być pochodną tego układu, a kariera samego Tuska – efektem konsekwentnej wierności interesom obu mocarstw. Jeśli spojrzymy na dokonania byłego premiera i jego ugrupowania w sytuacjach kryzysowych, będących bezpośrednim zagrożeniem bezpieczeństwa naszego państwa, to można bez problemu udowodnić tezę, iż za każdym razem aplikował Polsce totalną nieskuteczność w realizacji interesu Rzeczypospolitej.

Pod rządami Tuska Platforma wyrosła na realnie najbardziej prorosyjską formację polityczną w Polsce. Dowodzą tego czyny, a nie deklaracje słowne. 2008 rok, atak na Gruzję – przedstawiciele PO wyszydzają międzynarodową akcję prezydenta Kaczyńskiego dokładnie tak, jak czyniła to rosyjska propaganda. Warto dodać, że śp. Prezydent dokonał wówczas rzeczy wielkiej, która bez wątpienia jest jednym z największych sukcesów polskiej dyplomacji po 1989 roku i dała początek budowaniu sojuszu państw naszego regionu. Rok 2010 i śmierć delegacji RP. Premier Tusk nie tylko odstępuje od ochrony samolotu rządowego RP i osób nim podróżujących, lecz także od pierwszych godzin po tragedii synchronizuje swój przekaz z narracją Kremla w tej sprawie. Oddaje badanie wraku i ciał Rosjanom, rezygnuje z przysługującego Polsce prawa międzynarodowego. Nadzorowane osobiście przez niego służby nie tylko odstępują od ochrony bezpieczeństwa RP, lecz wręcz wchodzą w niewyjaśnione do dziś relacje ze służbami Federacji Rosyjskiej. Rok 2014 – atak Rosji na Ukrainę. Rząd kierowany przez Donalda Tuska ustępuje osi Berlin–Moskwa i nie walczy o udział w ustaleniach dotyczących sytuacji za naszą wschodnią granicą, która jest przecież bezpośrednio związana z naszym bezpieczeństwem. Mającego podobno taki posłuch na Zachodzie Tuska nie ma przy stole w Mińsku. Klamkę od zewnątrz kazano oglądać szefowi jego dyplomacji. Warto pamiętać, iż podczas wolnościowego zrywu na Ukrainie Sikorski asystował swemu niemieckiemu odpowiednikowi w misji obrony popieranego przez Moskwę Janukowycza, strasząc ukraińską opozycję, że zapłaci życiem za walkę o niepodległość. To jedynie skromny fragment katalogu realizowania przez Platformę i jej lidera interesów układu Berlin–Moskwa. A przecież owo uwikłanie miało odzwierciedlenie także w polityce energetycznej, wojskowej i gospodarczej. Można zakładać, że gdyby PO w 2015 roku nie utraciła władzy, kluczowy projekt dla Berlina i Moskwy, czyli Nord Stream 2, byłby już uruchomiony. A Polska wraz z całym regionem nie miałaby alternatywy wobec dostaw energii z Rosji. ■



Choć temat okładkowy „Nowego Państwa" nie wprowadza w atmosferę świąt – wielka polityka brutalnie łomocze do drzwi i nawet w tak wyjątkowym czasie musimy skupić się na wyzwaniach, które stoją zarówno przed Polską, jak i całą Europą – to nie zapominamy o błogosławieństwie Cichej Nocy. Mamy dla Państwa wyjątkową płytę z kolędami w wykonaniu Alicji Węgorzewskiej. Kolędy to wielka modlitwa do Chrystusa Narodzonego. Życzymy wszelkich łask i dobra od Bożej Dzieciny.

eprasa.pl 780403eca0



Skąd przyszliśmy?
Kim jesteśmy?
Dokąd zmierzamy?

Anna Walentynowicz

Film dokumentalny

Mecenas filmu

ORLEN

Współfinansowanie

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

Patronat medialny

Kurier365.pl

Nasza HISTORIA

Jedynka Polskie Radio

Nowe Państwo

niezależna.pl

Gazeta Polska

obywatelska

Gazeta Polska codziennie

Gazeta Polska VD

eprasa.pl 780403eca0

Piotr Grochmalski



BERLIN–MOSKWA
zabójcza oś dla Europy

Nowy rząd niemiecki zamierza przebudować Unię Europejską w unijne państwo federalne. Berlin i Moskwa owładnięte są dziś duchem rewizjonizmu. Historia zatacza koło. Niemcy i Rosja, które wywołały wspólnie największą katastrofę w dziejach ludzkości, znów zabierają się do realizacji nowego porządku w Eurazji. Dziś FRN i FR łączy silna, strategiczna oś energetyczna. To niemieckie pieniądze za gaz z Nord Stream 1 od dekady finansują rozbudowę rosyjskiej armii, która zagraża Ukrainie, Polsce i państwom Trójmorza. Służą też one korumpowaniu na ogromną skalę europejskiej klasy politycznej.



ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI STUDIO. FOT. BERND VON JUTRCZENKA/PAP/DPA. ADOBE STOCK (2)

eprasa.pl 780403eca0



Ilustracja

eprasa.pl 780403eca0

Ta nowa epoka w relacjach Berlina z Moskwą zaczęła się za rządów kanclerza Gerharda Schroedera z SDP. Anna Kwiatkowska-Drożdż z OSW zauważa, iż: „Tamten moment to była swoista cezura. Nastąpił koniec samobiczowania, uznano, że rozliczenie z przeszłością właściwie się zakończyło, a to w Niemczech wielka i ważna sprawa. [...] Niemcy uznali, że mają prawo dbać o własne interesy". To wówczas odnowiona została też geopolityczna oś Berlin–Moskwa.

Korupcja jako broń strategiczna

Putin już 16 czerwca 2000 roku, a więc zaledwie kilka miesięcy po swoim zaprzysiężeniu na prezydenta FR, jedzie do Berlina. Proponuje Schroederowi strategiczne partnerstwo. Do jesieni 2005 roku spotkają się ponad 30 razy. Dominuje sprawa Nord Stream. W lutym 2004 roku do akcji wkracza Dresdner Bank, oferując doradztwo finansowe projektu. Koszty okazują się pięć razy większe od zbudowania w Polsce drugiej nitki gazociągu jamalskiego (pierwsza została uruchomiona w 1999 roku). Ale dla FRN i FR liczy się stworzenie nowej, energetycznej osi pomijającej Polskę. Putin naciska na pośpiech. W 2005 roku, we wrześniu, odbywają się wybory w Niemczech. Dziesięć dni przed ich terminem, 8 września, przybywa do Berlina i podpisuje porozumienie o rządowej współpracy w sprawie Nord Stream. Wydarzenie to miało się odbyć w październiku, ale – pod presją gospodarza Kremla – zdecydowano się je przyspieszyć.

Jak zauważa duński dziennikarz śledczy Jens Høvsgaard: „Po porażce w wyborach i zaledwie na dziesięć dni przed wycofaniem się z polityki, Gerhard Schröder zapewnia, jeszcze jako funkcjonujący kanclerz Niemiec, gwarancję kredytową w wysokości 7,5 mld euro dla Nord Stream". 11 listopada 2005 roku ustępuje z urzędu i otrzymuje od Rosji ofertę prezesa Nord Stream. Jego następczyni, kanclerz Merkel, przez pół roku nie wie nic o udzielonych gwarancjach kredytowych. Ale wie o nich Frank-Walter Steinmaier, który był szefem Urzędu Kanclerza za Schroedera, a w ekipie Merkel odpowiada za politykę zagraniczną. Sam Schroeder, w komentarzu dla prasy, stwierdzi, że „ta oferta pracy to zaszczyt". W praktyce okazało się, że kupienie jednego z najważniejszych polityków w Europie nie spotkało się z żadną reakcją Berlina. To Niemcy otworzyły Putinowi drogę do masowego procederu korumpowania politycznych elit Europy. Korupcja użyta została jako broń strategiczna – Schroeder, były premier Finlandii Paavo Lipponen, były kanclerz Austrii Wolfgang Schüssel, są dziś symbolami skutecznej maszyny korupcyjnej Kremla, która masakruje demokracje europejskie i ośmiesza unijny dyskurs o praworządności. Każdy z nich w spektakularny sposób dał się kupić Putinowi. Do nich dołączają następni – w marcu 2021 roku była szefowa austriackiego MSZ, Karin Kneissl, gorąca zwolenniczka Nord Stream 2, weszła w skład Rady Dyrektorów koncernu Rosnieft, gdzie zasiada już Schroeder, a w lipcu 2021 roku były szef francuskiego rządu, François Fillon, został nominowany do zarządu rosyjskiej państwowej firmy Zarubieżnieft'. Kneiss odgrywała istotną rolę w zakulisowych grach o przeforsowanie Nord Stream 2 i wspierała oś Berlin–Moskwa. Za swoje usługi uzyskała solidną łapówkę – roczną pensję w wysokości 500 tys. dolarów.

Co to jest „schroederyzacja"

Twarze skorumpowanych europejskich polityków mają zabić w rosyjskim społeczeństwie sens walki o demokrację takich ludzi jak zamordowany pod oknami Kremla Borys Niemcow czy więziony w Prokowie lider opozycji Aleksiej Nawalny. Putin dwukrotnie próbował go zamordować – za walkę z korupcją. Zakończenie Nord Stream to nie tylko domknięcie osi Berlin–Mokswa i ukazanie nowych, geopolitycznych ambicji Niemiec i Rosji. To także sukces projektu skryminalizowania na ogromną skalę wpływowej części europejskich elit. Prezydent FR jest największym na świecie symbolem korupcji. Według „Harvard Political Review", złupił on Rosję na sumę od 60 do 200 mld dolarów. Taki jest jego „prywatny" majątek. Ale Puitn stworzył też największą korupcyjną międzynarodówkę, której wizytówką jest Gerhard Schoeder. Vladislav Surkov, doradca prezydenta Rosji Władimira Putina, stwierdził, że: „Zagraniczni politycy mówią o ingerencji Rosji w wybory i referenda na całym świecie. W rzeczywistości sprawa jest jeszcze poważniejsza: Rosja ingeruje w twoje mózgi, zmieniamy twoje sumienie i nic nie możesz na to poradzić". Putin wydaje więcej na skarpetki, niż kosztuje go były kanclerz Schoeder. Senator USA Sheldon Whitehouse stwierdził, iż: „Tam, gdzie Rosja może działać w ciemności, rosyjscy agenci systematycznie wykorzystują demokratyczne instytucje do zdobywania wpływów [...] wykorzystując korupcję".

Schroeder dorobił się przydomku Russlanddeutsche – „rosyjski Niemiec". Zanim Kreml go kupił, służby doskonale rozpracowały jego słabe punkty i jego obsesyjną wrażliwość na ubóstwo. Jego ojciec zginął na froncie w Rumunii podczas II wojny światowej. Żyli w baraku. Matka pracowała jako sprzątaczka. Utrzymywała pięcio-

eprasa.pl 780403eca0

ro dzieci. Swoją karierę zaczynał od pracy w stajni. Ogromne pieniądze, smak luksusu otaczający Putina, imponowały kanclerzowi. W rozpracowaniu Schroedera kluczową rolę odegrał Matthias Warning. W okresie zimnej wojny był agentem Stasi, który pozyskiwał informacje o zachodnioniemieckiej elicie finansowej powiązanej z Dresdner Bank. W 1989 roku został ściągnięty do Drezna, aby być łącznikiem z KGB. Putin, jako major Płatonow, zwerbował go wówczas. Warning, już jako obywatel RFN, współpracował z Putinem w Petersburgu, a kiedy ten został premierem, a potem prezydentem, były agent Stasi przeniósł się do Moskwy i został szefem rosyjskiej filii Dresdner Banku. Gdy z polecenia Putina i za zgodą Schroedera zaczął zarządzać całością projektu Nord Stream, był także umocowany w innych strategicznych korporacjach kontrolowanych przez siłowików. Był dyrektorem Transnieftu, największego na świecie dysponenta rurociągów. Był wiceprezesem Rosnieftu, członkiem zarządu szwajcarskiej spółki Gazpromu, członkiem zarządu Banku Rosja, głównego instrumentu prania brudnych pieniędzy przez otoczenie Putina, i członkiem zarządu VTB Group, firmy bankowo-inwestycyjnej wspierającej na świecie aktywność rosyjskich służb. W imieniu Putina kontrolował masowy system korupcyjny. Jak wyjaśnia Michaił Krutikhin, rosyjski analityk i partner RusEnergy, „schoederyzacja to przekupstwo urzędników innego państwa, w tym przypadku Niemiec, tak, aby póki są politykami, kierowali się interesem obcego państwa i zagranicznej firmy, a następnie zostali za to nagrodzeni". Lista owych korumpujących się na naszych oczach europejskich polityków jest coraz dłuższa. Szwedzki analityk Anders Aslund, członek Atlantic Council, zauważył w 2012 roku na łamach „The Moscow Times", że Gazprom przypomina „syndykat zorganizowanej przestępczości". Jego istotnym elementem był, powołany jeszcze w czasach sowieckich, w 1990 roku, Gazprom Germania, na czele którego, przez dziesięciolecia, stał Hans-Joachim Gornig, były wiceminister przemysłu naftowo-gazowego w NRD. W Gazprom Germania Gornig zatrudnił na kluczowych stanowiskach agentów Stasi. Felix Strehober był dyrektorem finansowym, a Hans-Uve Kreher odpowiadał za kadry i organizację. Ta filia rosyjskiego koncernu posiada swe oddziały w 20 państwach w Europie, Azji i USA. Stworzyła też całą armię lobbystów w Brukseli, działających w ramach firmy GPlus Europe. Jej szef, Peter Wittm, był zastępcą stałego przedstawiciela Niemiec w UE, a wchodzący w skład zespołu Gregor Kreuzhuber był doradcą Guntera Verheugena.

▶ Fińskie wsparcie korupcyjne i lista Tittinena

Putin w swojej metodzie korupcyjnej wykorzystuje też dawne aktywa KGB. Tak było w przypadku Paavo Lipponena, którego nazwisko jest na liście byłych agentów Stasi. W 1990 roku niemiecki wywiad wojskowy, po przejęciu archiwów NRD-owskich służb, przesłał do fińskiego SUPO dokument zawierający nazwiska 18 osób – aktywnych agentów. Wszyscy byli czołowymi politykami fińskimi. Dlatego ówczesny szef służb, Seppo Tiitinen, zalecił prezydentowi Mauno Koivisto utajnienie sprawy. Aby nie dopuścić do skandalu, dokument został zatajony do 2050 roku. Dzięki temu politycy z tej listy nadal mogli funkcjonować w polityce. Jednak w 2011 roku Alpo Rusi w książce „Lista Tittinena" stwierdził, że na liście agentów Stasi i KGB znajdowali się dwaj socjaldemokratyczni premierzy Finlandii – rządzący od 1972 do 1982 roku Kalevi Sorsa i będący u władzy w latach 1995–2003 Paavo Lipponen, a w istocie agent o kryptonimie „Mungo" XV/326/71. Sorsa i Lipponen współpracowali ze Stasi i KGB od 1969 roku. W lipcu 2008 roku Gerhard Schroeder, po konsultacjach z Moskwą, zaprosił do Berlina Paavo Lipponena. Projekt Nord Stream napotkał wówczas w Finlandii na pewne problemy z uzyskaniem zgody środowiskowej. W spotkaniu w Berlinie, obok Schoedera, uczestniczył też Matthias Warning. Lipponen zgodził się zawalczyć o interesy Gazpromu. Rzecznik Nord Stream przekazał publicznie informację, że „Pan Lipponen zostanie doradcą odpowiedzialnym za kwestie środowiskowe i pozyskiwanie pozwoleń na budowę rurociągu w wodach Finlandii". Okazał się skuteczny. Gazprom wspierał też bliski współpracownik Lipponena, Antton Rönnholm, aktualny sekretarz Fińskiej Partii Socjaldemokratycznej. Na rzecz międzynarodowego syndykatu korupcji pracuje też aktywnie były premier Finlandii Esko Aho, który w 2017 roku trafił do zarządu największego rosyjskiego państwowego banku Sbierbank.

Ale skuteczność Putina wynika z otwartego tolerowania korupcji. Gdy Merkel poznała skalę szwindlu dokonanego w wielkiej tajemnicy przez Schroedera, nie wszczęła śledztwa. Nie tylko nie powstrzymała „schroederyzacji" Niemiec i Europy, lecz także ukręciła łeb aferze i otworzyła szeroko drzwi dla lawinowo postępującego korumpowania przez Kreml berlińskich elit. Gdy cały świat obserwował agresję Rosji na Ukrainę, 29 kwietnia 2014 roku w Petersburgu Putin urządził Schroederowi wystawne 70. urodziny. Na koszt firmy Nord Stream. W imprezie uczestniczyli premier Meklemburgii-Pomorza Przedniego Erwin Sellering (SPD), ambasador Niemiec w Moskwie Rüdiger Freiherr von Fritsch i rzecznik ds. polityki zagranicznej grupy parlamentarnej Unii w Bundestagu Philipp Missfelder z CDU. W tym czasie, gdy trwała libacja, od czterech dni w rękach se-

eprasa.pl 780403eca0

paratystów, wspieranych, finansowanych i dowodzonych przez rosyjskich agentów, pozostawała grupa siedmiu obserwatorów OBWE. 25 kwietnia, w Słowiańsku, uprowadzili oni trzech wojskowych z Niemiec i po jednym z Polski, Danii i Szwecji. Była to prowokacja Moskwy.

Porażony skalą zdrady i skundlenia niemieckich elit Jürgen Roth na łamach „Die Tageszeitung" pisał 29 kwietnia: „Dlaczego po prostu nie powiedzieć, że Gerhard Schröder powinien w końcu odejść w zapomnienie? Szkodzi tylko interesom politycznym demokratycznego społeczeństwa obywatelskiego. Albo jeszcze lepiej, jeśli już blokujemy konta czołowych popleczników Putina w Europie, dlaczego nie zrobić tego wobec czołowych niemieckich propagandystów, którzy przynajmniej pośrednio są na liście płac Kremla [...] moralne umieszczenie byłego kanclerza federalnego na czarnej liście [...] byłoby wyraźnym sygnałem demokratycznego społeczeństwa obywatelskiego. Wiara, że taki sygnał może nadejść, jest oczywiście utopijna". Roth miał rację. Najbardziej skorumpowany europejski polityk nadal odgrywa istotną rolę w niemieckiej polityce. Jest chodzącym dowodem na to, że opłaca się korupcja z Rosją, a polityk taki może liczyć na ochronę ze strony niemieckiego biznesu i środowiska politycznego. Gdy ważyły się losy projektu Nord Stream 2, Schroeder został zaproszony w lipcu 2020 roku do Bundestagu. Wystąpił jako ekspert na posiedzeniu komisji gospodarki Bundestagu. Człowiek, którego sumienie kupił na własność Putin, domagał się sankcji na USA za blokowanie budowy. A na początku stycznia 2021 roku, w wywiadzie udzielonym dla tygodnika „Spiegel", grzmiał: „Spójrzcie na Polskę i Węgry. Czy to wciąż demokracje, czy coraz bardziej autorytarne państwa?".

▶ Niemieckie ambicje zachęciły Rosję do agresji na Ukrainę

To niemieckie ambicje geopolityczne i realizacja Nord Stream 1 otworzyły drogę Rosji do agresji na Ukrainę. Ale rozwiązanie, które budowało strategiczny sojusz energetyczny Moskwy i Berlina, miało oczywiste, długofalowe, geopolityczne korzyści zarówno dla FRN, jak i dla FR. Stało się też zagrożeniem dla całego regionu. George Friedman w 2011 roku pisał: „Jeśli Niemcy i Rosja będą dalej zmierzać w stronę sojuszu, kraje pomiędzy Morzem Bałtyckim a Morzem Czarnym – tak zwane kraje Międzymorza – staną się nieodzowne dla polityki Stanów Zjednoczonych. Największym z nich i najkorzystniej strategicznie położonym jest Polska. Ma najwięcej do stracenia i doskonale o tym wie. Polacy znaleźli się w Unii Europejskiej, ale tkwią, jak tkwili, między Niemcami a Rosją. Co się stanie, jeśli te dwa kraje się sprzymierzą? Polska, jak i inne kraje Europy Wschodniej, jest przerażona możliwością ponownego wciągnięcia w strefę wpływów jednego lub obu historycznych wrogów".

Nord Stream jest taką rosyjsko-niemiecką pułapką, próbą odbudowy starego podziału geopolitycznego i marginalizacją znaczenia Międzymorza. W istocie Berlin pchnął Moskwę do brutalizacji relacji wobec Ukrainy. Póki nie było Gazociągu Północnego, Putin mógł się obawiać, że zbrojna agresja na sąsiada wiąże się z ryzykiem przerwania dostaw gazu przez Gazprom na Zachód poprzez magistrale biegnące przez Ukrainę. Pytanie podstawowe – jeśli Niemcy pchnęły Rosję do zmian terytorialnych w Europie (wobec Ukrainy), to czy nie wynikało to z jakichś chorych, wspólnych wizji dotyczących rewizji granic w Europie Środkowej? Determinacja, z jaką Angela Merkel walczyła przez lata o Nord Stream, zmusza do refleksji, o jakich wizjach terytorialnych Putin rozmawiał z kanclerz Niemiec.

Zaledwie kilka miesięcy po agresji Rosji na Ukrainę Berlin rozpoczął tajne negocjacje z Putinem na temat budowy Nord Stream 2. Na ostatnim etapie tego projektu, aby przełamać opór USA wobec Nord Stream 2, rząd Angeli Merkel, za plecami innych unijnych przywódców, zdecydował się nawet na finansową łapówkę, by przekupić Amerykanów. Berlin użył metody, którą dotąd posługiwała się Moskwa. Wydarzenie miało miejsce dwa tygodnie przed tym, jak agenci FSB podejmą próbę zabicia Aleksieja Nawalnego. Niemiecka organizacja ekologiczna Deutsche Umwelthilfe (DUH) upubliczniła 9 lutego 2021 roku dokument kompromitujący Berlin. Wynika z niego, że ówczesny niemiecki minister finansów w rządzie Merkel, a obecnie nowy kanclerz, Olaf Scholz, próbował 7 sierpnia 2020 roku, za cenę 1 mld euro, odciągnąć rząd Donalda Trumpa od nałożenia sankcji na budowę i eksploatację Nord Stream 2. W dokumencie skierowanym do amerykańskiego sekretarza skarbu, Stevena Mnuchina, oferował on deal – Niemcy wybudują na swoim wybrzeżu za 1 mld euro terminal LNG do odbioru amerykańskiego gazu ziemnego, w zamian USA wycofa się ze swojego sprzeciwu wobec Nord Stream 2. Olaf Scholz miał też zapewniać, iż uspokoi Polskę i Ukrainę. Ostateczna zgoda nowego prezydenta USA, Joego Bidena, na finalizację Nord Stream 2 otwiera Rosji, za zgodą Niemiec, drogę do agresji na cały obszar Trójmorza.

▶ Wspólne projekty ideologiczne

Ogromne pieniądze w szarej strefie, które wynikają z ciemnych interesów Berlina i Moskwy, wspie-

eprasa.pl 780403eca0

rają też wspólne projekty ideologiczne. Rosja dotuje sieć ośrodków w państwach europejskich, które lansują poglądy Aleksandra Dugina. Według niego, Moskwa i Niemcy mają stworzyć sojusz, który wypchnie z Europy USA i rozbije NATO. Doprowadzi też do upadku suwerennej Polski, Ukrainy i Białorusi. Zwycięstwo mają odnieść Rosja i Niemcy, dzięki stworzeniu „sieci eurazjańskiej" – narzędzia pozwalającego na prowadzenie nowoczesnego konfliktu z „siecią atlantycką". To dzięki cierpliwemu i skutecznemu tworzeniu i łączeniu tysięcy organizacji wzajemnie ze sobą powiązanych, przenikających się i rozsadzających od środka struktury społeczeństw zachodnich, Rosji uda się zrealizować wielkie cele geopolityczne – odbudować imperium, rozbić i podzielić między Berlin a Moskwę obszar Trójmorza, zneutralizować NATO, pozbawić Stany Zjednoczone wpływów na Starym Kontynencie, a w to miejsce stworzyć silną oś Paryż–Berlin–Moskwa, która zwasalizuje mniejsze państwa. Dugin uważa też, iż Rosja winna, przez sieć swoich wpływów, bezwzględnie zniszczyć wszelkie katolickie korzenie. Podkreśla, iż maksymalne osłabienie Polski winno być fundamentem stosunków rosyjsko-niemieckich.

Za rozwój sieci organizacji Dugina w Niemczech odpowiada Władimir Jakunin. W 1988 roku został pierwszym sekretarzem sowieckiej misji przy ONZ. W rzeczywistości był agentem KGB i pracował w I Zarządzie Głównym KGB w Nowym Jorku. Ale jego kariera nabrała rozpędu po dojściu Putina do władzy. Jeszcze w 1996 roku, wspólnie z Putinem, Władimirem Smirnowem i Nikołajem Szamanowem, stworzył spółdzielnię Dacza Ozero, która obejmowała ich majątki. Dzięki bliskim relacjom z Putinem, w 2005 roku został prezesem Rosyjskich Kolei, a w 2012 roku stanął na czele Międzynarodowego Związku Kolei. Ten zaufany człowiek Putina uznał, iż Dugin z jego euroazjatycką frazeologią doskonale nadaje się do jego planów. 1 lipca 2016 roku w Berlinie Jakunin otworzył ośrodek ekspercko-analityczny pod nazwą Instytut Badawczy „Dialog Cywilizacji". Związał go z Forum Niemiecko-Rosyjskim, w którym od lat odgrywał czołową rolę. Instytucja ta powstała jeszcze w 1993 roku. Dziś liczy ponad 400 osób, które działają na rzecz osi Berlin–Moskwa. Forum organizuje elitarne spotkania w Poczdamie, które zapoczątkował w 1999 roku były prezydent Niemiec, Roman Herzog. Założycielką i długoletnią przewodniczącą Forum była Alexandra Hrabina Lambsdorff. Zasiadała też w zarządzie Dialogu Petersburskiego – założonego w 2001 roku przez Putina i kanclerza Schroedera. Przewodniczyła również elitarnemu, międzynarodowemu klubowi La Redoute Bonn eV, w którym spotykał się korpus dyplomatyczny akredytowany w niemieckiej stolicy. W Radzie Powierniczej Forum Niemiecko-Rosyjskiego działał Manfred Stolpe, urodzony w Szczecinie w 1936 roku wpływowy polityk SPD, zaufany człowiek Schroedera, członek jego rządu. Wspierał Forum Klaus-Dieter Lehmann, urodzony w 1940 roku we Wrocławiu, wieloletni prezes Instytutu Goethego, a także Roland Berger, biznesmen i specjalista od marketingu politycznego. Jego ojciec, długoletni członek NSDAP, był dyrektorem finansowym Hitlerjugend. W Forum znaleźli też miejsce Lothar de Maiziere, ostatni premier NRD, tajny współpracownik Stasi, i Hartmut Mehdorn, urodzony w 1942 roku w Warszawie, który był odpowiedzialny za duże projekty, w tym budowę międzynarodowego lotniska Berlin-Brandenburg. Jakunin, zasiadając w Radzie Powierniczej Forum, odegrał niebagatelną rolę w wykorzystaniu tej organizacji do otwartego wspierania rosyjskiej agresji na Ukrainie. Przewodniczący Forum, Matthias Platzeck, wychowany w NDR-owskiej rzeczywistości, 18 listopada 2014 roku otwarcie wezwał do uznania za w pełni legalną aneksję Krymu dokonaną przez Rosję.

Kompleks wobec Polski

Jakunin, przez sieć swoich niemieckich powiązań, aktywnie wspierał też wizję Merkel przebudowy UE w niemiecki projekt i w atakach na Polskę. Zbigniew Grabowski w 1967 roku w „Europie Ojczyzn" pisał: „Niemcy jako kraj myślicieli, poetów i kompozytorów, przysłoniły Zachodowi wgląd w istotną psychikę niemiecką pełną kompleksów, pełną instynktu okrucieństwa, mroczną i ciemną". Ich obłuda – zdaniem Grabowskiego – pozostała po wojnie. Pisał: „Jest rzeczą zastanawiającą, że Niemiec przez tak długi czas uchodził w oczach Zachodu za człowieka opanowanego, flegmatycznego niemal: człowieka idealnie zrównoważonego, za symbol rozsądku, spokojnej, rzeczowej kalkulacji. Nie chciano przyjąć do wiadomości, że był on – i jest dalej – człowiekiem wybitnie emocjonalnym, porywczym, że ulega atakom »amoku«, że wpada w szał... Że jest apodyktyczny w swoich sądach, że nie znosi argumentacji przeciwnej i że to jego nastawienie wyrażało się od dawna w pięknym przysłowiu, że »jeżeli się ze mną nie zgodzisz jak brat, to rozwalę ci czaszkę«". Kompleks wobec Polski głęboko tkwi w pruskiej duszy Niemiec. Po trzecim rozbiorze Rzeczypospolitej, w okresie 1795–1806 ziemie polskie stanowiły prawie połowę Prus, a Polacy 40 proc. populacji tego państwa. Było więc ono, w wymiarze etnicznym, krajem niemiecko-polskim. Prusy miały wówczas dwie możliwości – uznać kulturową tożsamość Polaków i współtworzyć z nimi państwowość albo doko-

eprasa.pl 780403eca0

nać ich radykalnej asymilacji. To wówczas Prusacy uznają „polskość" za swoje fundamentalne zagrożenie. Stworzyli też stereotyp „dzikiego kraju", który dostąpił zaszczytu bycia cywilizowanym przez „niemieckiego ducha". Ten stereotyp narodu zacofanego, zepsutego moralnie, utrwaliła literatura pruska, a później stał się on elementem historycznej tożsamości pruskich Niemiec. Trudno jest znaleźć pruskiego polityka czy uczonego, który nie wyznawałby tej agresywnej niechęci do Polski i polskości. Henry Kissinger pisał, iż zjednoczone przez Prusy „Niemcy nie uosabiały ideałów dwóch pokoleń Niemców, dążących do stworzenia państwa konstytucyjnego i demokratycznego. [...] Legitymację czerpały z potęgi Prus, a nie z zasady narodowego samostanowienia". Dla Bismarcka i cesarza wśród największych wrogów II Rzeszy byli Polacy i Kościół katolicki.

▶ Projekt zjednoczenia Europy Zachodniej

Nie jest tak, iż obecna, bardzo agresywna wobec oponentów realizacja wizji pangermańskiej Europy jest efektem incydentalnej gry politycznej, rodzajem przypadkowego zawirowania lub chwilowego trendu, który zapanował w Berlinie. Jest to pragmatyczna strategia i wynika z obecnej sytuacji, a także historycznych resentymentów. Geopolityka znów zaczyna fascynować Niemców. Wracają do wizji gen. Karla Haushofera, który stworzył geopolityczne podstawy do paktu Ribbentrop–Mołotow. Haushofer wielokrotnie spotykał się z Hitlerem, a jego uczeń Rudolf Hess był jednym z najbliższych współpracowników Hitlera. Haushofer chciał przekształcić Europę w Pangermanię. Ale Berlin miał rządzić za pomocą pieniądza i dominacji swojej kultury. Należało przywrócić Niemcom ich centralne położenie i powiązać z nimi graniczne państwa Rosji, które potrzebują Niemiec jako „nauczyciela" i „gospodarczego przewodnika". Traktował II RP jako „nieporozumienie" geopolityczne. Podział ziem polskich między Niemcami a Rosją uważał za nieunikniony, bo II RP wybrała „wariant atlantycki" i stała się zakładnikiem polityki Anglii.

Konrad Adenauer, twórca powojennej Republiki Federalnej Niemiec, urodził się w 1876 roku i pamiętał czasy, gdy Bismarck był kanclerzem. Jak pisze Kissinger: „Bezapelacyjnie optował na rzecz Zachodu, nawet za cenę odroczenia zjednoczenia Niemiec". Adenauer tak wyjaśniał w 1956 roku długofalową strategię Niemiec: „Francja i Anglia nigdy nie będą potęgami, które można by porównać do Stanów Zjednoczonych lub Związku Radzieckiego. To samo dotyczy Niemiec. To pozostawia im tylko jedną drogę do tego, by mogły odgrywać decydującą rolę na świecie – a jest nią droga do zjednoczonej Europy". W konsekwencji w 1963 roku Adenauer i de Gaulle zawarli francusko-niemiecki traktat o przyjaźni. Miał się on stać podstawą pod projekt zjednoczenia Europy Zachodniej. Paryż miał być odpowiedzialny za polityczny wymiar projektu, a Niemcy za jego podstawy gospodarcze. Niemiecka stolica w Bonn miała gwarantować mocne zakotwiczenie się nowych Niemiec na Zachodzie. Paradoks polega na tym, iż Wspólnota Europejska powstała właśnie po to, by ostatecznie rozwiązać „kwestię niemiecką". Gdy doszło do zjednoczenia Niemiec, Kissinger prorokował: „Z czasem Niemcy zaczną domagać się większego udziału w decyzjach politycznych, do czego upoważnia ich potencjał ekonomiczny i militarny[...]: Tendencje te nie uwidocznią się w pełni, dopóki urząd kanclerza piastować będzie Helmut Kohl – spadkobierca tradycji Adenauera. Jest on jednak ostatnim politykiem wiernym tej tradycji. [...] Niemcy stały się tak silne, że istniejące instytucje europejskie nie gwarantują już równowagi między Republiką Federalną a jej partnerami w Europie". Jednak to już za Kohla zapadły kluczowe decyzje.

▶ W imię sojuszu Berlin–Moskwa. Wojna Merkel z Europą Ojczyzn

20 czerwca 1991 roku niemiecki Bundestag zadecydował o przeniesieniu stolicy z Bonn do Berlina. O wyniku głosowania przesądziło zaledwie 18 głosów. Przeniesienie o 595 kilometrów na wschód centrum zjednoczonego państwa oznaczało, iż zwyciężyła opcja Ratzla–Haushofera – geopolityczne odwołanie się do wizji Mitteleuropy. Spowodowało to powrót do dyskusji związanej z pruską perspektywą historyczną, tym bardziej uzasadnioną, gdy na czele państwa stanęła Angela Merkel wychowana w duchu komunistycznego DDR, przesiąkniętego pruskim autorytaryzmem. Zwracają na to uwagę Hans-Jürgen Bömelburg i Andreas Lawaty, gdy stwierdzają: „Po 1989/91 roku nowo utworzona republika berlińska została tym bardziej skonfrontowana z kwestią ciągłości i nieciągłości pruskich tradycji, że rządy sprawowano w niej z Berlina, otoczonego siecią pruskich zamków, miejsc pamięci i obiektów. Czy istnieje prusko-niemiecka ciągłość i jaką rolę odgrywa »pruskie dziedzictwo« w niemieckiej kulturze i polityce?". Decyzja o przeniesieniu stolicy z Bonn do Berlina radykalnie zmieniła też wektory sił w całej Europie i Europie Środkowej. W sposób naturalny pojawiły się pruskie resentymenty i nasiliła się tendencja do budowy osi Berlin–Moskwa.

Wspomniany geopolityk Aleksand Dugin otwarcie zaczął głosić ideę oddania Niemcom Królewca przez FR i wsparcia Rosji dla wskrzeszenia Prus. To także

eprasa.pl 780403eca0

w tym okresie Niemcy postawiły na nowy kulturkampf wobec Europy Środkowej, w tym głównie Polski. Rozpoczęła się, niemająca precedensu po wojnie, ekspansja mediów niemieckich w Europie Środkowej. Berlin też zaczął inwestować, wzorem pruskiego Fryderyka Wilhelma I, w ugrupowania polityczne w Rzeczypospolitej. Jeszcze przed włączeniem Polski do UE powstały silnie proniemieckie ugrupowania w naszym państwie. Wówczas też Berlin forsował powstanie konstytucji dla Europy. Ostateczny cios temu projektowi zadali obywatele Francji i Holandii, w referendach w 2006 roku. Gdy Niemcy objęły prezydencję nad UE w 2007 roku, Merkel przeforsowała traktat lizboński, który tylnymi drzwiami przepychał elementy konstytucji UE. Traktat wzmacniał pozycję Niemiec kosztem innych państw. Gdy dekadę później zaczął faktycznie obowiązywać, szybko okazało się, iż był to punkt krytyczny, który przesądzał o pojawieniu się, w przyszłości, konfliktów między rozpychającymi się o władzę Niemcami a Europą Ojczyzn. Janusz Mondry twierdzi, iż dla Niemiec głównym punktem odniesienia jest „budowanie nowej, »Wielkiej Europy«. Europapolitik zajmuje dziś centralne miejsce w polityce zagranicznej Berlina, ma specjalne miejsce w polityce globalnej Niemiec". Jądrem przyszłego, wyimaginowanego państwa europejskiego ma być Mitteleuropa. Jak podkreśla Mondry: „Co ważniejsze, polityka ta cieszy się mocnym wsparciem absolutnej większości społeczeństwa Niemiec". Znów uwierzyli w swoją dziejową misję. Jeśli nie zostanie powstrzymana ta rosnąca fala ich aberracji, po raz kolejny Europę czeka katastrofa.

W szwajcarskim, wpływowym „Neue Zürcher Zeitung" Felix E. Müller ostrzegał już w 2011 roku, iż „germanizacja Europy robi szybkie postępy". Autor zauważał, iż kanclerz Niemiec wykorzystuje ówczesny kryzys monetarny UE do realizacji długofalowego planu zdobycia hegemoni w Europie. Podkreślał, iż Merkel „zmierza do unii politycznej, która ma jej dać możliwość interwencji w wewnętrzne stosunki krajów członkowskich UE, przede wszystkim w Europie Południowej i Wschodniej". Z kolei wybitny niemiecki socjolog Ulrich Beck osiem lat przed otwartą wojną Merkel o niemiecką dominację nad UE pisał, iż Europa staje się niemiecka.

▶ Gra o suwerenność wobec polityki niemieckiej

Historia zatoczyła koło. Dwukrotnie z pruskiego Berlina wyszedł impuls podboju i dominacji Niemiec nad Europą. Marsz do Rzeszy Bismarcka zaczął się jednak od współudziału Berlina i Moskwy w zniszczeniu Polski i pozbawieniu jej na 123 lata suwerenności. Dzisiaj Berlin, kierując się inną retoryką antypolską, ponownie postanawia pozbawić nas niepodległości. Polacy są jedynym europejskim narodem, który umie czytać Niemcy i dostrzega, wcześniej niż inni, rodzaj owej aberracji, o której mówił Grabowski, a która zaczyna ogarniać Berlin. Tuż przed śmiercią prezydent Lech Kaczyński ostrzegał: „Nasza rozgrywka w Unii to w pewnym sensie gra o suwerenność wobec polityki niemieckiej". Ta nowa rzeczywistość europejska ma być zbudowana na osi Berlin–Moskwa. Ale jej współczesna budowa zaczęła się w czasach zimnej wojny od strategicznego zwrotu w 1969 roku, jakiego dokonał kanclerz Willi Brandt, owej Ostpolitik, która radykalnie zmieniała politykę Adenauera. Henry Kissinger, w tym czasie sekretarz stanu w ekipie prezydenta Nixona, tak o tym pisał: „Gdyby jednak Niemcy, kraj o największym potencjale gospodarczym w Europie, a zarazem państwo mające najwięcej pretensji terytorialnych, podjęły próbę zmiany powojennego ładu, konsekwencje tego byłyby niezwykle poważne. Kiedy więc Brandt ujawnił zamiar działania na własną rękę na Wschodzie, administracja Nixona doszła do przekonania, że lepiej będzie udzielić mu poparcia, bo próba przeciwdziałania pociągała za sobą ryzyko rozluźnienia więzi Republiki Federalnej z NATO i Wspólnym Rynkiem". Zasadniczym, długofalowym celem Ostpolitik było doprowadzenie do zjednoczenia Niemiec za zgodą ZSRS. Instrumentem temu służącym miało być odbudowanie wymiany gospodarczej. Była to w istocie miękka wersja geopolityki Karla Haushofera.

12 sierpnia 1970 roku został zawarty traktat moskiewski. Wszyscy kolejni niemieccy kanclerze kontynuowali zasadnicze założenia Ostpolitik. Ale już na początku najważniejszym porozumieniem gospodarczym był gazowy deal z 1970 roku między Berlinem a Moskwą. Gaz zaczął płynąć do Niemiec Zachodnich 1 października 1973 roku. Nie ma więc przypadku, że Olaf Sholz, który po Merkel pokieruje Niemcami, podczas prezentacji umowy koalicyjnej z Zielonymi i liberalną FDP stwierdził: „Chcemy odważyć się na więcej postępu", a więc sparafrazował słynne przemówienie socjaldemokratycznego kanclerza Willy'ego Brandta, twórcy Ostpolitik. Jerzy Targalski w jednej ze swych ostatnich publicznych wypowiedzi przed śmiercią, widział panujące w Polsce przerażenie spowodowane proniemiecką polityką Bidena i dostrzegał gotowość części naszej klasy politycznej, by paść pod nogi Berlinowi. Dostrzegał narastanie silnej chęci wśród naszych elit, by nie tylko w pełni zwasalizować się Niemcom, lecz także wyprzedzać ich życzenia w wyprzedawaniu naszej niepodległości. Ostrzegał, że wówczas „Polska w swym statusie kolonialnym spadnie tak nisko, że potem się już nie będzie mogła wycofać", gdy w polityce USA nastąpi kolejny okres ochłodzenia relacji z Berlinem. ■

eprasa.pl 780403eca0

SOJUSZ DWÓCH CZARNYCH ORŁÓW



W tekście opublikowanym przez niemiecki tygodnik „Zeit" z okazji 80. rocznicy napaści Niemiec na ZSRS, prezydent Rosji Władimir Putin podkreślał, że Moskwa i Berlin zyskują, gdy współpracują, a tracą, gdy ze sobą wojują. „Chciałbym w szczególności podkreślić, że historyczne pojednanie między naszym narodem a Niemcami na wschodzie i zachodzie Niemiec odegrało kolosalną rolę w kształtowaniu takiej Europy" – napisał prezydent Rosji. Wskazując na znaczenie współpracy gospodarczej, Putin zauważył, że umożliwiła ona „realizację wielu wspaniałych projektów, takich jak Nord Stream".

Antoni Rybczyński

„Cała historia Rosji i Niemiec świadczy o tym, że między Rosjanami a Niemcami nigdy nie było wrodzonej wrogości. Siły zła, a nie dobra, napuszczały ich na siebie, i miało to tragiczne następstwa”
Helmut Kohl, 1990

„Moskwa i Berlin nie mogą sobie pozwolić na dźwiganie ciężaru nieporozumień, pretensji, konfliktów i błędów z przeszłości, bo to obciążenie uniemożliwia nam rozwiązywanie bieżących problemów”
Władimir Putin, 2021



fot. PAVEL GOLOVKIN/POOL/PAP/EPA

Kilka miesięcy wcześniej prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier w wywiadzie dla „Rheinische Post” powiedział, że Nord Stream 2 jest ważny jako jeden z niewielu pozostałych „mostów” między Europą a Rosją. Przekonywał również, że Niemcy są zobowiązane do utrzymywania serdecznych stosunków z Rosją ze względu na miliony ludzi w Związku Sowieckim, którzy stracili życie po inwazji hitlerowskiej na ten kraj w 1941 roku. Uzasadnienie dobre jak każde inne, ale szkoda, że takiej pokory Berlin nie wykazuje choćby wobec Polski...

Berlin zachęcił Putina do agresji

Być może chodzi tylko o usprawiedliwianie wschodniej polityki Niemiec. Polityki zadziwiającej jak na ważnego członka NATO i głównego gracza UE. Polityki przyjaźni i współpracy ze zbrodniczym reżimem rosyjskim, ponad głowami mieszkańców Europy Środkowej i Wschodniej i ze szkodą dla całej Europy. Polityki wzmacniającej Putina i zachęcającej go do ekspansji. Polityki jakże przypominającej te okresy w historii, gdy Rosja i Niemcy (Prusy) były bliskimi sprzymierzeńcami. Od rozbiorów Rzeczypospolitej poczynając, na pakcie Ribbentrop–Mołotow kończąc. Zawsze oznaczało to tragedię dla narodów i państw Międzymorza. Oś Berlin–Moskwa we współczesnej odsłonie również nie wróży nic dobrego. Rządy Gerharda Schroedera i Angeli Merkel – łącznie 23 lata (!) – to złoty okres z punktu widzenia obecnego włodarza Kremla. Co jest w tym najgorsze w kontekście bezpieczeństwa Europy? Zacieśnianie współpracy gospodarczej (szczególnie energetycznej) Niemiec z Rosją oznaczające zwiększanie wpływów, także politycznych, Moskwy w UE – to oczywiste, wszak mówi się tyle o Nord Stream 2. Ale nie mniej ważne jest to, jak przez te wszystkie lata polityka Berlina pozwalała Rosji realizować politykę ekspansji (na zewnątrz) i niszczenia wolności i demokracji (wewnątrz). Ludobójcza pacyfikacja Czeczenii, napaść na Gruzję, napaść na Ukrainę i aneksja Krymu – temu wszystkiemu Niemcy nie zapobiegły, więcej, pozwoliły Putinowi uzyskać polityczne korzyści przy okazji kolejnych „pokojowych porozumień”. To Berlin, blokując jak się da, rozszerzanie NATO na wschód, zachęcił Putina do agresji. A w samej Rosji? Kolejne mordy polityczne, zniszczenie Chodorkowskiego, eliminacja Nawalnego. Berlin jakoś nigdy nie kruszył o to kopii. Nie przeszkadzało to w robieniu biznesu. A za czasów – kiedyś Busha juniora, a ostatnio Trumpa – Niemcy wręcz budowali sojusze z Rosją przeciwko USA. Wspólna walka z Amerykanami oznacza zaś próbę niszczenia więzi transatlantyc-

20403eca0

kich. A to z kolei oznacza działanie przeciwko bezpieczeństwu całej Europy – bo to USA pozostają jego głównym gwarantem, zarówno jako największe militarne mocarstwo świata, jak też jako filar NATO.

Polityka i psychologia

Niemcy są dla Rosji najważniejszym partnerem w Europie, kluczowym w określaniu wschodniej polityki całej UE, a także najważniejszym partnerem gospodarczym na całym Zachodzie – ustępując w obrotach handlowych Federacji Rosyjskiej jedynie Chinom. Ten podwójny status sprawia, że również dla Berlina relacje z Moskwą mają znaczenie szczególne, bo wzmacniają niewątpliwie pozycję Niemiec na Zachodzie. Od czasu zjednoczenia, a już szczególnie za rządów Gerharda Schroedera, a następnie Angeli Merkel, to Berlin nadawał ton polityce unijnej wobec Rosji, zarazem rozwijając dynamicznie relacje dwustronnie (idee „strategicznego partnerstwa" i „partnerstwa modernizacyjnego"). Aneksja Krymu i wojna w Donbasie musiały to zmienić, Berlin poparł nawet sankcje na Rosję, ale w wielu aspektach współpraca była kontynuowana, i to często ze szkodą dla innych krajów. Oczywiście największe znaczenie miały tu relacje przywódców, przez te wszystkie lata przechodzące ewolucję. Gdy po raz pierwszy Merkel poleciała z wizytą do Rosji, stary kagiebista Putin postanowił zagrać psychologicznie z następczynią Gerharda Schroedera. Do sali, w której rozmawiali, nagle wbiegł pies Putina, wielki czarny labrador. – Nie wydaje mi się, że pies panią wystraszy – rzucił z uśmiechem gospodarz, doskonale wiedząc wcześniej, że Merkel boi się psów. Pragmatyczna kanclerz przeszła nad tym do porządku dziennego i zbudowała w kolejnych latach całkiem dobre relacje z Putinem. Nie zmieniła tego ani agresja Rosji na Ukrainę, ani ataki hakerskie na Bundestag (także na konto pocztowe samej Merkel), ani zamach na Nawalnego, a potem jego uwięzienie. Merkel twardo trzymała się polityki sankcji wobec Moskwy, za każdym razem w Rosji wypowiadała się na temat wolności obywatelskich – ale jednocześnie dążyła choćby do ukończenia Nord Stream 2. Przykładów w pewnym sensie schizofrenicznej polityki kanclerz Niemiec wobec Moskwy nie brakuje.

W maju 2015 roku komputery w wielu biurach Bundestagu zostały zainfekowane oprogramowaniem szpiegowskim, w tym w biurze samej Merkel. Hakerzy przechwycili także na dużą skalę e-maile z kancelarii, zawierające korespondencję z lat 2012–2015. Cyberatak dokonał rosyjski wywiad wojskowy GRU. Przemawiając w Bundestagu w maju 2020 roku, Merkel przyjęła te ustalenia jako „mocny dowód" zaangażowania Rosji i mówiła o „oburzającym" procesie i że traktuje „te sprawy bardzo poważnie". Wyraziła ubolewanie, że „Rosja realizuje strategię wojny hybrydowej. Nie możemy tego lekceważyć. To wojna w formie dezorientacji i dezinformacji w cyberprzestrzeni. To jest strategia, a nie przypadkowe zdarzenie". Problem w tym, że to oburzenie Merkel nie zmieniło polityki. Zresztą podobnie było z Nawalnym. Przez kilkanaście lat Merkel często występowała w obronie represjonowanych przez władze rosyjskie polityków i działaczy. Oczywiście Putin nic sobie z tego nie robił. Symboliczną porażką prób Merkel (jeśli faktycznie były one autentyczne) przekonania gospodarza Kremla do bardziej liberalnej polityki wewnętrznej była ostatnia fala represji w Rosji przed wrześniowymi wyborami do Dumy, wymierzona w zwolenników Nawalnego, organizacje pozarządowe i niezależne media.

Zdrada mińska

Wolfgang Ischinger, doświadczony niemiecki dyplomata, a obecnie przewodniczący Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa, zwraca uwagę, że przez kilkanaście lat urzędowania Merkel okazała niemal bezgraniczną cierpliwość w stosunku do Kremla, ale dla Putina liczyło się tylko prawo silniejszego. Jedynym sposobem, by poradzić sobie z Putinem, jak z każdym innym autokratą, jest być równie twardym i bezkompromisowym. Ischinger uważa, że Niemcy są biegli w używaniu soft power w stosunkach międzynarodowych, ale soft power bez hard power jest „jak drużyna piłkarska bez bramkarza". Widać to szczególnie w przypadku Ukrainy i relacji rosyjsko-niemieckich w sprawie Krymu i Donbasu.

Niemcy w 2014 roku stały się głównym zachodnim partnerem Kijowa – także z namaszczenia Baracka Obamy – reprezentującym niejako i NATO, i UE, w międzynarodowych rozmowach dotyczących Donbasu. Petro Poroszenko został prezydentem m.in. na skutek układu kilku ważnych polityków i oligarchów ukraińskich, pobłogosławionego przez Berlin. Na mocy tego układu Poroszenko stał się głównym kandydatem „zachodniego" obozu na prezydenta, Kliczko (jego partia UDAR to partner CDU; on sam gościł na konwencji otwierającej kampanię wyborczą do europarlamentu PO) został merem Kijowa, zaś Dmytro Firtasz miał dostać gwarancję bezpieczeństwa dla jego interesów w porewolucyjnej Ukrainie. Niemcy stały się też uczestnikiem tzw. formatu normandzkiego, wraz z Rosją, Ukrainą i Francją. Dziś widać – i Kijów wreszcie zaczął sobie zdawać z tego sprawę – że ta formuła nie zdała egzaminu. Po pierwsze, pod presją Merkel i Hollande'a Poroszenko

eprasa.pl 780403eca0

w lutym 2015 roku zgodził się na tzw. porozumienia mińskie. To rodzaj mapy drogowej, której realizacja miała doprowadzić do zakończenia konfliktu w Donbasie. Jej porozumienia nie są korzystne dla Ukrainy, która nie miała wyjścia i podpisała się pod dokumentem. I od ponad sześciu lat trwają spory o kolejność realizacji punktów. Rosja dąży do tego, żeby odbyło się to w ten sposób, żeby zachowała de facto kontrolę nad Donbasem, zarazem uzyskując wpływ na politykę całej Ukrainy. Kijów się temu opiera – a celem Moskwy jest skłonienie Zachodu do wywarcia presji na Ukraińców, aby zgodzili się na warunki rosyjskie. Główną rolę oczywiście odgrywają w tym Berlin i Paryż.

Z perspektywy czasu widać, że porozumienia mińskie, w których zawarciu kluczową rolę odegrała Merkel, nie przyniosły efektu. Konflikt w Donbasie pozostaje nierozwiązany, a format normandzki de facto umarł. To niewątpliwie jedna z największych porażek polityki wschodniej odchodzącej kanclerz. To również przykład złych skutków polityki Merkel, która zawsze próbowała unikać ostrzejszych działań wobec Putina. Berlin nigdy oficjalnie nie zaprzeczył twierdzeniom Moskwy, że jest jednym z głównych „peacemakerów" w Donbasie, choć wszyscy widzą, że jest stroną konfliktu.

Oś (nie tylko) gazowa

Fundamentem i główną treścią współpracy strategicznej Rosji i Niemiec jest jednak energetyka, szczególnie gaz. I chodzi nie tylko o biznes. Przeciwnie, ta współpraca więcej ma w sobie polityki i związków z bezpieczeństwem aniżeli zwyczajnej chęci zarabiania pieniędzy. O czym najlepiej wie wspominana już wyżej Ukraina. Oczywiście sztandarowym przykładem tej gazowej osi Berlin–Moskwa są projekty Nord Stream i Nord Stream 2. Choć problem jest znacznie szerszy – wiele wskazuje na to, że Niemcy są też cichym wspólnikiem Rosji w sprowokowanym przez nią i wciąż podsycanym kryzysie energetycznym w Europie. Z doniesień medialnych wynika, że Berlin został uprzedzony przez Rosjan o planie opóźnienia napełniania magazynów gazu w UE. Współpraca gazowa Niemiec i Rosji rozkwitała zwłaszcza za czasów Baracka Obamy. Donald Trump okazał się hamulcowym Nord Stream 2. I być może cały ten projekt trafiłby do kosza, gdyby republikanin uzyskał reelekcję. Stało się inaczej. Prezydentem jest teraz były zastępca Obamy.

Biden nie wspomniał o Nord Stream 2 podczas wirtualnej edycji Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa w lutym 2021 roku. To był sygnał, że Amerykanie pozwolą Niemcom dokończyć projekt. Waszyngton postrzega Niemcy jako kluczowego sojusznika we wszystkich kwestiach, od konfrontacji z Chinami i negocjacji z Iranem po zmiany klimatyczne. Rozwiązanie problemu gazociągu pozwala im skupić się na wspólnej agendzie. Rosja jest ważna dla Niemiec. Niemcy są ważne dla USA. Rosję USA krytykują. Ale Waszyngton przeszedł do porządku dziennego nad projektem wzmacniającym Moskwę, bo ważniejsza dla niego jest wdzięczność Berlina. Na uruchomieniu Nord Stream 2 mają zyskać wszyscy uczestnicy wspomnianego tercetu. Rosja zyska większe możliwości presji na Ukrainę i większe wpływy w gazowym rynku unijnym. Niemcy wzmocnią współpracę z Rosją, zabezpieczą przekształcającą się krajową energetykę i zyskają szansę na stanie się gazowym hubem dla całej Europy Środkowej. USA zyskają wdzięczność Niemiec, którym pozostawią kwestie europejskie, tak jak za Obamy. Stracą oczywiście Ukraina, ale też Polska, Słowacja i kraje bałtyckie. Straci cała Europa, bo zwiększenie udziału rosyjskiego w jej energetyce to zła wiadomość. Co więcej, nawet forsowane przez Niemców przejście Europy do „zielonej energii" jest tylko na pierwszy rzut oka niekorzystne dla wielkiego eksportera gazu i ropy, jakim jest Rosja. Realizacja zielonej agendy oznaczać będzie bowiem, że przez najbliższe kilkanaście lat (co najmniej) będzie rosło uzależnienie UE od „przejściowego surowca", czyli gazu. Jak to się może skończyć? Europa stanie się „zielona", ale też politycznie słaba i zależna od Moskwy. Dokładniej zaś od Berlina i Moskwy. Niemcy widzą Rosję jako partnera w sferze odnawialnych źródeł energii (OZE), w tym w paliwie wodorowym – oznajmił Peter Altmaier, niemiecki minister gospodarki i energii podczas tegorocznego forum energetycznego dwóch krajów. Niektórzy uczestnicy konferencji mówili o Rosji i Niemczech jako o „sąsiadach". – Skoku w dziedzinie ekologii możemy dokonać tylko wspólnie – oznajmił Gerd Mueller, minister ds. współpracy gospodarczej i rozwoju.

Putinversteher

Można rozumieć od dekad prorosyjską SPD, postkomunistyczną Die Linke czy zakochaną w Putinie skrajnie prawicową AfD, że są zagorzałymi obrońcami Nord Stream 2. Ale skąd ta determinacja chadeków, którzy przyznają przecież, że putinowska Rosja jest niebezpieczna? Otóż tłumaczenie jest podobne do tłumaczenia zwolenników „odprężenia" w czasach zimnej wojny: budowanie głębokich powiązań handlowych czyni wojnę niemożliwą, ponieważ dla Putina zniszczenie wspólnego biznesu byłoby zbyt kosztowne. Jednocześnie

eprasa.pl 780403eca0

widać, jak skuteczna jest rosyjska propaganda. Wielu Niemców wierzy, że za przerwy w dostawach gazu w przeszłości odpowiadała Ukraina, która „kradnie gaz" i „chce wciągnąć Berlin w swoją wojnę z Rosją". Berlin nie patrzy na interesy innych, chce być w transporcie gazu z Rosji niezależny nie tylko od Ukrainy, lecz także od Polski. Chce, żeby to Niemcy stały się hubem gazowym dla Europy Środkowej. Niemiecki rząd i niemieckie firmy są zdeterminowane, by ukończyć projekt. Berlin nawet nie ukrywa, że dotychczasowa narracja, iż jest to czysto prywatna inwestycja, była fałszywa.

Czy i jak zmieni się polityka Niemiec po odsunięciu CDU/CSU od władzy? Z jednej strony mamy w rządzie Zielonych, chyba jedyną jednoznacznie sceptyczną wobec Rosji liczącą się partię (szczególnie wrogą Nord Stream 2), ale z drugiej jest jednak, dominująca, socjaldemokracja. I to jej człowiek staje na czele rządu. SPD postuluje współpracę z Rosją w zakresie kontroli zbrojeń oraz odnowienie Ostpolitik i przeniesienie jej na poziom europejski. Proponuje udział przedstawicieli Kremla w spotkaniach na wysokim szczeblu. Skoro mowa o stanowisku SPD wobec Moskwy, warto zwrócić uwagę nie tylko na wciąż wpływowego Schroedera, lecz także choćby to, co dzieje się wokół Nord Stream 2 w Meklemburgii-Pomorzu Przednim, a co ciężko traktować inaczej jak polityczną korupcję. Przy pomocy kapitału Gazpromu została założona fundacja, która ma niby dbać o ochronę środowiska i promować budowę gazociągu, która ma zabezpieczyć firmy zaangażowane w projekt przed amerykańskimi sankcjami. Oczywiście na czele rządu landu stoi polityk SPD.

▶ Ostpolitik cd.

W ostatnich dziesięcioleciach stanowisko Berlina wobec Moskwy kształtowała Ostpolitik, zapoczątkowana przez kanclerza RFN Willy'ego Brandta, mająca na celu „wspieranie zmian poprzez zbliżenie". Stosunki te, zbudowane na zaangażowaniu – w tym na współpracy energetycznej – przetrwały do końca zimnej wojny, rozpadu ZSRS i zjednoczenia Niemiec, które ułatwił Związek Sowiecki. Choć Ostpolitik nigdy nie została porzucona, w ostatnich latach wiele się zmieniło. Było tak nawet przed kryzysem z 2014 roku związanym z rosyjską aneksją Krymu i wspieraną przez Rosję wojną hybrydową na wschodniej Ukrainie. Niemiecka opinia publiczna stała się bardziej krytyczna wobec Rosji, widać też, że i media stały się dużo bardziej krytyczne. Dlaczego więc nie wpływa to na zmianę stanowiska większości ugrupowań politycznych? Bo ważniejsze, nie licząc oczywiście kwestii ideologicznych (Die Linke, AfD), jest stanowisko kręgów przemysłowych i biznesowych, palących się wręcz do robienia interesów z Rosją i w Rosji. Ale to niejedyny powód prorosyjskiej polityki Berlina, którą Moskwa wykorzystuje do realizacji swych strategicznych celów w Europie. Nie mówi się prawie nic o problemie agentury. I tej realnej, i tej wpływu. W dużym stopniu odziedziczonej nie tylko po czasach zimnowojennych, lecz także budowanej w czasie, gdy toczyły się negocjacje w sprawie zjednoczenia Niemiec. Rosyjskie służby zyskały wtedy wielu sojuszników w niemieckiej elicie. Warto przypomnieć, co w maju 2021 roku na posiedzeniu komisji ds. obcych ingerencji (INGE) Parlamentu Europejskiego oznajmił Michaił Chodorkowski: „Władimir Jakunin, były szef rosyjskich kolei i były wysoki funkcjonariusz wywiadu, miał, a być może wciąż ma źródło w otoczeniu kanclerz Merkel. Powołuje się on na nie w swoich raportach dla Kremla". Dodał, że Rosjanie kupują na terytorium Niemiec komponenty do broni masowego rażenia za pośrednictwem podstawionych firm.

Kreml liczy na powrót Berlina do realizacji koncepcji „Wielkiej Europy" (wspólnej „przestrzeni" UE i Rosji skierowanej przeciw USA), którą Putin nieprzypadkowo wspomniał w cytowanym artykule w „Zeit". Ale do tego czasu – jak pisze OSW – celem rosyjskiej polityki wobec Niemiec jest: wyciąganie maksymalnych korzyści z „nieupolitycznionej" współpracy gospodarczej i dalsze rozwijanie asymetrycznej gospodarczej współzależności między Rosją a Niemcami; wspieranie tych tendencji w Niemczech, które są przeciwne zwiększeniu presji Zachodu wobec Rosji; przeciwdziałanie włączeniu się Berlina do antychińskiej koalicji budowanej przez Waszyngton. W najbliższych latach możemy chyba oczekiwać wzmocnienia współpracy rosyjsko-niemieckiej, zwłaszcza że stanowiska kanclerza i prezydenta będą zajmować politycy SPD. Gwarantem utrzymania osi Moskwa–Berlin będzie na pewno Frank-Walter Steinmeier. Jego pierwszą ważną rolą w polityce było stanowisko szefa sztabu Schroedera. Potem dwukrotnie pełnił funkcję ministra spraw zagranicznych w rządzie Merkel i podtrzymywał przyjazne stanowisko wobec Moskwy. W 2007 roku Steinmeier skrytykował „pewną tendencję do histerii" w międzynarodowej krytyce po zabójstwach rosyjskich opozycjonistów, takich jak Litwinienko, a w ciągu kilku miesięcy po objęciu prezydentury w 2017 roku odwiedził Rosję, ogłaszając wzrost w handlu dwustronnym i przekonując, że nadszedł czas, by „przeciwdziałać wyobcowaniu między naszymi dwoma krajami". ■

eprasa.pl 780403eca0



Ryszard Czarnecki

Widmo Rapallo krąży nad Europą

Historyk – i konserwatysta – smętnie pokiwa głową: „Nihil novi sub sole". W rzeczy samej, nic nowego w świecie geopolityki, gdy sprzymierza się dwóch naszych wielkich sąsiadów. Zmieniają się ustroje, czasy, ale sojusz niemiecko-rosyjski to coś, co unosi się, niestety, ponad wiekami.

Oczywiście bywały między nimi konflikty: wielka wojna (nazwana później, po trzech dekadach, I wojną światową) i II wojna światowa. Nawet jeżeli Niemcy i Rosja są w dwóch różnych obozach politycznych, to i tak zachowują specjalne relacje. Za komuny NRF, a później RFN, choć była w obozie Zachodu i odgrywała w komunistycznej propagandzie rolę kapitalistyczno-rewizjonistycznego straszaka, to począwszy od dekady lat 70. dbała o specjalne relacje ze Związkiem Sowieckim. „Ostpolitik" Willy'ego Brandta i Helmuta Schoena polegała na budowaniu mostów z Moskwą. Z jednej strony uwiarygadniało to Kreml w oczach światowej opinii publicznej, co dla Sowietów było kwestią kluczową, a z drugiej strony dawało nie tylko możliwość Bonn (wtedy jeszcze) na gospodarcze deale z ZSRS, lecz także nadzieję na akceptację z czasem, w takiej czy innej formie, zjednoczenia Niemiec.

Od tamtego czasu minęło parę dekad, zmieniły się ideologiczne i historyczne kostiumy, a geopolityczna treść zostaje ta sama. Dziś Niemcy są największym państwem UE i ważnym członkiem NATO, głosują co pół roku (czerwiec–grudzień) na forum Rady Europejskiej za sankcjami dla Federacji Rosyjskiej, a jednocześnie mają wyjątkowe stosunki na tle innych krajów Unii z państwem pułkownika Putina. Z boku nie wiadomo, czy – używając znanej anegdoty o prof. Geremku – Berlin wchodzi po schodach czy z nich schodzi? Co więcej, władze RFN są zazdrosne o kontakty z Moskwą i chcą, aby Unia to im powierzyła mandat na reprezentowanie jej w relacjach z Rosją. Świadczy o tym tzw. Format Normandzki, gdzie w roli arbitra między Ukrainą i Rosją występują Niemcy z Francją, chociaż nie sąsiadują z żadnym z tych dwóch pastw – inaczej niż Polska, która jest największym unijnym sąsiadem i Kijowa, i Moskwy. W ostatnim czasie bardzo podobnie stało się w przypadku rozmów Merkel z Łukaszenką i Putinem. Ustępująca Frau Kanzlerin prawem kaduka, bo do prezydencji Republiki Federalnej w UE zostało przecież wtedy jeszcze 1,5 miesiąca (zaczyna się ona 1 stycznia 2022 roku), podjęła rozmowy z dwoma dyktatorami faktycznie ponad głowami państw dotkniętych wojną hybrydową: Polski, Litwy i Łotwy.

Nasi przodkowie mówili o złowrogim dla Polski porozumieniu dwóch dwugłowych orłów. A czy dziś praktyka jest inna? Nie chodzi jednak wyłącznie o widoczne bilateralne zbliżenie Berlina i Moskwy. Chodzi także – czego się w Polsce w ogóle, niestety, nie dostrzega – o działania międzynarodowe Niemiec, które *de facto*, po postawieniu pytania „cui bono?", okazuje się, że leżą w interesie Rosji. Podam tutaj trzy przykłady. Pierwszy dotyczy Ukrainy i ery Janukowycza, gdy niemieccy politycy, w tym europosłowie, bardzo zdecydowanie angażowali się po stronie siedzącej w więzieniu Julii Tymoszenko i poddawali Kijów nieustannemu bombardowaniu zarzutami o nieprzestrzeganie demokracji i praw człowieka. Politycznym efektem tego było... spychanie Janukowycza w łapy Rosji. Historia powtórzyła się z Azerbejdżanem i atakowaniem ekipy Alijewa juniora pod tym samym kątem. Baku zaczęło wyhamowywać przyjęty wcześniej kurs na Zachód, co było oczywiście korzystne dla Moskwy. Pamiętam rozczarowanie azerskich elit, które postawiły na westernizację, a zostały potraktowane nie jak potencjalny sojusznik UE/NATO, lecz jako natrętny petent. Teraz sytuacja powtarza się z kolei z Kazachstanem. Ataki na nieprzestrzeganie przez Nur-Sułtan praw człowieka, choć są one tam bardziej respektowane niż w większości krajów Azji Środkowej, spychają największe państwo postsowieckiej Azji w kierunku Moskwy. Za dużo tych przypadków, aby było to dziełem ... przypadku. ■

eprasa.pl 780403eca0





Dawid Wildstein

WYGRALIŚMY I PRZEGRALIŚMY

Postawa wobec wydarzeń na polsko-białoruskiej granicy musi być ambiwalentna. Polska odpiera ten hybrydowy atak, co jest oczywistym zwycięstwem naszego państwa. Nie zmienia to jednak faktu, że wszystko to, co dzieje się dziś w relacjach Unii z Rosją, jest gigantyczną, niespotykaną wręcz porażką UE. Niestety – czy tego chcemy, czy nie, tym samym przegrywamy i my, jako element szerszej całości.

Sytuacja na naszej granicy jest wciąż bardzo napięta i nieprzewidywalna. Oceniając jednak to, co się już stało, można powiedzieć jedno. Polska to starcie wygrała. Putin i Łukaszenka na pewno byli przekonani, że ich prowokacja osiągnie znacząco większy efekt. Że, przynajmniej częściowo, uda się szantażem, tak po prostu fizycznym (eskalując bezpośrednie prowokacje) i „humanitarnym", przedziurawić polską granicę. Trzy elementy wydają się tu kluczowe. Po pierwsze, błyskawiczna reakcja rządu, wprowadzenie stanu wyjątkowego, który do maksimum ograniczył podstawową broń Putina i Łukaszenki, czyli najróżniejszych pożytecznych idiotów, zarówno w wersji medialnej, politycznej, jak i działaczy najróżniejszych organizacji pomocowych. Gdyby to tego nie doszło, mielibyśmy zapewne do czynienia z regularnym festiwalem prowokacji i ataków na polskie służby, uniemożliwianiem im pracy, co przekładałoby się znacząco na zmniejszenie możliwości obronnych naszego państwa. Po drugie, twarda postawa rządu, który nie ugiął się pod presją zewnętrzną i wewnętrzną, który uniemożliwił opozycji, mimo jej prób, sparaliżowanie działań państwa. W końcu sama reakcja naszego społeczeństwa, która w tej sprawie poparła rząd, tym samym łagodząc chociaż w części zachowanie opozycji. Niestety, sytuacja ta może w paradoksalny sposób umocnić Putina. Na Zachodzie, delikatnie rzecz ujmując, niechętnie wejdzie się w narrację o dobrym polskim rządzie, który poradził sobie z problemem. Zamiast tego więc coraz częściej już słyszymy z tamtejszych mediów, że to „dobry Putin", który uspokoił oszalałego Łukaszenkę. Poza tym Putin na pewno dostrzegł działanie naszych medialnych i politycznych pożytecznych idiotów. To, że liczył na więcej, nie zmienia faktu, iż wspomniane środowiska zdały swoisty „test lojalności", pokazując Moskwie, że poprą ją zawsze, póki będą mogli w ten sposób uderzyć w PiS. Niemniej, kolokwialnie rzecz ujmując, mogło być dużo gorzej.

Co naprawdę się stało

Nie oznacza to jednak, że możemy odetchnąć z ulgą i stwierdzić: „nic się nie stało". Warto bowiem zrozumieć, co naprawdę zdarzyło się na naszej granicy i jak przełomowe, niestety w negatywnym sensie, było to wydarzenie. Trzeba tu postawić sprawę jasno. Doszło do otwartego ataku, nie tylko hybrydowego, lecz także militarnego, na Unię oraz na NATO. To, że był on niewielki, punktowy wręcz, niewiele zmienia, jeśli chodzi o sam jego opis. Moment, w którym wśród tłumu migrantów szturmującego granicę są także uzbrojeni ludzie Łukaszenki, sytuacja, w której doszło do oddania strzałów, w końcu – regularne prowokacje polegające chociażby na próbie oślepienia polskich funkcjonariuszy za pomocą laserów – dalekie są może od „standardowych" obrazów, które znamy z innych wojen, związane z nimi szkody są też bez porównania mniejsze, niemniej podstawowa zasada jest ta sama. Doszło do próby siłowego przekroczenia granicy przez uzbrojoną formację obcego państwa, starcia, podczas którego zostali ranni polscy żołnierze, którzy mogli (patrząc na to, jak poważne były niektóre z ran naszych funkcjonariuszy) zginąć. Atak ten zaś został, co do tego nie ma żadnej wątpliwości, celowo zaplanowany przez Łukaszenkę przy oczywistej akceptacji Putina. Jak w tej sytuacji zachowała się Ameryka, nasz podstawowy gwarant działania NATO? Jak zachowała się Unia Europejska, której jesteśmy częścią, która jeszcze niedawno na okrągło mówiła o konieczności zwiększenia europejskiej solidarności, współdziałania, ba, nawet pogłębionej federalizacji? W warstwie deklaratywnej w miarę dużo. Praktycznej – *de facto* nic. Na właściwie każdym poziomie zrezygnowano z działania albo oddano pole Łukaszence i Putinowi. To ostatnie było szczególnie widoczne w przestrzeni medialnej. Robione na klęczkach wywiady z Łukaszenką, będące, poza wszystkim, także legitymizacją jego pozycji jako prezydenta, podejmowanie tematów podrzucanych przez reżim białoruski, znikoma, patrząc na proporcje, obecność głosu polskiej władzy bądź białoruskiej opozycji.

Solidarność w wersji niemieckiej

Jeśli chodzi o poziom „praktycznej polityki", zarówno USA, jak i Unia natychmiast przyjęły postawę reaktywną i zaakceptowały Putina oraz Łukaszenkę jako głównych rozgrywających, co najwyżej odbijając podrzucane przez nich „piłeczki". Po pierwsze, nie podjęto *de facto* żadnej dyskusji o tym, dlaczego doszło do tej sytuacji i w jaki sposób uniemożliwić tego typu hybrydowe ataki na przyszłość. Właściwie uznano, że po prostu tak „bywa". Oczywiście przyjęcie takiej perspektywy jest bardzo opłacalne dla reszty Europy. Skoro Polska radzi sobie z tym atakiem, to właściwie nie trzeba podejmować żadnych szerszych, bardziej skoordynowanych i co najważniejsze realnych działań. Wytarczą tylko gesty, wyrazy oburzenia, może nawet rezolucje. Poza tym nic. Niech dotychczasowa polityka trwa, w tym biznesowe relacje między Berlinem a Moskwą.

Po drugie, mimo deklaratywnego poparcia dla polskich działań na granicy, Bruksela i Berlin nawet na chwilę nie „odpuściły" Polsce, jeśli chodzi o do-

fot. HANDOUT/Reuters/Forum

eprasa.pl 780403eca0

tychczasowy konflikt między naszą władzą a unijnym establishmentem. W czasie trwania hybrydowego ataku Łukaszenki i Putina na wschodnią flankę Unii i NATO nadal prowadzone były próby zdyskredytowania polskiego rządu, padały najostrzejsze sformułowania, do ataków na forum europejskim wykorzystywano naszą opozycję, grożono odebraniem funduszy unijnych w kontekście ostatniego wyroku polskiego Trybunału Konstytucyjnego etc. etc. To jakby w momencie skoncentrowania frontowego ataku przeciwnika na jednym oddziale pozostałe formacje z tej samej armii, co broniący się żołnierze, zajmowały się głównie próbą ograniczenia dostaw do walczących po ich stronie oraz działały na rzecz maksymalnego osłabienia ich morale. Ten aspekt sytuacji w najbardziej wymowny sposób pokazuje, czym jest dzisiejsza „europejska solidarność".

Po trzecie, Bruksela i Berlin zaakceptowały legitymację Łukaszenki do rządzenia Białorusią i *de facto* uznały go za partnera, czego najwyraźniejszym dowodem była rozmowa, którą przeprowadziła z nim Merkel. Dodatkowo weszły w kuriozalną grę Putina, który przedstawia się niczym wybawca na białym koniu, który teraz wejdzie między skonfliktowaną Unię a Mińsk i zaprowadzi pokój. Nie znaczy to, że nie padają jak najostrzejsze określenia względem obu tych dyktatorów. Jednocześnie zostaje jednak wyraźnie zaznaczona perspektywa „pokoju", uspokojenia sytuacji, która umożliwi znormalizowanie relacji. Nikt już nie pamięta o Białorusinach mordowanych przez białoruski, wciąż narastający terror.

Odpowiedzialność Bidena i Merkel

To, że Polska odpiera ten hybrydowy atak, co jest oczywistym zwycięstwem naszego państwa, nie zmienia faktu, że wszystko to, co dzieje się dziś w relacjach Unii z Rosją, jest gigantyczną, niespotykaną wręcz porażką UE. Niestety, czy tego chcemy, czy nie, tym samym przegrywamy i my, Polska, jako element szerszej całości. Gdy patrzymy na skalę tej przegranej, nie można nie wspomnieć o państwie, które jest właściwie w sposób pełny za nią odpowiedzialne, Niemcach. To nie przypadek, że atak Łukaszenki i Putina na kraje bałtyckie i Polskę nastąpił teraz. Poprzedziły go dwa fundamentalne wydarzenia.

Po pierwsze, błyskawiczne przyklepanie Nord Stream 2, które wyraźnie pokazało Moskwie, że w związku ze zmianą władzy w USA, Niemcy gotowe są przyśpieszyć zacieśnianie relacji, forsując projekty, które w radykalny sposób zwiększają wpływy Putina w Europie Środkowo-Wschodniej, a także sprowadzają realne zagrożenie na inne państwa członkowskie Unii. Po drugie, wspomniany już Biden, który w ostentacyjny wręcz sposób wskazał, że podstawowym dla niego partnerem w Europie jest Berlin. Na to nakłada się też słabość USA, poczucie radykalnej niekompetencji obecnego prezydenta oraz decyzja o skupieniu się Stanów na Pacyfiku, którego podstawowym beneficjentem w UE okazały się Niemcy, dostające wolną rękę do układania stosunków wewnątrz tego organizmu politycznego. Sytuacja nie jest tu jednak czarno-biała. Widać bowiem możliwość jej zmiany, Kongres USA ma zamiar debatować nad sankcjami w kontekście NS2, cieszyć też powinna coraz wyraźniejsza słabość Demokratów. Niemniej wspomniane elementy mogą prowokować Putina do przyśpieszenia swoich działań. Mamy bowiem, z powodu dotychczasowej polityki Niemiec przy wsparciu Bidena, do czynienia z paradoksalną sytuacją, gdy Rosja, będąca w jednym z najgłębszych kryzysów od lat, słaba jak dawno nie była, uwikłana w znaczną liczbę niesłychanie kosztownych operacji militarnych, dostaje jednocześnie rekordową wręcz ilość instrumentów politycznych, za pomocą których może kształtować sytuację w Europie na swoją korzyść.

Putin może wszystko

Podstawowym jednak celem Rosji nie jest Polska. Putinowi chodzi oczywiście głównie o Białoruś i Ukrainę. W kwestii tej pierwszej, za pomocą swojego watażki i przy absolutnej bierności Berlina i Brukseli (poza pustymi słowami) *de facto* wchłonął to państwo, a jego naród poddał bezwzględnemu terrorowi. Jeśli zaś chodzi o Ukrainę – dostając z jednej strony Nord Stream 2, z drugiej widząc pełną bierność Berlina i Waszyngtonu względem sytuacji, jaka dzieje się na granicy członka UE i NATO – wie, że może zrobić wszystko, także zdecydować się na nową inwazję. Oczywiście nie znaczy to, że na pewno zaatakuje. Niemniej dziś Putin może być pewny jednego. Na ten konkretny moment ma „otwarte okienko". Wie, że jeśli chodzi o USA i Unię, jedyne, czym ryzykuje, to zasypanie kolejnymi wzmożonymi odezwami i pustymi deklaracjami. Tak wygląda ponure memento niemieckiej polityki od dekad, wspartej niestety błędnymi decyzjami Bidena i związanymi z jego prezydenturą poczuciem słabości i brakiem sprawczości USA. Putin może wszystko. Oto dziedzictwo polityki Merkel i Bidena, tych największych bohaterów naszej totalnej opozycji i związanych z nią środowisk liberalnych i lewicowych. ■

eprasa.pl 780403eca0

Marcin Wolski

Między Frycem a Katarzyną

Pan Bóg pod wieloma względami okazał się dla nas łaskawy. Dał nam na tej planecie miejsce z nie najgorszym klimatem, z górami i morzem, z bogactwami naturalnymi pod ziemią i na ziemi, oszczędził nam też trzęsień ziemi, tsunami, sezonowych huraganów i zaludnił tę przestrzeń ludem zdolnym, dzielnym, jak trzeba pracowitym, ale żeby nam się w głowach nie poprzewracało, podarował nam również sąsiadów. Można sobie wyobrazić, jak by wyglądała nasza historia, gdybyśmy byli wyspą (jak Wielka Brytania) lub półwyspem (jak Hiszpania), gdyby otaczały nas niebotyczne góry (Szwajcaria) lub towarzyszyły nam puste przestrzenie. Niestety znaleźliśmy się między sąsiadami demograficznie od nas silniejszymi i tylko podarunkiem losu jest, że przez wiele wieków pozostawali oni w stanie rozbicia i rozdrobnienia, jednak kiedy już się zjednoczyli...

Państwa wykazują duże podobieństwa do zwierząt – dzielą się z grubsza na roślinożerców i drapieżników. Roślinożercy rozwijają się dość powoli, rosną dzięki sojuszom dynastycznym lub pokojowym uniom. Drapieżnicy jeśli chcą przetrwać, skazani są na walkę i pożeranie innych, słabszych. Tu historia Rosji i Niemiec jest dosyć podobna. Najludniejsze plemię w Europie, Niemcy, przez większość dziejów pozostaje rozbite, a formalne zwierzchnictwo cesarza nie powoduje tendencji dośrodkowych. Zjednoczenie to dzieło Prus – dziwnego nowotworu, w którym Niemcy byli mniejszością – genetycznie to bałtyccy Prusowie i osadnicy z Polski. Także mieszkańcy Brandenburgii w dużej części byli potomkami Słowian Połabskich. Szczęśliwy splot wydarzeń sprawił, że domeny te wpadły w ręce Hohenzollernów, których potomek miał szczęście być wielkim mistrzem Krzyżaków i w chwili, gdy zakon uległ sekularyzacji, stał się dziedzicznym księciem, lennikiem Rzeczpospolitej. Szereg błędów Polaków, umiejętne zdrady i zmiany frontów spowodowały, że Prusy urosły w siłę. Jeszcze Sobieski miał szansę zlikwidować wroga, enklawę w ciele Rzeczypospolitej, ale wolał iść pod Wiedeń, bronić chrześcijaństwa. W niespełna dwie dekady dawny lennik ogłosił się królem, a dzięki imigracji masy protestanckich hugenotów z Francji, po odwołaniu edyktu nantejskiego, stworzył potężny organizm państwowy, ze sprawną administracją, oświatą, a przede wszystkim armią. Nie trzeba było wieku, by Fryc Wielki stworzył na trupie Polski potęgę, a dwóch wieków, by Bismarck zmienił zlepek państw w unitarne mocarstwo.

Z Rosją było podobnie – Wielkoruś – Moskwa, gdzie komponentów dostarczyły etniczne różne ludy, od Słowian po ugrofinów, swój sukces zawdzięczała kolaboracji z Mongołami, którzy powierzyli jej rolę kontrolera ziem ruskich, które od XV wieku zaczęli zbierać, tzn. pożerać. Decydujące okazało się zabicie republikańskiej alternatywy Wielkiego Nowogrodu i ostateczne pokonanie Tatarów. Sprawił to pierwszy z długiej listy psychopatów – spadkobierców Monomacha na Kremlu – Iwan Groźny. Zbudowana na tradycji normandzko-bizantyjsko-mongolskiej Rosja, po wchłonięciu w XVII wieku Ukrainy, miała oczywiście różne możliwości. Mogła zostać zeuropeizowana, przez Polskę z Wazami na tronie, a nawet bez nich, język polski był wtedy językiem tamtejszych elit, legł u podstaw rosyjskiej gramatyki i słownictwa. Psalmy Kochanowskiego śpiewano w cerkwiach jeszcze w następnym wieku. Te tendencje zniszczył inny autokrata – Piotr Wielki, który wybrał sobie za mentora Niemcy. Następcy kontynuowali trend, czerpiąc z Prus wzory, kadry, idee... Ta symbioza czarnych orłów trwała do I wojny światowej, dając azjatyckiemu despotyzmowi pruską sprawność i europejski szlif. Obaj drapieżcy cementowani truchłem Polski, darzyli się wzajemnym podziwem i mimo wojen, gdy to było korzystne, współpracowali ze sobą. Przywódcy mogli zmieniać się płciami – przez ostatnią dekadę panią Berlina była duchowa spadkobierczyni Katarzyny – Angela, a Moskwy – mentalny potomek Wielkiego Fryca – Władymir Władymirowicz... Świat miał z tego świętego przymierza spokój, przerywany co jakiś czas koszmarną wojną, a Europa Środkowa – zniewolenie. I dlatego sam pomysł Trójmorza wywołuje u drapieżców alergię. ■

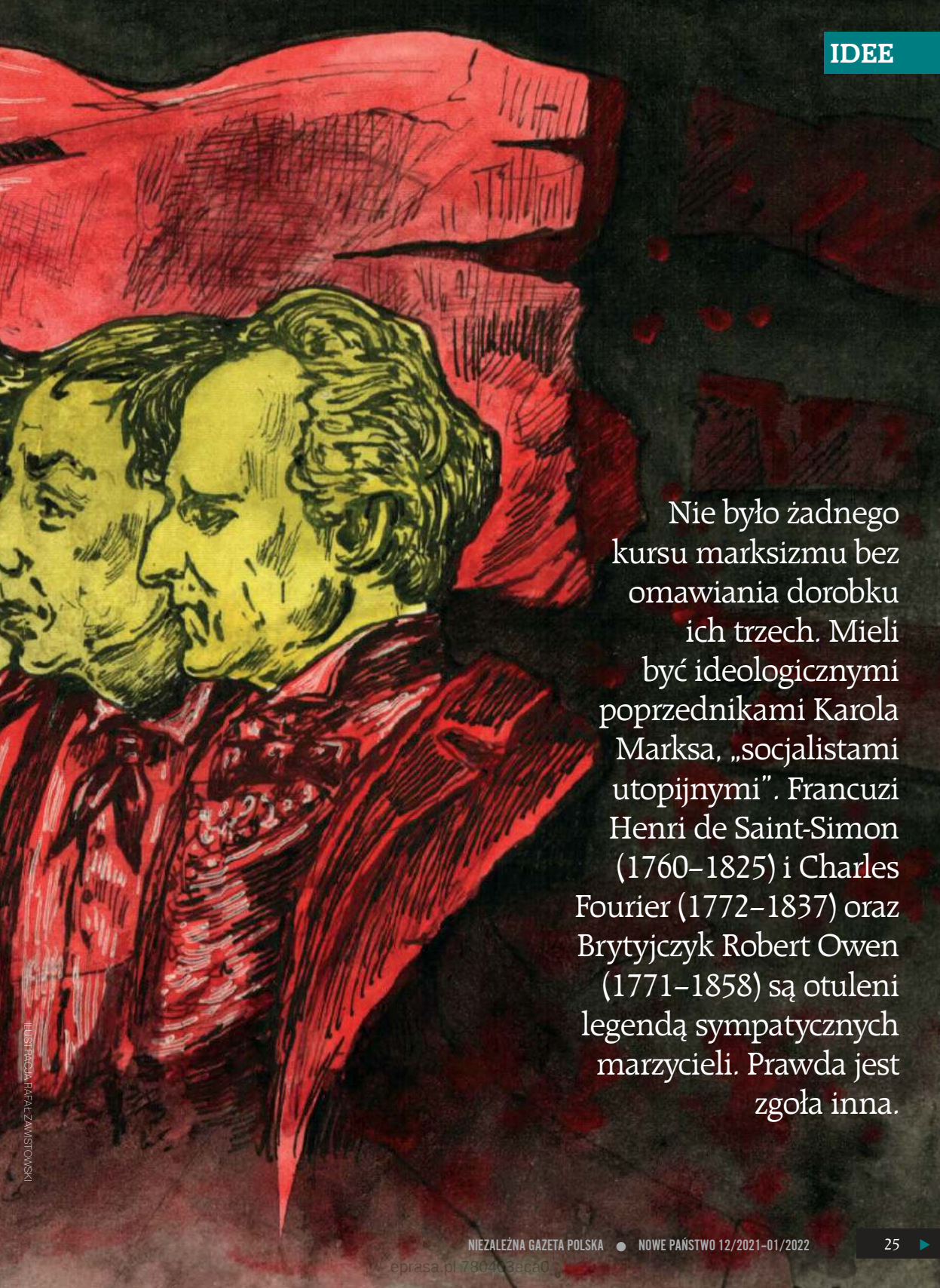
eprasa.pl 780403eca0



Jakub Augustyn Maciejewski

TRZECH SZALEŃCÓW SPRZED MARKSA

eprasa.pl 780403eca0



Nie było żadnego kursu marksizmu bez omawiania dorobku ich trzech. Mieli być ideologicznymi poprzednikami Karola Marksa, „socjalistami utopijnymi". Francuzi Henri de Saint-Simon (1760–1825) i Charles Fourier (1772–1837) oraz Brytyjczyk Robert Owen (1771–1858) są otuleni legendą sympatycznych marzycieli. Prawda jest zgoła inna.

ILUSTRACJA RAFAŁ ZAWISTOWSKI

eprasa.pl/7804...eca0

Choć dziś filozofów i publicystów XIX wieku ocenia się jako twórców tez uniwersalnych, to w rzeczywistości większość ich tekstów była polemiką z innymi autorami. Marks czy Lenin wyzywali swoich adwersarzy, próbowali ich zdyskredytować, tamci odpowiadali na ich teksty, a ci z kolei kontynuowali pasmo odpowiedzi. Podobnie zajmowano się też swoimi poprzednikami, czyli przyglądano się innym przedstawicielom własnego nurtu, próbując udowodnić swoją wyższość. Karol Marks znał prace i działalność wcześniejszych socjalistów i w dużej mierze udało mu się na stałe skojarzyć ich z deprecjonującym hasłem „socjalistów utopijnych", a więc tych, którzy – rzekomo w przeciwieństwie do niego samego – konstruowali nierealistyczne wizje.

Dziś nawet podręczniki historii, poważne opracowania naukowe czy popularna Wikipedia wykorzystują określenie „socjalizm utopijny", którego Marks użył interesownie. Swoim dialektycznym żargonem autor „Kapitału" wyjaśniał, że „znaczenie krytyczno-utopijnego socjalizmu i komunizmu pozostaje w odwrotnej relacji do rozwoju historycznego". Czytelnicy klasyków komunizmu wiedzą, że za tym zdaniem kryje się prosty przekaz: teorie „utopistów" są wbrew prawom historii, nie zadziałają. Marks przekonywał, że uczniowie „socjalistów utopijnych" schodzą na manowce filozofii. „W miarę jak współczesna walka klasowa rozwija się i przybiera określony kształt, to fantastyczne oddzielenie się od walki, te fantastyczne ataki na nią tracą wszelką wartość praktyczną i wszelkie uzasadnienie teoretyczne. Dlatego chociaż twórcy tych systemów byli pod wieloma względami rewolucyjni, ich uczniowie w każdym przypadku utworzyli jedynie sekty reakcyjne" – przekonywał. Faktycznie, uczniowie Owena, Saint-Simona czy Fouriera nie stworzyli trwałych dzieł, ale następcy Marksa zasłynęli raczej ze zbrodniczości niż pozytywnego dziedzictwa ludzkości.

W tej walce różnych nurtów socjalistycznych ważne jest jednak, że naprzeciw „utopistów" Marks postawił sam siebie, jako reprezentanta „socjalizmu naukowego". A jednak jego poprzednicy mieli z nim wiele wspólnego – równie paranoiczne wizje, cyniczne życiorysy. W niektórych przypadkach mieli nawet bardziej owocne prace niż twórca „Manifestu komunistycznego".

Od odrzucenia religii do wzywania Jezusa

Henri de Saint-Simon także snuł plany totalnej przebudowy świata. Postulował zniesienie własności prywatnej, odrzucenie religii, zwłaszcza katolickiej, z Kościołem na czele. Oceniał, że siła papiestwa jest „wyłącznie materialna i utrzymuje się tylko dzięki przebiegłości".

Wbrew marksistom twórcy socjalizmu i komunizmu nie byli ekonomistami (także Marks nim nie był), lecz humanistami roztrząsającymi założenia filozoficzne, a następnie podporządkowujący prawa ekonomiczne własnym tezom. Wszystkich czerwonych autorów charakteryzuje pycha, założenie, że lepiej niż inni zrozumieli myśl ludzką, dzieje i kulturę.

Saint-Simon oceniał nawet zgodność nauk Kościoła z nauką Jezusa, twierdząc, że „religia katolicka [...] nie jest niczym innym jak tylko herezją chrześcijańską; jest ona jednym z odłamów zwyrodniałego chrześcijaństwa".

Ten urodzony w Paryżu Francuz był niemal 30-latkiem, gdy na ulicach jego miasta rozegrały się krwawe sceny rewolucji francuskiej. Filozof zrzekł się arystokratycznych tytułów i zaczął uprawiać swoje postępowe pisarstwo. Dał się przekonać wichrom jakobińskich reform, że Kościół jest tylko narzędziem ucisku. Wierzył on, że religia ma chcieć tylko: „podporządkowania wiernych jak najbardziej absolutnej władzy duchowieństwa".

Postać Saint-Simona pokazuje, jak wiele socjalizm czerpie z rewolucji francuskiej. On jednak szedł w swoich planach jeszcze dalej, bo oprócz religii chciał zupełnego zniesienia własności oraz wszelkich więzi wspólnotowych. Jeśli masz przyjaciela, rodzinę czy rodaków – to jest to jakaś własność. To właśnie zrzeszanie się ludzi ma, zdaniem ideologa, prowadzić do „niemoralnej" konkurencji, wrogości, nienawiści. Jego postulaty stworzenia wielkiego „zrzeszenia ludzkości" przypominają dzisiejsze tezy globalistów, dla których wartości kulturowe czy tradycja są jedynie przestarzałą naleciałością.

Wyrzeczenie się rodziny niosło ze sobą konkretne konsekwencje – na przykład zmiany nazwisk (bo to też własność!). Paryżanin nazwał się „Bonhomme", czyli „Poczciwcem", i odrzucił swoje rodzinne korzenie. Był przeciwnikiem dziedziczenia, także majątków rodzinnych. Złośliwością losu w 1814 roku Saint-Simon będzie musiał zawiesić swoją nienawiść do prawa własności, by zdobyć... spadek po zmarłej matce. Zresztą jako ekonomista Saint-Simon sprawdzał się równie dobrze, a raczej równie źle, co Marks. Wiecznie niedoinwestowany, za mało zarabiający, pragnący zająć ważne miejsce w społecznej hierarchii. Z jego życiowego nieudacznictwa bra-

eprasa.pl 780403eca0

ły się kolejne teorie. Widział on społeczeństwo przyszłości jako złożone z trzech klas: intelektualistów, posiadaczy (na przykład zarządców, dyrektorów) i pozostałych (wybierających pozostałe dwie klasy). On sam widział siebie oczywiście w tej pierwszej klasie. Kasta mędrców miała składać się z trzech grup: izby wynalazków, izby kontroli i izby wykonawczej. Wszystko było dokładnie zaplanowane, nawet liczba inżynierów czy biologów w każdej z grup.

Nawet ten niewinny socjalizm, w ogóle niewprowadzany w praktyce, miał u swych źródeł wolę ludobójstwa, wyniesioną z 1789 roku. Saint-Simon zasugerował, że strata 30 tys. arystokratów wraz z rodzinami, wyższego duchowieństwa oraz urzędników królewskich byłaby dla Francji niemal niezauważalna, zaś śmierć 3 tys. uczonych i artystów mogłaby zachwiać krajem. Wartościowanie ludzi i ocenianie ich przydatności odbije się echem w totalitarnej praktyce komunistów całego globu.

należał on do grupy teoretyków-nierobów, lecz do przedsiębiorczych fabrykantów rewolucji przemysłowej, myślicieli, ale też filantropów.

Robert Owen był jedynie synem skromnego sklepikarza, ale pnąc się po szczeblach kariery w kolejnych zakładach przemysłowych, stał się dyrektorem w przędzalni wełny, dysponując też własnym kapitałem.

Jako zarządca ten Walijczyk wykazywał się troską o swoich pracowników. Gdyby na tym poprzestał, gdyby rozwijał swoją praktykę opiekuńczego fabrykanta, przeszedłby pewnie do pozytywnej legendy dobroczyńcy robotników. Zakładał dla nich szkoły, starał się ograniczać pracę nieletnich, utworzył sklep z tańszą żywnością specjalnie dla swoich ludzi. Gospodarował pieniędzmi tak, by dawać swoim 2 tys. ludzi podwyżki płac i ograniczył dzień pracy do 10 godzin. Owen wierzył, że lepiej żyjący robotnik, będzie też lepiej pracował. Musiał się zmagać z patologiami biedoty – alkoholizmem, przemocą, a także głęboką nieufnością. Gdy wzno-

Postać Saint-Simona pokazuje, jak wiele socjalizm czerpie z rewolucji francuskiej. On jednak szedł w swoich planach jeszcze dalej, bo oprócz religii chciał zupełnego zniesienia własności oraz wszelkich więzi wspólnotowych.

Gdy Saint-Simon umarł w 1825 roku, pozostawił po sobie niedokończoną pracę o zupełnie innej treści niż jego dotychczasowy dorobek. „Nowe chrześcijaństwo" wzywało do odnowienia wiary, do powrotu do zasad Ewangelii. Autor odrzucał co prawda Kościół katolicki, ale odwoływał się do Jezusa: „Prawdziwe chrześcijaństwo nakazuje wszystkim ludziom traktować siebie jak braci. Jezus Chrystus obiecał życie wieczne tym, którzy najbardziej przyczyniliby się do poprawy egzystencji najbiedniejszej klasy moralnej i fizycznej" – pisał w swoim ostatnim dziele. Socjaliści nie przejęli się tym zwrotem filozoficznym filozofa, przez następne półtorej dekady to jego socjalistyczne wizje były omawiane na salonach i w klubach dyskusyjnych całej Francji.

Gdyby nie przesadził

Jeśli przyszłoby nam się zaprzyjaźnić z którymś z pierwszych socjalistów, to bez wątpienia byłoby to najłatwiejsze w przypadku Roberta Owena. Nie

sił pierwsze bloki mieszkalne dla swoich robotników, ci początkowo nie chcieli mieszkać w takich budowlanych wspólnotach. Początki XIX wieku były faktycznie niełatwe dla walczących z wyzyskiem.

W New Lanark, gdzie rozwijał swoją fabrykę, tworzyła się osobna społeczność – rolnicy dostawali kontrakty na dostawę żywności, sprowadzono nauczycieli, wyznaczono budynki na szpitale. Eksport wełny za ocean przynosił wielkie zyski i Owena było stać na takie rozwiązania. Niestety, uwierzył, że cały świat można przerobić na takie New Lanark, gdzie rolnika, robotnika i intelektualistów połączy się ekonomicznymi więzami, zmuszając ich do stałej kooperacji, opartej na wymianie dóbr. Szczytem jego rozsądnych zmian był rok 1819, gdy brytyjski parlament przyjął pewne jego rozwiązania w poprawie doli robotników. W Owena wstąpił jednak duch fanatyzmu.

Już współcześni dostrzegli, że podczas swoich przemówień wpadał w pasję, która owoco-

eprasa.pl 780403eca0

wała wielogodzinnymi monologami. Od zawsze sceptyczny wobec religii, zaczął ją zwalczać. W 1820 roku wydał „Księgę nowej światowej moralności", w której już nie zalecał rozwiązań dla poszczególnych spraw prowadzenia fabryki czy osiedla robotniczego, lecz przebudowę całego społeczeństwa. Ludzie mieli być zrzeszani w „kooperatywach" rolniczo-robotniczych, mieć udziały w swojej produkcji i decydować o wszystkim wspólnie.

Fabrykantowi zdawało się, że pojął naturę ludzką, wyobraził sobie, że można ją dowolnie ukształtować, że każdego człowieka można wychować do swojej profesji i społecznej roli. „Dzieciom można wpoić przez wychowanie zbiorowe wszelkie poglądy i przyzwyczajenia" – przekonywał Owen, gdy postulował zniesienie własności, pieniądza czy różnic między ludźmi – „można im nadać przez wychowanie, jaki się chce charakter. [...] Jest rzeczą ważną, żeby zawsze pamiętać o tej zasadzie i żeby jej prawdziwość nie ulegała dla nas najmniejszej wątpliwości" – pisał. Gdy sto lat później powstanie sowiecka organizacja młodzieżowa – Komsomoł – będzie działała z tym samym przekonaniem. Przedsiębiorca obliczył, że samowystarczalność „kooperatywy" pozwoli znieść pieniądze i własność prywatną. Tak oto powstały pierwsze pomysły tworzenia komun. Owen nie rozdzielił sukcesu pojedynczego przedsiębiorstwa w New Lanark od ogólnych praw ekonomii i relacji międzyludzkich. Gdy część zysków z eksportu wełny zainwestował w polepszenie doli pracowników, wydawało mu się, że da się takie miasteczko powielić na całym globie.

Przemysłowcy brytyjscy ze zdziwieniem słuchali przekonywań Owena, który z dobrego gospodarza stawał się fanatykiem. Socjalista zatracił się w swojej idei i nie mogąc znaleźć życzliwego odzewu, w 1824 roku sprzedał swoje udziały w fabryce i wyjechał do Ameryki Południowej, chcąc tam zakładać samowystarczalne osady. W USA rozkwitała wtedy dynamika oparta na odwadze, własności prywatnej i inicjatywie, więc Owenowi trudno było znaleźć wioskę, gdzie by go wysłuchano z uwagą. Paradoksalnie ten wróg chrześcijaństwa odnalazł pewnych zwolenników we wspólnocie filadelfijskich kwakrów, a więc radykalnie surowych i religijnych protestantów. Z gotowymi projektami budowy społeczeństwa socjalistycznego Owen zabrał się z kwakrami do pracy, ale rzeczywistość Filadelfii okazała się inna niż w Walii czy Szkocji. Wiejska osada nie miała drogiego towaru eksportowego, technologii i przemysłu – tu trzeba było wydzierać ziemi każdy kęs chleba i deskę do budowy domu. Przy rozwijaniu osiedla wybuchały spory o budulec, czas pracy i własne zaangażowanie. Niedokończony projekt świecił pustkami, gdy kwakrzy wrócili do domów wieść swoje poprzednie życie. Po czterech latach wprowadzania socjalizmu w Ameryce, Owen wrócił do Wielkiej Brytanii i ponownie zaczął pracować w przemyśle włókienniczym. Rzucił się w wir publikacji, tworzenia jeszcze bardziej abstrakcyjnych wizji socjalistycznego społeczeństwa, postulowania zniesienia waluty i wieszczenia upadku wszystkich narodów. Na stare lata Owen oddał się spirytualizmowi – zamiast ekonomicznych kalkulacji przyszło mu wywoływać duchy i szukać ukrytych mocy łączących człowieka z kosmosem.

Pierwszy wśród szaleńców

O ile Saint-Simon czy Owen mieli w sobie jakieś pokłady szaleństwa, o tyle Charles Fourier wydawał się głęboko niepoczytalny. W każdej pracy wspominał o sobie jako niepojętym geniuszu, twierdził, że przeobrazi świat, ludzi, a nawet zwierzęta.

To było coś więcej niż megalomania: „ja sam wstrząsnę dwudziestoma wiekami głupoty politycznej" – zapowiadał. „Przede mną ludzkość straciła wiele tysięcy lat na szaleńczą walkę z Naturą. Ja pierwszy ugiąłem się przed Nią, badając przyciąganie, instrument Jej zarządzeń. Ona to raczyła się uśmiechnąć do jedynego śmiertelnika, który przed Nią zapalił kadzidło i wydała mi wszystkie swoje skarby. Posiadając Księgę Przeznaczeń, przychodzę, aby rozproszyć ciemności polityczne i moralne, a na gruzach niepewnych nauk wznieść teorię harmonii powszechnej".

O ile Saint-Simonowi zdarzało się wspominać, że objawiał mu się Chrystus albo Karol Wielki, o ile Robert Owen potrafił w wielkiej mowie w 1817 roku kwestionować setki lat chrześcijaństwa, o tyle Fourier sam zdawał się być mesjaszem.

Jego książki opatrzone są specjalnymi instrukcjami, jak je należy czytać, jakby spodziewał się ufundowania nowej religii na kanwie jego dzieł. W pracy „Teoria czterech ruchów" nakazywał „pięć kolejnych rozdziałów – [czytać] dwa razy, a nawet trzy", następnie „wykaz niniejszy przeczytać parokrotnie" albo „zamknąć książkę i nie czytać dalej". Czym była „Teoria

eprasa.pl 780403eca0

czterech ruchów"? „[moja teoria] prowadzi do innych odkryć [...] ja tylko mogłem do nich dojść, ponieważ tylko ja owej teorii dociekałem i ja ją pojąłem". Jego teoria miała „spełnić nadzieje narodów, zapewniając każdemu ów stopniowy dostatek, który jest przedmiotem wszelkich pragnień". Fourier twierdził, że światem targają cztery mechanizmy, z których wyłania się dwanaście ludzkich namiętności, które – krzyżując się i przenikając – tworzą 810 typów charakteru. Dlatego idealna wspólnota będzie liczyć 1620 osób (415 mężczyzn, 395 kobiet i dzieci).

Idealna wspólnota – i oto główny wynalazek Fouriera – nosiła nazwę „falansteru". Tutaj Francuz popuszczał wodze swojej paranoi i swoich fantasmagorii, wnioskując na podstawie przez siebie wymyślonych pojęć: „Namiętności przyogniskowe [...] ku którym grawitują istoty ludzkie wszelkiego stanu [...] to: luksizm, grupizm, seriizm" – żonglował filozof nowymi pojęciami, tworząc własny, odrębny świat. W falansterach praca miała być rotacyjna, aby zachować entuzjazm, miała być podzielona wedle tych abstrakcyjnych Fourierowskich namiętności, a ludzie mieli ją wykonywać z radością. Zarobki miały być wypłacane według wzoru dzielącego zysk: 5/12 dla pracy ręcznej, 4/12 dla kapitału akcyjnego i 3/12 dla wiedzy teoretycznej i praktycznej. Każdy robotnik miał być udziałowcem zakładów pracy, przez co byłby współwłaścicielem środków produkcji – te pomysły nie były traktowane przez następnych socjalistów pobłażliwie – przecież liczne „uspołecznione" zakłady pracy i gospodarstwa rolne były w XX wieku rozsiane na 1/3 powierzchni całego globu.

Jeśli ktoś uważa, że są to jakieś szczyty głupstw, to najlepsze dopiero przed nami. U znawców marksizmu znany jest fragment, w którym Fourier obiecuje, że wraz z wprowadzeniem jego systemu na całym globie woda w morzach zamieni się w... lemoniadę. Ale tych wizji było więcej – wraz z powstaniem 6 milionów falansterów lodowce miały się roztopić, a wilki i rekiny dać się oswoić (w pewnym sensie także przestać jeść mięso). Po zmianie globu zacznie się zmieniać wszechświat, bo autor „Teorii czterech ruchów" wiedział, „co dzieje się w innych światach, na Słońcu, na Księżycu, Jowiszu, Syriuszu, na Mlecznej Drodze i na innych ciałach niebieskich". Trudno było kwestionować wymysły Fouriera, bo z jednej strony były absolutnie niczym niepodparte, z drugiej – on sam uznawał, że botanika nie jest nauką. Jak tu polemizować z kimś takim?

I paradoksalnie ten najbardziej szalony socjalista utopijny stał się najbardziej cytowany spośród omawianej tu trójki. We Francji, na przykład pod Paryżem, zaczęto wznosić pierwsze falanstery, idea przeniosła się też do Ameryki Południowej, a Marks i marksiści wzorowali się na niektórych założeniach Francuza. Uczniowie, Victor Considérant (1808–1893) i Étienne Cabet (1788-1856), założyli komuny, które próbowano wskrzeszać aż do końca XIX wieku, a więc nawet po śmierci komunisty głównego nurtu – Karola Marksa. Co ciekawe, socjalizm w ich wydaniu zaczął ciążyć do chrześcijaństwa, odwoływać się do Jezusa Chrystusa i miłości bliźniego.

To warto podkreślić szczególnie – każda z socjalistycznych idei, jakkolwiek walczyłaby z Bogiem, jakkolwiek stawiałaby na piedestale materię, dobrobyt i produkcję, zawsze kończy w poszukiwaniu duchowości. Saint-Simon ostatnie lata życia poświęcał badaniu chrześcijaństwa, Owen uciekł w seanse spirytystyczne, a uczniowie Fouriera szukali formuły „socjalizmu chrześcijańskiego. Gdy Lenin założył swoje sowieckie państwo komunistyczne, jeden z jego ideologów, Anatolij Łunaczarski, przerabiał założenia marksizmu na nową religię, gdzie prorokiem miał być Marks, rajem – socjalizm, a Chrystusem – robotnik, zmartwychwstający w dobie rewolucji.

Osobliwą ciekawostką jest praktyczny eksperyment Charlesa Fouriera. Był wszak założycielem falansteru, który w bardziej kapitalistycznej formie przetrwał do dziś. 70 kilometrów od Paryża, w miejscowości Condé-sur-Vesgre w 1832 roku powstała wymarzona przez niego komuna. Nie było co prawda tylu chętnych, co w założeniach „Teorii czterech ruchów", ale przystąpiono do prac budowlanych i organizowania gospodarki rolnej na wykupionych 460 hektarach ziemi. Wkrótce jednak zaczęły się spory w kierownictwie oraz – jak w przypadku Owenowskiej osady kwakrów – nieufność wobec podziału dóbr. W 1836 roku falanster ogłosił swoją upadłość, a rok później zmarł sam Fourier.

Kilka lat później czytelnicy Fouriera odnowili osadę i założyli tam swoistego rodzaju spółkę, najpierw przemysłową, później handlową. Dziś prowadzi się tam gospodarstwo agroturystyczne. Tyle zostało z wielkiego planu przebudowy wszechświata – ale to i tak bardziej pożyteczne niż owoce ideologii samego Karola Marksa, twórcy socjalizmu podobno naukowego. ■

eprasa.pl 780403eca0



Ewa Polak-Pałkiewicz

Obcy. Człowiek zbuntowany w czasach zarazy

Krytycy, a raczej otwarci wrogowie obecnej władzy w Polsce, to ludzie odrzucający całą religijną i filozoficzną tradycję Zachodu. Są jak Albert Camus i inni egzystencjaliści gwałtownie atakujący Kościół – uznając, że przywoływane przez niego prawo naturalne, prawo Boże i zasady moralne są formą zniewolenia.

Napisano setki analiz, komentarzy, felietonów, esejów, zrobiono dziesiątki wywiadów z mądrymi ludźmi, żeby zrozumieć syndrom nienawiści, niechęci, wstrętu, odrzucenia rządzących – i nas, tych, którzy ich popierają. Nie warto mówić o tych, którzy przyjmują taką postawę dla kariery i pieniędzy – mechanizm zdrady dla zysku jest dobrze znany. Nie warto też mówić o subkulturze celebrytów, którzy są odpowiednikami XIX-wiecznego drobnomieszczaństwa i słowo „kołtuneria" nie powinno im uwłaczać. Wielu Polaków usiłuje jednak zrozumieć postawę swoich dawnych przyjaciół, dziś czynnych w opozycji lub ją popierających. Są w opozycji wobec rządu i Prawa i Sprawiedliwości nie dla materialnych profitów. I nie znoszą żołnierzy strzegących polskiej granicy, Straży Granicznej i policjantów, ludzi manifestujących poparcie albo nawet neutralność wobec rządzących. Są w kontrze wobec wszystkich, którzy nie załamują rąk z powodu sprawowania władzy przez PiS, nie krytykują jej, nie poniżają i nie złorzeczą. Ta postawa ma podłoże nie tylko polityczne.

Najczęściej jako przyczynę owego wrzenia nienawiści i odrazy przedstawia się żal po stracie uprzywilejowanej pozycji. Poczucie upokorzenia, gorycz przegranej. Komuniści, a potem liberałowie skrupulatnie pielęgnowali społeczny podział, by nie powiedzieć: segregację, próbując go także stosować w praktyce po roku 1989. Demokracja była dla nich tylko sloganem, nic nieznaczącym hasełkiem.

Atak na polską granicę wschodnią przyprawił stronnictwo opozycyjne o całkowitą histerię; do zestawu zarzutów wobec władz, które wciąż rządzą bez ich przyzwolenia („niekompetencja", „nieudolność", „głupota"), dołączyły te o „nieludzkie traktowanie uchodźców".

Casus artystów. Buntujemy się, więc jesteśmy

W tym wszystkim zastanawia postawa dużej części środowiska artystycznego. Irracjonalność krytyki i agresji z ich strony może budzić poważniejsze pytania. Minister Piotr Gliński określa postawę przyjętą przez sprzymierzeńców opozycji w środowiskach artystycznych jako „taktykę spalonej ziemi". Jest to wynik zakwestionowania „prawa do sprawowania władzy legalnie, demokratycznie wybranemu rządowi". Przypomniał, że rządzący zdają sobie sprawę z genezy tych zachowań, ale nie uważają, że otwarty spór byłby czymś na miejscu. Chcą działać politycznie, liczą na opamiętanie tych ludzi w dłuższej perspektywie. A jednak pojawia się obawa, czy bez zrozumienia głębszych uwarunkowań tych zjawisk można spodziewać się pojednania czy choćby neutralności tego środowiska wobec sprawujących władzę.

Szczególny stan umysłu, jakiego skutki obserwujemy dziś w naszym kraju, opisał Albert Camus w powieści „Dżuma" z 1947 roku. Ten stan umysłu nie wynika z konkretnej orientacji politycznej, lecz z czegoś bardziej podstawowego: zanegowania porządku świata. Camus prezentując to stanowisko, próbuje udowodnić w swojej powieści, że wiara i wypływające z niej zasady życia to zdrada ludzkości. Katolicki kapłan jest tu przedstawiony nie tylko jako głupiec, lecz także jako tchórz. Bohater powieści, lekarz, przekonuje, że jedyną racjonalną postawą, jaką może zająć uczciwy człowiek, jest postawa walki przeciw porządkowi świata. Zdaniem Camusa wszyscy ludzie, jako stworzenia, są nieszczęsnymi ofiarami, kompletnie bezsilnymi wobec okrutnego porządku kosmicznego, któremu wszyscy zawdzięczamy nasze cierpienia, brak nadziei, a wreszcie ostateczne unicestwienie. Ktoś, kto wierzy w chrześcijańskiego Boga, musi więc siłą rzeczy być stroną otwarcie skierowaną przeciwko „niewinnym ludziom". Taki ktoś jest nie tylko godny pogardy. Jest kłamcą i oszustem.

„Pisarz powtarza nieustannie, że musimy wybrać: albo uznamy człowieka za winnego, a Boga za niewinnego i podporządkujemy się Mu, albo człowieka za niewinnego, a Boga za winnego i zbuntujemy się przeciw Niemu. On sam zaleca bunt. Pisze, że człowiek musi się stać metafizycznym buntownikiem, że musi sprzeciwiać się ze wszystkich sił samemu porządkowi stworzenia. [...] zaleca, byśmy trwali w sprzeciwie wobec całego mechanizmu naszego zbawienia" – podsumowuje przesłanie powieści Edwin Faust, amerykański publicysta.

To, co w porządku świata prawdziwe, nieuniknione, odwieczne: Stworzenie i Objawienie, a wraz z nimi religia objawiona – chrześcijaństwo, a także obecność władzy i jej autorytetu, hierarchii, państwa, prawa – traktowane jest przez nosicieli tego rodzaju poglądów oraz przez ludzi, którzy pogardzają wiarą, a którym władza i uprzywilejowana pozycja wymykają się z rąk, jako niesprawiedliwe, groźne, nieludzkie. Zaakceptować można zatem tylko dwa warianty: całkowite przejęcie sterów świata przez nich, i to we wszystkich dziedzinach, oraz podporządkowanie sobie wszystkiego i wszystkich, a docelowo utopijny raj na ziemi, w którym ludzie dobrowolnie wyzbędą się wszelkich poglądów zakładających istnienie nierówności, autorytetu, zasad, norm, porządku. Dla dzisiejszych przeciwników rządu tą krzyczącą niesprawiedliwością jest sam fakt, że rządzi ktoś „z innej bajki", „z obcego plemienia".

W gruncie rzeczy reprezentują oni – niekoniecznie świadomie – postawę typową dla epoki pogaństwa, a konkretnie barbarzyństwa – gdy władzę wydzierano sobie siłą, bo posiadanie władzy było kwestią życia lub śmierci. Nie przyjmowano do wiadomości, że jest ustanowiona przez Boga dla dobra człowieka. Nie uznawano, że jest czymś pozytywnym, bo przynosi ład, ochro-

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 780403eca0

nę terytorium, daje prawa, zapewnia rozwój. To nie miało znaczenia w obliczu nieokiełznania pierwotnego instynktu, żądzy posiadania władzy dla niej samej.

Czy nie dlatego, że tak mocno mentalność współczesnych ludzi, także Polaków, przeniknięta jest dziś pogaństwem – coraz częściej sztucznie odtwarzaną, zwłaszcza w środowiskach naukowych i artystycznych, achrześcijańską tradycją pierwotną – sypią się dziś gromy na wszystkich, którzy sprawują w Polsce władzę, reprezentują ją lub się z nią utożsamiają? Ta władza odwołuje się do norm chrześcijańskich, starając się kontynuować najlepsze tradycje władzy państwa europejskiego. Nie wyznaniowego wprawdzie, lecz którego większość obywateli to katolicy; popiera Kościół, większość jej prominentnych przedstawicieli to praktykujący katolicy.

Tymczasem krytycy, a raczej otwarci wrogowie tej władzy, to ludzie odrzucający całą religijną i filozoficzną tradycję Zachodu. Tak jak Camus i inni egzystencjaliści gwałtownie atakujący Kościół – uznając, że przywoływane przez niego prawo naturalne, prawo Boże i zasady moralne są formą zniewolenia.

Wykorzenieni na własną prośbę, wyzuci z kultury, obcy na własnej ziemi. Ludzie ci czują się dziś w Polsce tak, jakby grunt im się usuwał spod nóg, jakby na głowę spadały odłamki skał. Nie potrafią tego ukryć. Wulgarne słowa, niekontrolowany stek wyzwisk albo przyzwolenie na agresję słowną innych, brak hamulców moralnych, także na użytek własnego środowiska, mówią same za siebie. Tak zachowuje się barbarzyńca, który nie zetknął się z chrześcijaństwem i który zarazem bardzo się boi. Oczy i twarze tych osób wyrażają niepokój i panikę.

Skąd wzięło się państwo polskie

Gdy Mieszko I kazał ustawić na swojej ziemi krzyż i zaczął oddawać mu cześć, rozpoczęła się historia naszego państwa. Nie mamy innej historii. Nie będzie innego polskiego państwa. Nawrócenie Mieszka I oznaczało rozstanie się władcy Polan z naturalizmem, odrzucenie pogańskiej kultury, zerwanie z tradycją pierwotną. Profesor Krzysztof Ożóg przypomina w książce o chrzcie Polski, że przyjąwszy wiarę, Mieszko I odprawił swoich siedem „żon", które towarzysząc mu do tej pory, nie tylko potwierdzały jego siłę i męskość, lecz także były oznaką prestiżu wojownika.

Dziś mamy w Polsce do czynienia z przejawami procesu, chciałoby się rzec, odwrotnego. Widoczny jest on także w wielu obszarach kultury, gdzie lewica i prawica (ta najbardziej „konserwatywna") pospołu – choć werbalnie tego nie potwierdzają – działają wspólnie na rzecz rewolucji. Wyraźne symptomy odwoływania się do naturalizmu (czyli do przekonania, że nie ma nic poza materią, nie istnieje zewnętrzna racja istnienia, również rzeczywistość społeczną reguluje biologia i prawa przyrody) w kulturze i obyczajowości, a także w całej sferze publicznej, nie szokują już, zdążyliśmy się do nich przyzwyczaić. Prawie nie zauważamy wszechobecnego bałwochwalstwa związanego z władzą, pieniędzmi, wynalazkami technicznymi. Ani tego, jak gloryfikowany i wyznawany na modłę nowej religii jest sport. Masowe rozrywki na stadionach przypominają coraz bardziej igrzyska, ekstrakt pogańskiej kultury, która czcią otaczała witalność, siłę biologiczną człowieka. Do tego dochodzi kult ciała praktykowany w gabinetach odnowy, luksusowo wyposażonych łazienkach – przy niezobowiązującym traktowaniu stroju – przypisywanie jednostce specjalnych praw niepochodzących od prawa moralnego.

Znamienne jest adaptowanie do potocznego języka pojęć, którym przez zabiegi semantyczne odbiera się jednoznaczną treść. Wielu ludzi nie potrafi nazwać właściwym słowem rzeczy. Jasne definicje, tak jak jasny osąd sytuacji – także politycznej, jak ta na naszej granicy wschodniej – stają się czymś nad wyraz kłopotliwym. Nadużywa się słów „jakby", „w sensie", które nieudolnie pokrywają bezradność poznawczą; umysł ludzki dryfuje. Wszystko to od dawna miękko wchodzi w każdą niemal sferę życia; wcale niełatwo jest więc zauważyć, że w podziałach, jakie dziś mają miejsce w Polsce, tych, które najbardziej kłują nas w oczy, tło polityczne nie odgrywa roli decydującej.

Proces „rozpuszczania" religii

Obecna władza w Polsce nie podoba się tej części społeczeństwa, która nie chce powrotu do zasad moralnych. Ma być „tak, jak było" – wtedy, gdy PRL, a potem okrągłostołowy kompromis de facto zniosły zasady moralne. A następnie zostały one dobrowolnie odrzucone przez część społeczeństwa jako zbędne, utrudniające egzystencję, mącące przyjemność konsumpcyjnej beztroski, komplikujące życie. Przywracanie ich w życiu publicznym kojarzy się tej grupie Polaków z niewygodą, ciężarem, mozołem, a nawet zniewoleniem. Już trzydzieści kilka lat temu Romano Amerio przepowiadał, że jest całkiem możliwe, iż „proces rozpuszczania religii katolickiej w substancji świata będzie postępował nadal i że rodzaj ludzki zmierza ku totalnym przekształceniom form politycznych, wierzeń religijnych, struktur gospodarczych, instytucji globalnych i pojęć kulturowych".

Ale jest zupełną pomyłką pogląd, że „im mniej religii" (katolickiej), tym ludzie są bardziej zgodni i nieskłonni do waśni politycznych. Przeciwnie, na dnie każdego zagadnienia politycznego ukrywa się zagadnienie teologiczne (jak w „Spowiedzi rewolucjonisty" trzeźwo zauważył Proudhon). „Nowoczesność", „Euro-

eprasa.pl 780403eca0

pa", „postęp", „wolność", w imię których ponawiane są w Polsce ataki histerii, są tylko zasłoną dymną. W myśl tej nowej wiary wszystko, co dla społeczeństwa najlepsze, miałoby się dokonywać „w imię rozwoju człowieka traktowanego jako samoistny cel, za pomocą środków czysto ziemskich" (R. Amerio). Zapowiedź wspaniałego życia, w którym człowiek uwolniony jest wreszcie od moralnych zobowiązań, gdzie triumfuje niczym nieuszczuplona wolność jednostki i totalne zawojowanie świata (łącznie z kosmosem) oraz podporządkowanie temu celowi wszystkich społeczeństw i każdej jednostki, znajdujemy nie tylko w filozofii marksistowskiej, w neomarksizmie kulturowym, lecz także w nowoczesnej teologii, w neomodernizmie.

Tak jak kiedyś w Paryżu

Tak jak w czasach Camusa, gdy świat kulturalny Paryża – zdominowany przez lewicę, egzystencjalistów – okrzyknął go jednym z najwybitniejszych myślicieli XX wieku, odradza się dziś postawa skrajnego nihilizmu, negowania dorobku kultury zachodniej wyrastającej z chrześcijaństwa. Najłatwiej łykają ten nihilizm ludzie, których prywatne obsesje związane są z utratą osobistej pozycji.

Cytowany wyżej Edwin Faust, komentujący powieść Camusa, uważa, że bunt – lansowany w środowisku artystycznym i naukowym we Francji lat 40., 50., a wkrótce i w Stanach – stał się dziś w świecie zachodnim czymś powszechnym, choć nie zawsze świadomym.

Urodzony we francuskiej Algierii, na przedmieściach stolicy, w biednej rodzinie Albert Camus zdążył jeszcze przed wojną wstąpić do partii komunistycznej. Wydalony z niej za ostry język i niezależność, zatrudnił się w antykolonialnej gazecie „Alger Républicain". W 1936 roku założył razem z grupą robotników i przyjaciół „Théâtre du Travail" (Teatr Pracy), w którym grano sztuki Malraux i Gorkiego. Na stałe zamieszkał we Francji w 1942 roku. Był w ruchu oporu. Zaprzyjaźniony z Jean-Paulem Sartrem, dość szybko się jednak z nim poróżnił i złościł się, gdy nazywano go egzystencjalistą.

Absurd i bunt to centralne tematy filozofii Camusa. Absurdem jest, jego zdaniem, że można się narodzić i umrzeć i nigdy nie być szczęśliwym. To skłaniało go do przyjęcia tezy, że samo przyjście na świat człowieka jest czymś absurdalnym, tak jak i jego śmierć. Nurtowała go kwestia samobójstwa, rozważał, czy ono nie będzie najlepszym remedium na absurd egzystencji. „Jest tylko jeden problem filozoficzny prawdziwie poważny: samobójstwo. Orzec, czy życie jest, czy nie jest warte trudu, by je przeżyć, to odpowiedzieć na fundamentalne pytanie filozofii" – pisał.

Nasi bracia Polacy z szeregów opozycji, w tym artyści, literaci, aktorzy, znaleźli się dziś na podobnej pozycji jak francuscy egzystencjaliści: z powodu deklarowanego współczucia wobec człowieka są w stanie zanegować i wywrócić wszystko, co stanowi ład państwowy. Sojusze z groteskowym dyktatorem zza wschodniej granicy czy z lewakami z UE, którzy zupełnie nie kryją, jak bardzo dzisiejsza Polska przeszkadza ich protektorom z Niemiec, nie przynoszą im, we własnym mniemaniu, najmniejszej ujmy. Oni „walczą z reżimem", „litują się nad zziębniętymi ludźmi", płaczą z powodu kobiet i dzieci. Kochają człowieka.

Albert Camus, wyedukowany dobrze w filozofii starożytnej i literaturze klasycznej we francuskim liceum w Algierze, był typowym intelektualistą, wiernie trzymał się własnej doktryny. Rozumowanie wyprowadzał z zasad, doświadczenie było czymś drugorzędnym. Wolność totalna jednostki była jego dogmatem. Socjologia i psychologia wystarczająco tłumaczyła, jego zdaniem, wyznawanie religii jako efekt zaburzonej świadomości. Wszystko, co prawdziwe i godne uwagi, wyprowadza się ze świadomości jednostki. Wolność jest owocem świadomości i fundamentem godności człowieka. (Te egzystencjalistyczne tezy znajdziemy później licznie rozsiane w dokumentach II Soboru Watykańskiego).

Bezcenne lekarstwo – bunt

Obaj myśliciele, Sartre i Camus, nie uniknęli pułapki, jaką jest fałszywy humanizm. Ponieważ „miłości" ku ludzkości nie da się wcielić w życie, wszystko na tym świecie w sposób nieunikniony jest ich zdaniem nie tylko pozbawione sensu, lecz także odrażające, przyprawiające o mdłości. Gdy miarą miłości nie jest Bóg, gdy Boga traktuje się jako satrapę, człowiek zamyka się w świecie pychy i zmysłowości, z którego niezwykle trudno jest mu się uwolnić.

W zbiorze esejów „Człowiek zbuntowany" Camus doszedł do wniosku, że właściwą odpowiedzią na absurd jest bunt. Pisarz kreśli portret historycznego człowieka w fazie buntu. Przywołując Epikura i Lukrecjusza, markiza de Sade, Hegla, Dostojewskiego, Nietzschego, analizuje idee buntu i rebelii, wspólne dla różnych zjawisk społecznych. W ten sposób nadaje rangę postaciom „kontrkultury" w różnych epokach myśli i sztuki europejskiej, dostrzegając w ich postawach przejawy „filozofii" buntu. Ta książka wciąż wielu ludzi inspiruje. Nadaje polor bohaterstwa i nonkonformizmu skrajnie egocentrycznym i nihilistycznym postawom.

Uzasadniając przyznanie Camusowi Nagrody Nobla w 1957 roku, stwierdzono, że docenia się jego „ogromny wkład w literaturę, ukazującą znaczenie ludzkiego sumienia".

eprasa.pl 780403eca0

Memento mori

Camus już jako młody chłopak miał szansę, by odczuć kruchość życia i zdać sobie sprawę z rzeczy ostatecznych. W szkole był obiecującym piłkarzem. „Karierę sportową raptownie przerywa jedna z największych tragedii jego życia. W grudniu 1930 zaczyna intensywnie kaszleć, słabnie, pluje krwią... Trafia do szpitala w panicznym lęku przed śmiercią. Bolesne leczenie i gorączkowe halucynacje zmieniają wrażliwość chłopca" – czytamy w jego biografii. Długo leczony w szpitalu, powracający do niego, już odtąd zawsze żył w cieniu gruźlicy, nieustannie paraliżowany lękiem. „Choroba jest lekiem przeciwko śmierci, przygotowując na nią człowieka" – miał wyrazić się potem, jakże trafnie. Ale śmierć jest tylko niesprawiedliwą karą!

Gdyby Albert Camus, który tyle miejsca w swojej twórczości poświęcił rozważaniu kwestii samobójstwa – jako aktu pełnej wolności – mógł pojąć, że „Cień śmierci to niewiele więcej niż zmierzch", jak mówił Robert H. Benson po swoim nawróceniu... Był jednak zbyt zajęty kwestią absurdu życia, nie zdążył przed swoją tragiczną śmiercią w Burgundii, gdy wracał samochodem do Paryża (w 1960 roku) wraz ze swym wydawcą i przyjacielem Michelem Gallimardem. W kieszeni jego płaszcza znaleziono rękopis nieukończonej książki „Pierwszy człowiek". Miał 46 lat.

Francja, gdzie pisarz był bardzo popularny, doznała wstrząsu. Trzeba jednak dodać, że gdy zadeklarował się przeciwko komunizmowi, nie szczędzono mu ataków. Zarzucano mu neutralność w sprawie wojny w Algierii. Jego dawny przyjaciel Sartre stał się pupilkiem komunistów, podczas gdy on, na przekór modzie panującej wśród francuskich intelektualistów, surowo ocenił stalinizm, ujawnił przemilczane na Zachodzie zbrodnie sowieckie. Później naraził się temu środowisku, potępiając sowiecki najazd na Węgry w 1956 roku. W 1957 roku ubiegał się o Nagrodę Nobla dla Borysa Pasternaka za powieść „Doktor Żiwago". (Gdy pisarzowi-dysydentowi przyznano tę nagrodę tow. Chruszczow skomentował to: „Nawet świnia nie paskudzi tam, gdzie je").

Protestantyzm próbował odciągnąć uwagę człowieka od śmierci i życia wiecznego. Kościół katolicki przypominał zawsze, że życie na ziemi jest tylko krótkim epizodem. Nie ono jest celem człowieka. Celem jest zbawienie, życie z Bogiem. Nauka o „rzeczach ostatecznych" nigdy nie była pesymistyczna – choć to właśnie usiłowali zarzucić Kościołowi protestanci, którzy sami o wieczności mówili niejednoznacznie; dla nich nie jest do końca jasne, co tak naprawdę dzieje się z duszą człowieka po śmierci.

Zwłaszcza tym, którzy na ziemi cierpieli, Kościół niósł zawsze pociechę, mógł z największą pewnością przekazywać prawdę objawioną – niebo jest faktem, jest rzeczywistością, którą Bóg obiecał człowiekowi, gdy Mu zaufa i będzie wierny do końca. I nie będzie udawać, że on tu wszystko sam, „tymi rękami"... Sensem życia człowieka jest prawda o nieśmiertelności ludzkiej duszy stworzonej przez Boga i o warunkach zbawienia; to dogmat wiary katolickiej. U protestantów nie ma dogmatów. Są zastąpione mglistymi przypuszczeniami. Dlatego grzech nie jest dla nich sprawą istotną. Spowiedź jest niepotrzebna. Człowiek może mieć nadzieję zbawienia, gdy uważa, że kocha bliźnich i jest dla nich miły.

Kontestatorzy tak naprawdę walczą nie tylko z władzą i jej przejawami. Walczą przede wszystkim ze skutkami świadomości, że są śmiertelni. Bunt jest dla nich zastępczą formą przetrwania, daje namiastkę życia wiecznego, gdy świadomość nieuchronności śmierci paraliżuje wolę i umysł.

W Polsce nie przeprowadzono dekomunizacji. Żadnego oficjalnego rozliczenia z marksizmem i ze spustoszeniami, jakich w życiu umysłowym Polaków i w funkcjonowaniu państwa dokonał sowietyzm. Zamiast dekomunizacji pojawiła się wkrótce subtelniejsza, humanistyczna odmiana marksizmu, ideologia praw człowieka. Dziś zaś wraca, widoczna zwłaszcza w środowiskach artystycznych, fascynacja egzystencjalizmem, nazywanym filozofią, choć z filozofią nie ma nic wspólnego. We Francji egzystencjalizm zawdzięczał swą popularność także temu, że był pełen namiętności, swoiście barwny. Albert Camus, dwukrotnie żonaty, którego życie prywatne wypełnione było romansami, fascynował młodych ludzi nie tylko jako pisarz, lecz także jako „król życia", dobrze ubrany, zamożny, towarzyski i „bez zobowiązań".

Jednak każda błędna filozofia staje się systemem opanowującym ludzki rozum. Bezwzględnym i niszczącym. Niszczy to, co jest prawdziwe. Prawdziwa jest zależność człowieka od Boga. Prawdziwe jest życie duchowe oparte na znajomości prawd wiary, na miłości Boga, z których wynika także utożsamienie się z losem własnej Ojczyzny i jej kulturą, i lojalność wobec niej. Tych dwóch nurtów życia duchowego rozdzielić się nie da, bo łączą w jedną całość wiarę, rozum, miłość, tęsknotę człowieka za nieśmiertelnością.

Pisarze tacy jak Camus byli prorokami nowej ery – żefektu wygranej batalii o nową kulturę Europy i Ameryki, która miała zaniechać podkreślania jakiejkolwiek więzi intelektualnej z chrześcijaństwem. Nic nie miało zostać z piękna, szlachetności kultury Zachodu, skierowanej ku górze, ku światu niewidzialnemu, nadprzyrodzonemu. To wszystko miało zostać wyśmiane, ukazane jako obrzydliwość, głupota i tandeta. Ta wielka batalia zakreśla coraz większe kręgi, nie wyłączając Kościoła.

„Teraz rozumiem..."

Minister Gliński mówi, że „dziś po stronie opozycyjnej są nienawiść, agresja, dekonstrukcja, rozwalanie

eprasa.pl 780403eca0

wszystkiego, co stanowi Polskę…", a „my musimy działać inaczej". Twierdzi, że „są tam przecież także ludzie rozumiejący Polskę i reguły demokracji. Po drugie, my jesteśmy tymi, którzy szanują demokrację i wolność. Po trzecie, musimy rozmawiać z nieprzekonanymi, to nasz obowiązek wspólnotowy". Ale czy demokracja i wolność, cokolwiek by nimi było, naprawdę może stać się tym wytrychem, który otworzy umysły tych ludzi, by mogli dostrzec świat rzeczywisty i innych ludzi obok siebie? By mogli ujrzeć także samych siebie…

„Po raz pierwszy widzę świat takim, jaki naprawdę jest, a nie takim, za jaki go uważałem" – pisał Robert H. Benson, nawrócony z anglikanizmu, w „Wyznaniach konwertyty": „…widzę plan Boga dla mnie, biegnący jak złota nić przez tę niespokojną krainę, przez którą szedłem. Teraz rozumiem, że istnieje związek logiczny we wszystkim, co Bóg czynił – że On uczynił z jednej krwi wszystkie narody ziemi, że nie istnieje ani jedno dążenie, wychodzące z ciemności, które nie znajduje swojej drogi do Niego, ani jeden złamany czy zniekształcony system myślenia, który w końcu nie zabłyśnie z powrotem jednym promieniem wiecznej chwały, ani jedna dusza, która by nie miała swego miejsca w jego ekonomii. Z jednej strony, istnieje pragnienie, pożądanie i niepokój, z drugiej – zadowolenie i pokój. Nie ma instynktu, który by nie miał swojego celu, nie ma sadzawki, która by nie odbijała słońca, nie ma miejsca na zniekształconej ziemi, które by nie miało nad sobą nieba. Przez całą tę zrujnowaną pustynię On przeprowadził mnie, w swej nieskończonej dobroci, do miejsca, gdzie zstąpiła z nieba Jerozolima, która jest matką nas wszystkich. On wywiódł mnie z błota i gliny i postawił moje stopy na skale. On zabrał mnie z błędnych ścieżek, które prowadzą donikąd na szeroką drogę, która wiedzie do Niego".

Fakt, że odbudowuje się w Polsce ład państwowy wsparty na autorytecie rządzących, a nie na technokracji podporządkowanej globalnym strategiom, jest poważnym zagrożeniem planów przekształcenia cywilizacji Zachodu, jaka rozpoczęła się wraz ze chrztem władców europejskich państw, w odpowiednik plemiennej wspólnoty. Na modłę tej, którą ukształtowała tradycja pierwotna – emanacja pogańskiego społeczeństwa kultywującego zemstę, niewolnictwo, ofiary z ludzi i wielożeństwo.

Umysł Mieszka I musiał w 966 roku dokonać ogromnego skoku; przejście od religii pogańskiej do wyznawania Trójcy Świętej łączyło się zarówno z pokorą niezbędną do przyjęcia prawdy z ust katechety (najprawdopodobniej był nim biskup Jordan), jak i z wielką pracą intelektu. Pośród zmienności ludzkiego losu i przyziemności ludzkich celów Mieszko ujrzał niezmienność Boga i Boga jako cel. Stało się dla niego jasne, że istnieje cel, który przekracza jego własną naturę i jej prawa, wobec którego nawet najsilniejszy i najodważniejszy wojownik i najpotężniejszy władca okazuje się nic nieznaczącym prochem.

Mieszko musiał swoim umysłem przyjąć ideę nieśmiertelności ludzkiej duszy i wszystkie jej konsekwencje, także fakt, że w myśl religii chrześcijańskiej istnieje niebo, piekło i czyściec jako miejsca wiecznego przeznaczenia człowieka. Wieczność praw Boga, celowość życia ludzkiego – odkrycia, których dokonywali wszyscy nowo ochrzczeni – zmienia całkowicie perspektywę, z jakiej patrzy się na swoją rolę, misję, powołanie, każde wreszcie działanie. Także odkrycie celowości natury kobiety i mężczyzny pozwala się rozstać z traktowaniem ludzkiego ciała jako narzędzia użycia (dlatego władca Polan przestał korzystać z usług nałożnic i był wierny swojej małżonce, Dobrawie, a po jej śmierci Odzie).

Mieszko, który chciał być dobrym chrześcijaninem, siłą rzeczy stał się budowniczym cywilizacji wznoszącej człowieka ku Bogu. Dziś obserwujemy odwrót od tej perspektywy; coraz więcej ludzi, także Polaków, nie rozumie religijnego sensu ograniczeń natury. Między innymi dlatego zaczyna kontestować cały cywilizacyjno-polityczny ład.

Dzięki chrześcijaństwu Mieszko uczynił ze swojego rozumu właściwy użytek, wykorzystał go jako zdolność do zgłębiania istoty rzeczy, czyli bytów, i do przylgnięcia do nich swoją wolą. Tylko w ten sposób, gwarantując sobie wolność w posługiwaniu się władzami umysłowymi, można się stać budowniczym cywilizacji. Jest to jednak pogląd w dzisiejszym świecie odosobniony, nawet w Kościele, gdzie coraz silniej zaczynają dominować nurty negujące rozum.

Autorytet, rząd, władza, państwo – każde z tych słów oznacza dla kontestatorów, zarówno polityków, jak i artystów, a coraz częściej i duchownych, to samo – środek nacisku i wyzysku… „Ktokolwiek kładzie na mnie rękę, aby mną rządzić, jest uzurpatorem i tyranem – uważam go za swego wroga" – pisał Proudhon. Na różne sposoby próbuje się dziś zaufanie do rządzących w naszym państwie podważyć, szukając wsparcia u lewicy międzynarodowej i u naszych historycznych wrogów, właśnie w tym celu, by państwo, a zwłaszcza jego polityczna emanacja, obecne władze, nie była nośnikiem i wyrazicielem zasad chrześcijańskiego ładu.

▶ Postscriptum

Wiele można zarzucić Camusowi i jego „filozofii", z którą nie sposób się zgodzić, bo zakłada istnienie jakiejś innej rzeczywistości, wymyślonej, wyspekulowanej. Zrodzonej z pogańskiego lęku i nieprzezwyciężonej ignorancji. Typowych dla przedstawicieli „laickiej Francji". Pisarz nigdy jednak nie pozwolił sobie, by stać się narzędziem w ręku lewaków. Błądził, ale nie był zdrajcą. I to jest godne szacunku. ■

eprasa.pl 780403eca0



Małgorzata Matuszak



Nowy Rok, nowy początek

Przejście starego roku w nowy skłania nas do refleksji nad swoim życiem, nad sobą. Nowy Rok traktujemy jako symbol przełomu i początku nowego etapu. Jednak nie da się budować tego, co nowe, bez udziału tego, co było. Kim bylibyśmy bez swojej przeszłości?

eprasa.pl 780403eca0

Nowy rok to czas podsumowań i rozrachunku z samym sobą, bilansów i postanowień, próba odcięcia się od „starego" i wejście z nadzieją w „nowe". Chcemy się zatrzymać, by spojrzeć najpierw w tył. Pragniemy zachować w pamięci to, co dobre, ochoczo kontynuować przedsięwzięcia, które przynoszą nam szczęście, to zaś, co było złe, chcemy, by odeszło wraz ze starym rokiem. Patrzymy w przód. Pragniemy z nową siłą iść ku temu, co nieznane, co przyniesie nam nowy rok. Pełni zapału i z nadzieją, że będzie dobrze.

Noworoczne zwyczaje

Istnieje wiele sylwestrowych i noworocznych zwyczajów mających nam pomóc w tym, by nadchodzące miesiące były pełne pomyślności. Wymienić je wszystkie w tym miejscu nie sposób. Przede wszystkim w sylwestrową noc i pierwszego dnia roku nie może nam niczego zabraknąć. Często usłyszeć można pogląd, że jaki sylwester, taki cały rok. Trzeba także, przed końcem roku, oddać wszystkie długi i pożyczone przedmioty, w przeciwnym razie w następnym roku możemy cierpieć na brak pieniędzy i możemy stać się ofiarami niesłownych dłużników. W sylwestra nie powinno się robić porządków i wyrzucać rzeczy, bo wraz z nim można „wymieść" szczęście i pieniądze. Te ostatnie miały z kolei przynieść włożone 31 grudnia do portfela łuski z wigilijnego karpia. Niektórzy twierdzą, że nowy rok warto witać w nowych ubraniach, gwarantuje to bowiem powodzenie u płci przeciwnej. Pomyślność w nowym roku może zapewnić też nakręcenie zegarów tuż po północy, gdy zaś wybije północ, najstarsza osoba w rodzinie winna szeroko otworzyć okno lub drzwi, by zaprosić do środka Nowy Rok i życzliwe duchy.

Do dzisiaj wierzy się, że aby uwolnić się od niemiłych wspomnień i nie wchodzić w nowy rok ze starymi problemami, powinniśmy w sylwestrową noc spisać na kartce, najlepiej czerwonej, wszystkie swoje problemy i spalić ją w noworocznym płomieniu, który unicestwi nasze złe wspomnienia.

Owa różnorodność noworocznych tradycji pokazuje dobitnie, jak ważnym momentem w roku jest jego właściwe rozpoczęcie. Wszak właściwy początek, jak niekiedy się mówi, to już połowa sukcesu, i by właściwie nowy rok rozpocząć, ludzie chwytają się różnych, nawet magicznych sposobów. Bardzo bowiem pragną nowego początku. Niesie on z sobą nadzieje na lepsze życie, nowe szanse i perspektywy na realizację planów. Wierzymy, że tym razem się uda, że będzie lepiej. Szczególnie wtedy, gdy stary rok przyniósł nam wiele trudnych chwil. Jeśli zaś mijający rok uznajemy za dobry, nie chcielibyśmy, by nadchodzący był gorszy. Nowy początek to zwycięstwo nadziei i optymizmu nad pesymizmem. Niestety, niekiedy nawet i nad realizmem. Dlatego tak ważne jest również spojrzenie w tył i zrobienie rozrachunku z przeszłością, umiejętność spojrzenia na siebie w świetle Prawdy. Nic bowiem w naszym życiu się nie zmieni, jeśli będziemy powielać te same błędy, jeśli tak naprawdę nie jesteśmy w stanie otworzyć się na Nowe. I jeśli nie uświadomimy sobie, że błędy i porażki są najlepszą życiową lekcją, o ile potrafimy wyciągnąć z nich konstruktywne wnioski.

Życiodajna nadzieja

W szerokim znaczeniu tego słowa nadzieja jest wiarą w spełnienie się naszych pragnień, w osiągnięcie czegoś, czego jeszcze w tej chwili nam brakuje, a co – w naszym mniemaniu – mogłoby poprawić nasze życie i pozwoliłoby przeżyć je lepiej. U progu nowego roku kierujemy naszą nadzieję ku przyszłości, niekiedy nawet wbrew przeszłości, wbrew temu wszystkiemu, co czyha, wiemy to dobrze, zewsząd, by podać w wątpliwość naszą wiarę w lepsze jutro. Potrzebujemy tego. Nadzieja jest pewnością, że przyszłość nie musi być zdeterminowana przeszłością, że przyszłość może być nowa, nieuzależniona od tego, co wydarza się w tej chwili.

Święty Tomasz określił nadzieję jako „trudne dobro przyszłe". Ten więc, kto żywi nadzieję, wychyla się z teraźniejszości ku przyszłości, ku tkwiącemu w niej dobru, i wierzy, że jest w stanie go sięgnąć. Nadzieja uprzedza czas, uprzedza przyszłość. Jest oczywiście też ryzykiem. Jeśli jednak otwieramy się na coś, musimy być gotowi na ryzyko. Bo otwartość to ryzyko, podobnie jak zaufanie. Kim jednak byśmy byli, gdybyśmy nie otwierali się na przyszłość? Gdybyśmy nie ufali? Kim bylibyśmy bez nadziei?

Nadzieja, która wciąż tli się w człowieku, posiada siłę rozpalania życiodajnego ognia. Wygasająca niszczy człowieka, który ją żywił. Dlatego potrzebujemy nowych początków, które na nowo rozpalają w nas ogień nadziei.

Dla chrześcijan ważne jest to, że pożegnanie starego roku i przywitanie nowego poprzedzone jest świętami Bożego Narodzenia. One przypominają nam o tym, że nawet jeśli trudno nam wzbudzić w sobie nadzieję, to zawsze istnieje Nadzieja. Istnieje bowiem Miłość, która jest niewyczerpywalnym jej źródłem. I że nawet kiedy umiera w nas nadzieja, to nie umiera Ten, kto nas na nią otwiera, kto jest jej nieustannym Dawcą.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 780403eca0

Jeśli więc wkraczamy w nowy rok przepełnieni złem, które nas dotknęło w roku mijającym, jeśli przepełnieni jesteśmy smutkiem, cierpieniem czy też ogarnięci pustką, pamiętać musimy o tym, że nie możemy popadać w rezygnację. Dla człowieka, który pokłada nadzieję w Miłości, żaden czas nie jest czasem straconym. W każdej, najgorszej nawet sytuacji możemy odkryć jej sens i wartość, jeśli popatrzymy na nią z innej perspektywy. Nigdy nie byliśmy i nie będziemy panami swojego życia. Nawet jeśli czasami wydaje się nam, że mamy pełną nad nim władzę, jest to tylko złudzenie. Łatwo przychodzi nam zgadzanie się z Bogiem, kiedy w swej łaskawości zsyła nam to, czego pragniemy. Kiedy jednak dopuszcza coś, czego bardzo nie chcemy, nie potrafimy się z tym pogodzić i tracimy poczucie sensu. Tymczasem Bóg pragnie, byśmy pokładali nadzieję w Nim, i jednocześnie dał nam nadzieję na to, że sami mamy możliwości kształtowania własnego losu, o ile podejmiemy pracę nad sobą, o ile będziemy chcieli z Nim współpracować.

Niespełnione obietnice

Nowy rok wraz z nadzieją na to, że nadchodzący rok będzie dobrym czasem, niesie ze sobą listę obietnic, które składamy samym sobie odnośnie do zmiany naszego życia. Pragniemy być lepsi i czynimy w związku z tym wiele postanowień, które mają nam na drodze ku byciu lepszym pomóc.

Z przeprowadzonych kilka lat temu badań CBOS wynika, że postanowienia noworoczne podejmuje połowa Polaków. Dotyczą one głównie zdrowego stylu życia, oszczędzania, zmiany pracy lub poprawienia sytuacji finansowej. 86 procent deklarujących zmianę przekonana jest o tym, że zamierzenia swe zdoła zrealizować, jak jednak pokazują badania Instytutu Badań Rynkowych, nie jest w stanie w nich wytrwać aż 90 procent z nich. Zdecydowana większość, według tego sondażu, rezygnuje z realizacji celu już po trzech miesiącach. Inne badanie pokazuje z kolei, że dniem, w którym większość ludzi rezygnuje z postanowień noworocznych, jest 12 stycznia...

Dlaczego tak ochoczo obiecujemy sobie różne rzeczy u progu nowego roku i tak szybko z dotrzymania tych obietnic rezygnujemy? Paul Ricoeur nazwał obietnicę „wyzwaniem rzuconym czasowi". Niestety, często rzucamy wyzwania „na wyrost". By tego uniknąć, musimy umieć dobrze mierzyć siebie i nie przeceniać swej mocy. Często już w chwili podejmowania takiego postanowienia kładzie się na nim cień niespełnienia, gdyż podejmujący je wie, że obietnicy swej nie spełni. Trzeba oduczyć się nadmiernego obiecywania, by w końcu nie stać się dla samego siebie niespełnioną obietnicą. Bo jeśli obiecujemy coś samemu sobie, to i dotrzymania obietnicy jesteśmy winni sobie samym.

Psychologowie podkreślają, że nasze postanowienia są z góry skazane na porażkę, gdyż stawiamy sobie zbyt wysoko poprzeczkę i wyznajemy zasadę „wszystko albo nic". Stąd tylko krok do frustracji, utraty wiary w siebie i spadku poczucia własnej wartości. Warto też zastanowić się, co tak naprawdę motywuje mnie do podejmowania tego właśnie postanowienia, czy jest ono naprawdę moje, czy też wymuszone przez kogoś, podejmowane pod wpływem mody czy otoczenia. Jeśli nie jest naprawdę moje, trudno o motywację do tego, by w postanowieniu tym wytrwać.

Postanowienia są dobre i warto je podejmować. Trzeba jednak patrzeć na nie jako na pozytywny aspekt życia, coś dobrego, nie zaś przyczynę wyrzeczeń. I pamiętać o tym, że zmiany zachodzące w nas nie zajdą w chwili, gdy podejmiemy postanowienie. Potrzebna jest cierpliwość i zasada małych kroków. Tylko wtedy możemy zasadnie żywić nadzieję, że uda nam się zamierzony cel osiągnąć.

U progu Nowego

Żyjemy w pośpiechu. Niecierpliwość stała się jedną z głównych przypadłości naszych czasów. Nie lubimy czekać i nie chcemy czekać. Tymczasem to właśnie cierpliwość stanowi fundament dla budowania w sobie wszystkich innych cnót i umiejętności. Cierpliwość nie może zaś istnieć bez nadziei. To właśnie ona nie pozwala jej zmienić się w rezygnację. Kiedy wkrada się w nas pokusa zejścia z drogi, którą sobie wytyczyliśmy, kiedy zaczyna nam brakować cierpliwości, by dalej nią podążać, to właśnie nadzieja na osiągnięcie zamierzonego celu nie pozwala nam na porzucenie drogi tym celem wytyczonej.

Zatrzymajmy się. Nie da się budować tego, co nowe, bez udziału tego, co było. Przeszłości nie da się oddzielić grubą kreską. Zresztą, kim bylibyśmy bez swojej przeszłości? Spojrzyjmy zatem w przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Jaki będzie ten nowy rok? Co się wydarzy w naszym życiu, kraju, na świecie? Trudno znaleźć odpowiedzi na te pytania. Z pewnością wydarzy się wiele rzeczy, na które wpływu nie mamy. Będą jednak i takie wydarzenia, na które wpływ mieć będziemy. Nadchodzący rok może być prostą kontynuacją mijającego, ale może też być prawdziwym nowym otwarciem. Możemy pełni nadziei, tej prawdziwej, która nie jest biernym oczekiwaniem, z radością przekładać kolejne kartki kalendarza, i możemy nie zauważać nawet, że kolejna kartka na przełożenie oczekuje. I pamiętać musimy o tym, że inni ludzie pokładają swoje nadzieje w nas – oczekują od nas dobra i miłości. ■

eprasa.pl 780403eca0

Małgorzata Matuszak

Czym jest... agapa

Miłość – „agape", to o niej pisał św. Paweł w „Hymnie o miłości" z 1 Listu do Koryntian. Ta największa z cnót, bez której wszystko traci swoją wartość, jest nie tylko uczuciem pojawiającym się spontanicznie w ludzkich sercach, lecz dotyczy także umysłu i woli. Mówiąc o miłości chrześcijańskiej, na myśli mamy właśnie ją – „agape". Wyraża ona bezwarunkową miłość Boską do ludzi, zdolną do samopoświęcenia się Boga dla odkupienia grzechów człowieka, i ludzi do Boga, jak również miłość do drugiego człowieka ze względu na Boga. Pochodzi wprost od Boga, będąc darem, za który podziękować możemy tylko w jeden sposób – kochając na sposób „agape". „Agape", w odróżnieniu od innych rodzajów miłości, jest bezinteresowna i bezwarunkowa. Jest uczuciem w najczystszej postaci.

W początkach chrześcijaństwa terminem „agape", używanym również w liczbie mnogiej, określano wspólną ucztę o charakterze duchowym, mającą na celu wzmacnianie wiary i jedności wyznawców Chrystusa. Pierwotnie agapy odbywały się w domach, w których wierni zbierali się „na łamanie chleba", później zaś, w czasie prześladowań chrześcijan, na cmentarzach, przy grobach męczenników, i wreszcie w kościołach. Były ucztami nie tylko z racji spożywania podczas nich jedzenia, lecz także „ucztami miłości", podczas których bracia i siostry w wierze namacalnie doświadczyć mogli jedności i miłości w swej wspólnocie. Agapy były okazją do spotkania ludzi bogatych i ubogich, którzy jednoczyli się w braterskiej miłości, i do dzielenia się z innymi tym, co się posiada, by wspomóc potrzebujących w ich niedostatku. Ta miłość-agape, wyrażająca się również w agapie, stanowiła znak rozpoznawczy ówczesnych chrześcijan do tego stopnia, iż poganie, patrząc na sposób życia chrześcijan, pociągnięci siłą ich miłości, sami stawali się chrześcijanami.

Echem dawnych agap jest wieczerza wigilijna. Nie ma ona charakteru liturgicznego, w symbolice swej zawiera jednak wiele odniesień do tajemnicy narodzenia Jezusa. W wielu aspektach przypomina dawne agapy, na których chrześcijanie gromadzili się w wieczór przed dniem świątecznym, by przez czuwanie, modlitwy i śpiewy przygotować się na obchody święta. Podczas Wigilii wszak spotykamy się przy zastawionym stole, modlimy się, łamiemy się opłatkiem, śpiewamy kolędy, obdarowujemy się prezentami, przede wszystkim zaś czekamy na cud narodzin Jezusa Chrystusa.

Polska tradycja dzielenia się opłatkiem podczas Wigilii jest wyjątkowa nie tylko na tle kultury światowej, lecz także europejskiej. Wigilijne dzielenie się opłatkiem, poza Polską, znane jest tylko na Białorusi, w Czechach, na Litwie, Słowacji, Ukrainie i w niektórych regionach Włoch. W Polsce początki tego zwyczaju sięgają końca XVIII stulecia. Pisał Cyprian K. Norwid: „Jest taki zwyczaj w mym kraju rodzinnym, / Gdy pierwsza gwiazda błyśnie na wieczornym niebie, / Ludzie wspólnego gniazda łamią chleb biblijny, / Najtkliwsze uczucie, przekazują w tym chlebie". Tradycja ta wywodzi się ze zwyczajów wczesnochrześcijańskich elogiów, czyli dzielenia się niekonsekrowanym chlebem ofiarnym, błogosławionym w czasie Mszy Świętej. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa wierni przynosili na wigilijną Mszę chleb, którym dzielono się, a także zabierano do domów, dla chorych, krewnych i bliskich. Elogia z kolei łączą się z agape, sprawowaną na pamiątkę Wieczerzy Pańskiej, i z samą Wieczerzą. Obecne w naszej tradycji łamanie się opłatkiem ma znaczenie symboliczne – to znak braterstwa, pojednania, przebaczenia i jedności chrześcijan, nawiązujący do tego, że Bóg stał się człowiekiem i daje nam siebie pod postacią chleba. Przypomina też o tym, że trzeba być dobrym jak chleb i jak chleb podzielnym.

ECHEM DAWNYCH AGAP JEST WIECZERZA WIGILIJNA. W WIELU ASPEKTACH PRZYPOMINA DAWNE AGAPY, NA KTÓRYCH CHRZEŚCIJANIE GROMADZILI SIĘ W WIECZÓR PRZED DNIEM ŚWIĄTECZNYM, BY PRZEZ CZUWANIE, MODLITWY I ŚPIEWY PRZYGOTOWAĆ SIĘ NA OBCHODY ŚWIĘTA

Wigilia Bożonarodzeniowa to wieczór szczególny. To wieczór miłości. Bóg wszak z miłości do nas narodził się w Betlejem. Stał się jednym z nas, by miłości nas nauczyć, właśnie tej bezwarunkowej i bezinteresownej – miłości „agape". ■

eprasa.pl 780403eca0

Piotr Lisiewicz



Polski sport pod bagnetami. Śląskie dzieło Alojzego Budnioka

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl/73c403cad



„Bierzcie zegarki i rowery i jedźcie do jasnej cholery" – taki okrzyk kibice Pogoni Katowice, przed wojną najsilniejszego klubu na Śląsku, wznieśli pod adresem sowieckich piłkarzy. Po tym zdarzeniu władze PRL uznały klub za obcy klasowo i odmówiły wznowienia jego działalności w komunistycznym państwie. Alfred Budniok, twórca klubu, już tego nie dożył. Tak oto ludowa władza, chwaląca się zwycięstwem nad Hitlerem, zniszczyła dzieło najbardziej zasłużonego dla polskości Śląska społecznika, wychowawcy pokoleń polskich sportowców, prawej ręki Wojciecha Korfantego, uznawanego dziś za jednego z ojców polskiej niepodległości.

eprasa.pl 780403eca0

11 października 1920 roku tygodnik „Sportowiec" tak relacjonował „Pobyt Polonii warszawskiej na Górnym Śląsku": „W sobotę popołudniu przyjechała do nas na parę dni w gościnę wycieczka warszawskich sportowców. Polonia korzysta z uprzejmości i gościny Towarzystwa Sportowego Słupna, które przyjmowało z sercem i staropolską gościnnością swoich warszawskich kolegów".

▶ Na boisku wieniec z biało-amarantowymi wstęgami

Jak czytamy, wieczorem w niedzielę Ślązacy przyjmowali swych gości w salonach hotelu Miihla w Mysłowicach. „Program zabawy złożony z kolacji i tańców poprzedziły serdeczne przemówienia prezesa dr. Fliegera, prezesa Tow. Sport. Słupna dr. Ryszki, dr. Budnioka, na które z warszawskiej strony odpowiedzieli pięknie p. Biernacki i Strzelecki. Wszystkie te przemowy cechowała obustronna przyjaźń i szczere nie wymuszone słowa nawiązały nowe nici sympatii sportu górnośląskiego z polską macierzą. Po kolacji tańczono i śpiewano długo i z ochotą wznosząc okrzyki na cześć Warszawy".

Z kolei gdy Ślązacy rewizytowali w Warszawie, częścią tego wyjazdu był mecz piłkarski, w którym do przerwy warszawiacy wygrywali ze Ślązakami 1:0. Atmosferę i prawdziwy sens tych wydarzeń oddaje to, co stało się w przerwie. Jak pisał „Sportowiec": „Mimo woli sędziego została ona przedłużona o kilka minut, bo oto na boisko wszedł wiceprezes Polskiego Komitetu Igrzysk Olimpijskich i do graczy górnośląskich oraz publiczności, która zwartą ich otoczyła masą, odezwał się mniej więcej tymi słowami: Druhowie, tak zacni sercu naszemu górnoślązacy! Imieniem Polskiego Komitetu Igrzysk Olimpijskich witam Was sprawnych sportowców, jacy do Warszawy zjechali z Górnego Śląska. Wybaczcie, że tak późno stolica Was przyjmuje, ale pamiętajcie, że tylko okoliczności wojenne były tego przyczyną. Teraz po rozgromieniu bolszewików i zwycięskim zakończeniu wojny, kiedy Polska stała się jednym z najpotężniejszych państw europejskich, skorzystaliśmy z pierwszej sposobności, aby przyjąć was jak najserdeczniej".

Mówca zakończył okrzykiem: „Na część sportu górnośląskiego i dzielnych jego przywódców wznoszę okrzyk: „Niech żyje!! – Niech żyje! niech żyje! niech żyje! podchwyciły tłumy i ogromny mocny okrzyk na cześć Górnego Śląska wzbił się pod niebiosa".

W odpowiedzi w imieniu Górnoślązaków odpowiedział druh Alojzy Budniok: „Wzniósł okrzyk, który mieścił w sobie całą przeszłą walkę i świetlaną przyszłość: »Niech żyje Rzeczpospolita Polska i zjednoczony z nią Górny Śląsk«. Owacjom nie było końca. Wiwaty na część Śląska, gości i obecnego na boisku komisarza Korfantego rozlegały się co chwila. Górnoślązakom imieniem Polskiego Komitetu Igrzysk Olimpijskich wiceprezes Tarczyński wręczył wspaniały wieniec z biało amarantowymi wstęgami, po czym sędzia dał znak na wznowienie gry".

Skalę aktywności Budnioka oddaje fakt, że w tym samym numerze „Sportowca" tak relacjonowano jego pobyt w Oleśnie: „Dnia 13-go października odbyło się w hotelu dworcowym w Oleśnie posiedzenie tow. sportowego »Paderewski«, na które zaproszono szan. druha Budnioka z wydziału sportowego w Bytomiu celem wyjaśnienia dążności towarzystw sportowych. Po zagajeniu posiedzenia przez druha Zająca udzielono głosu druhowi Budniokowi, który w szerokich wywodach przedstawił nam pracę w innych towarzystwach sportowych upominając, jak i my mamy do tej pracy dążyć, ażeby i nasze towarzystwo pożądane owoce odniosło".

Wystąpienia Budnioka budziły entuzjazm Polaków: „W imieniu wszystkich obecnych ćwiczących dziękował druh Zając druhowi Budniokowi za łaskawe przybycie i wywody, kończąc posiedzenie hasłem »Cześć sportowi« i pieśnią »Ospały i gnuśny...«".

▶ Na Śląsku więcej polskich klubów niż... w całej Polsce

Jaki był kontekst tych wydarzeń? Po dwóch powstaniach śląskich 20 marca 1921 roku na Śląsku odbyć miał się plebiscyt, który zdecyduje o przynależności tych ziem do Polski lub Niemiec. W styczniu 1920 roku obszar plebiscytowy opuściły niemieckie oddziały Grenzschutzu, które zastąpiły wojska alianckie. Miały czuwać nad bezpieczeństwem Komisji na całym terenie plebiscytowym. W lutym 1920 roku Niemcy utworzyli Niemiecki Komisariat Plebiscytowy Komisji z siedzibą w Katowicach. Interesy polskiej strony reprezentował Polski Komisariat Plebiscytowy. Jego siedziba mieściła się w hotelu „Lomnitz" w Bytomiu. 20 lutego 1920 roku Józef Piłsudski powołał Wojciecha Korfantego na przewodniczącego Komisji.

Ogromną rolę dla wyniku tego plebiscytu odegrać miało stworzenie na Śląsku polskich klubów sportowych, a pionierem polskiego sportu na Śląsku był współpracujący z Korfantym Alojzy Budniok.

eprasa.pl 780403eca0

Jak ogromny był rozmach jego dzieła, opisywał „Sportowiec" z 3 lutego 1920 roku, a więc sześć tygodni przed plebiscytem: „Przedtem sportowcy-Polacy zasilali szeregi klubów niemieckich. Dziesięć lat temu powstał w Bytomiu pierwszy klub polski Polonia, w kilka dni później powstaje drugi klub polski w Katowicach (dzisiejsza Pogoń), a znów w kilka dni później jak grzyby po deszczu powstają kluby polskie w Siemianowicach, Lipinach, Szombierkach, Hajdukach Wielkich itd. Razem imponująca cyfra przeszło 180 klubów i towarzystw. Cała Polska nie posiadała wówczas razem tyle klubów i towarzystw, ile zorganizowano w pierwszym związku sportowym na Śląsku".

Początki nie były łatwe. „Buty winien każdy gracz przynieść ze sobą" – pisał Budniok na łamach „Gazety Robotniczej". Ale była to też bardzo ryzykowna walka z niemieckimi bojówkami, o czym „Express Sportowy" w 10. rocznicę tych wydarzeń pisał tak: „Pierwszym pionierem sportu polskiego na Śląsku był Alojzy Budniok. Przed dziesięciu laty sport polski organizowali pod bagnetami Hörsinga razem z Budniokiem: Władysław Klimek, Stanisław Flieger, Edmund Grabianowski, Błażej Kozik, bracia Manjurowie".

Wspomniany Hörsing w 1919 roku został przewodniczącym Rady Robotniczo-Żołnierskiej dla Górnego Śląska z siedzibą w Katowicach. Wkrótce potem otrzymał stanowisko komisarza Rzeszy i Prus. Po krwawej masakrze w Królewskiej Hucie 3 stycznia 1919 roku, szef niemieckich sił na Śląsku pochwalił Hörsinga, że stanął po stronie wojska i „popierał jego żądania", bo „to, że popłynęła krew, jest winą królewsko-huckiego motłochu". Przez polskich socjalistów był oskarżany o „czerwony hakatyzm". Hörsing zasłynął z brutalnych represji wobec ruchu robotniczego w regionie, a potem skierowanych przeciwko Polakom. Po niemieckiej porażce w wyborach komunalnych w listopadzie 1919 roku sami Niemcy postanowili go odwołać, uznając, że jego brutalne metody tylko zaogniają sytuację.

▶ Trzy powstania

Alojzy Budniok urodził się 21 czerwca 1886 roku w Gierałtowicach koło Wadowic. Był synem zapaśnika i członka Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół". „Bez wątpienia odziedziczył sportową pasję ojca – od wczesnego dzieciństwa grał w palanta i piłkę nożną oraz podnosił ciężary. Jako organizator pierwszych walk zapaśniczych w Katowicach (które urządzał na miejskich placach już w 1900 r., w wieku 14 lat) uchodził za pioniera tej dyscypliny w mieście" – piszą Magdalena Stokłosa i Aleksandra Wójcik, autorki książki „Sportowcy dla Niepodległej".

Gdy Alojzy miał zaledwie 18 lat, stworzył w Katowicach podwórkową drużynę piłkarską o nazwie Concordia. Trenował także w niemieckim Klubie Sportowego „Diana". Jak piszą Stokłosa i Wójcik, tam poznał Pawła Lubinę, przyszłego zawodnika Pogoni Katowice i reprezentacji Polski, z którym przyjaźnił się do końca życia.

„Początki kariery Budnioka i Lubiny w Dianie przypadają na okres powstawania pierwszych polskich klubów sportowych na Górnym Śląsku. Status klubów otrzymywało także wiele gniazd Towarzystwa Gimnastycznego »Sokół«. Sport pod polskim szyldem miał odegrać ważną rolę w budowaniu tożsamości narodowej i odrębności Polaków" – czytamy w „Sportowcach dla Niepodległej".

Autorki o konspiracyjnej działalności Budnioka piszą tak: „Działał w Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska. Ta konspiracyjna jednostka, nadzorowana przez Wojsko Polskie, prowadziła walki podjazdowe i nieregularne działania na rzecz odłączenia Górnego Śląska od Niemiec. Stanowiła główną siłę zbrojną podczas trzech Powstań Śląskich, w których Alojzy Budniok wziął udział. Należał prawdopodobnie do 2 Zabrskiego Pułku Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, który toczył walki obronne w rejonie Dziergowic i 21 maja 1921 r. odpierał niemieckie ataki na odcinku Brzeźce–Januszkowice".

„Działał w Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska. Ta konspiracyjna jednostka, nadzorowana przez Wojsko Polskie, prowadziła walki podjazdowe i nieregularne działania na rzecz odłączenia Górnego Śląska od Niemiec".

eprasa.pl 780403eca0

Budniok w Teatrze Powszechnym: spełnimy zadania sportowców i Polaków

Wcześniej jednak, 18 czerwca 1920 roku, reprezentacja Śląska zagrała swój pierwszy mecz. Na boisku w Lipinach zmierzyła się z polskim zespołem Czarni Lwów. Czarni wygrali ten mecz, pokonując przeciwników 8:3. Lwów i Kraków były kolebkami polskiej piłki, ale jak pisał Stefan Szczepłek w „Rzeczpospolitej": „Praca Alojzego Budnioka – działacza sportowego, redaktora i inspiratora zakładania polskich klubów – była porównywalna z tym, co luminarze nauki i kultury robili dla piłki w Krakowie, Lwowie i Warszawie".

Na rzecz polskiego zwycięstwa w plebiscycie pracowano w całym kraju. Chyba najbardziej podniośle wyglądała wizyta Budnioka i jego ekipy w Poznaniu. Jak pisały „Nowiny Codzienne" w tekście „Sportowcy z Górnego Śląska w Poznaniu": „Braci naszych z Górnego Śląska, którzy bami górnośląskimi do miast w różnych częściach kraju, by pozyskiwać poparcie dla kampanii na rzecz polskości Śląska" – piszą Stokłosa i Wójcik. Aranżował też rozgrywki z udziałem angielskich i francuskich drużyn złożonych z wojskowych, którzy stacjonowali na terenach plebiscytowych.

Plebiscyt i imigranci

Plebiscyt odbył się 20 marca 1921 roku. Uprawnionych do głosowania było 1 221 274 osób, z czego aż 19,3 proc. stanowili tzw. imigranci, dopuszczeni do głosowania w wyniku międzynarodowych ustaleń. Większość z nich głosowała za Niemcami.

Za przyłączeniem Górnego Śląska do Polski opowiedziało się 40,3 proc. głosujących (479 365 osób), natomiast za pozostaniem w granicach niemieckich opowiedziało się 59,4 proc. (707 393 osoby). Niemcy zwyciężyli zwłaszcza w powiatach miejskich, a Polacy w gminach wiejskich.

„Jeszcze dziś jest to moją przewodnią myślą, że młodzież, którą zapoczątkowaliśmy organizować w naszych towarzystwach dla wzniosłej idei wychowania fizycznego, winna być nie tylko sportowcami [...], ale winna być wychowana na obywateli Rzeczypospolitej".

wili od ubiegłej soboty do poniedziałku w grodzie naszym, gościła Warta nadzwyczaj uroczyście. W sobotę witano ich na dworcu przez delegacje towarzystw sportowych i członków Warty. Panie obdarzyły ich kwiatami. Wieczorem Górnoślązacy byli gośćmi Teatru Powszechnego, gdzie przed przedstawieniem ze sceny powitał ich serdecznymi słowami p. Julian Lange, członek dyrektorjum Teatru Powszechnego. Odpowiedział na te słowa naczelnik Sportowego Związku Górnośląskiego p. Alojzy Budniok, przyrzekając uroczyście, że spełnią swe zadania przy plebiscycie jak przystoi na sportowców i Polaków. Po odegraniu Mazurka Dąbrowskiego wznieśli wszyscy obecni w teatrze gromkie i długotrwałe okrzyki na cześć Górnego Śląska". „Pociąg już ruszył, a nas jeszcze dolatywały okrzyki: »Do zobaczenia w wolnej, niepodległej Polsce« – relacjonowali śląscy piłkarze" – czytamy na łamach „Sportowca".

„Organizowanie przyjazdów drużyn z Warszawy, Krakowa, Lwowa czy Łodzi było dla Budnioka bardzo ważną misją. Sam także wyjeżdżał ze sportowca-

Ostatecznego podziału Górnego Śląska dokonała Rada Ambasadorów 20 października 1921 roku. Polsce przyznano obszar zamieszkany przez blisko milion mieszkańców (46 proc. ludności dzielonych terenów). W granicach Rzeczypospolitej znalazło się aż 75 proc. górnośląskich instalacji przemysłowych i 85 proc. rozpoznanych złóż węgla.

Założyciel Ruchu Chorzów, Polonii Bytom i Pogoni Katowice

Na terenie Polski znalazły się Katowice, gdzie powstał klub Pogoń. Pogoń była przed wojną zdecydowanie najsilniejszym klubem na Śląsku. Już w lutym 1920 roku piłkarze Pogoni wzięli udział w pierwszych polskich derbach Śląska. W Ligocie Pszczyńskiej zagrali z Polonią Bytom. Największy sukces Pogoni to zdobycie mistrzostwa Śląska w 1928 roku i walka o awans do I ligi. Pogoń uległa wtedy Garbarni Kraków. Pod koniec 1938 roku liczyła 700 członków i posiadała sześć sekcji. Najpopularniejszą była sekcja piłki nożnej.

eprasa.pl 780403eca0

W 1922 roku Budniok został prezesem Górnośląskiego Okręgowego Związku Piłki Nożnej. Jako swego współzałożyciela opisuje go dziś wiele śląskich klubów, w tym te najbardziej znane, jak Polonia Bytom czy Ruch Chorzów. „Dzięki jego staraniom powstały też kluby Gwiazda Bogucice i Paderewski Olesno (...). Był współzałożycielem Górnośląskiego Związku Towarzystw Sportowych, Górnośląskiego Okręgowego Związku Piłki Nożnej oraz Górnośląskiego Związku Ciężkiej Atletyki" – czytamy w „Sportowcach dla Niepodległej".

Do popularnych sportów należała wówczas wspomniana „ciężka atletyka" (określenie dziś zapomniane), do której zaliczano zapasy, podnoszenie ciężarów, a czasem także boks. Jej gorącym propagatorem był Budniok. „Jednym z doskonałych sportów, który rozwijał się wówczas na Śląsku, była ciężka atletyka, która w osobie p. Alojzego Budnioka znalazła gorącego propagatora. Już pierwsze zawody odbyte w Bytomiu, Łagiewnikach i Lipinach wykazały niezwykłe zainteresowanie tym sportem" – czytamy na łamach „Sportowcach".

Rudolf Wacek w swoich „Wspomnieniach sportowych" pisał o Budnioku, że jest on zwolennikiem „idei sokolej", „prawą rękę Wojciecha Korfantego, a także kierownika Referatu WF dra Maksymiliana Wilimowskiego". W 1925 roku Budniok został kapitanem związkowym regionalnej centrali piłkarskiej w województwie śląskim. Działał w patriotycznej organizacji Polski Związek Zachodni oraz w Izbie Rzemieślniczej. Wiosną 1931 roku za inicjatywy na rzecz sportu otrzymał Krzyż Zasługi.

Zamiast kapitana naczelnik, król lub... matka

Alojzy Budniok znalazł się też w Radzie cytowanego, wydawanego w Bytomiu tygodnika „Sportowiec". „Propagandowa rola »Sportowca« była nie do przecenienia i znacznie wykraczała poza zwyczajne oddawanie do druku kolejnych numerów. Dziennikarze gazety wygłaszali w terenie wykłady dotyczące zasad gry w piłkę nożną i sędziowania. Dużo uwagi poświęcali też spolszczaniu niemieckiej i angielskiej terminologii sportowej" – piszą Autorki „Sportowców dla Niepodległej".

„Mamy obowiązek używać tylko pięknych naszych polskich wyrażeń technicznych, których nam nie brak" – przekonywali publicyści „Sportowca". Drużynie miał przewodzić nie kapitan (jak w Anglii), lecz naczelnik, król lub... matka. „Dziś wiemy, że żadne z tych określeń się nie przyjęło. Większość pozostałych propozycji weszła jednak do powszechnego użycia i funkcjonuje często na równi z anglicyzmami: Zamiast out (aut) mówimy piłka (...) »wyszła«, zamiast offside mówimy »spalony«, zamiast centrować mówimy (...) »dośrodkowywać«" – piszą Stokłosa i Wójcik.

Sportowcy „gniją jeszcze w Vereinach niemieckich"

Na łamach czasopisma pojawiało się mnóstwo tekstów zachęcających młodych sportowców do zaprzestania występów w niemieckich klubach i propagujących polskie drużyny w regionie. Budniok był głównym organizatorem akcji ściągania sportowej młodzieży do polskich klubów.

Jak pisał „Sportowiec" z 1920 roku, nr 5: „Na Śląsku do dziś dnia wielu polskich sportowców gnije jeszcze w Vereinach niemieckich, ale chyba przez zapomnienie, nie przez złą wolę, gdyż nie zastanawiają się ci sportowcy, że ofiarowywać dotychczasowym ciemiężcom swoją polską siłę i wyrobienie sportowe, aby się tobą, Polaku, klub niemiecki szczycił, to wstyd, gdy czeka na ciebie z górą sto towarzystw polskich na Górnym Śląsku, gdzie przyjmą cię z otwartemi rękoma".

Autorki „Sportowców dla Niepodległej" podkreślają, że Budniok nigdy nie ukrywał, że sportu nie postrzega wyłącznie jako rozrywki. W 1930 roku pisał: „Dziś, kiedy mija lat 10 od chwili pierwszych zawiązków sportu polskiego na Śląsku, ja jako jeden z tych, którzy współpracowali nad jego utworzeniem się, wychodziłem z założenia i jeszcze dziś jest to moją przewodnią myślą, że młodzież, którą zapoczątkowaliśmy organizować w naszych towarzystwach dla wzniosłej idei wychowania fizycznego, winna być nie tylko sportowcami, uprawiającymi sport wszechstronnie, ale winna być wychowana na obywateli Rzeczypospolitej".

„Śmierć była szybsza od Niemców"

Po wybuchu II wojny światowej Budniok, bohater powstań śląskich, musiał ukryć się przed Niemcami. Zrobił to skutecznie – ukrywał się w mieszkaniu swojego dawnego kolegi klubowego Pawła Lubiny. Zmarł 28 kwietnia 1942 roku. „Śmierć była szybsza od Niemców" – pisze Ryszard Czarnecki, inicjator publikacji „Sportowcy dla Niepodległej". Pochowany został na Cmentarzu Parafii św. Piotra i Pawła przy ul. Sienkiewicza w Katowicach.

W dokumentalnym filmie „Mecze o polskość" w reżyserii Leszka Staronia w rolę Alojzego Budnioka wcielił się aktor Antoni Gryzik. Imię Alojzego Budnioka nosi dziś jedna z katowickich ulic oraz park na rogu ulic Chorzowskiej i Jana Nepomucena Stęślickiego. ■

eprasa.pl 780403eca0



1

Dariusz Jarosiński



OLSZTYN SOLIDARNY Z WĘGRAMI



2

eprasa.pl 780403eca0



1. 30 października 1956 roku odbyła się w Olsztynie największa manifestacja solidarności z narodem węgierskim walczącym o wolność i suwerenność
2. Studenci olsztyńskiej Wyższej Szkoły Rolniczej z transparentem wykonanym przez Janusza Kowalskiego

fot. Arch.

65 lat temu, 23 października 1956 roku, wybuchło na Węgrzech powstanie antykomunistyczne. Kilka dni później, 30 października, odbyła się w Olsztynie największa w Polsce manifestacja popierająca naród węgierski w walce o wolność, potępiająca zbrojną interwencję wojsk sowieckich. W demonstracji wzięło udział około 12 tys. osób.

Organizatorami wiecu poparcia walczących Węgrów byli studenci Wyższej Szkoły Rolniczej, a współorganizatorami słuchacze Studium Nauczycielskiego, do których dołączyli kadeci Wyższej Szkoły Uzbrojenia i mieszkańcy Olsztyna. Manifestanci nieśli flagi Polski i Węgier oraz transparenty z wypisanymi hasłami: „Precz z Sowietami", „Precz z Ruskimi", „Sowieci do domu", „Wolna Polska – Wolne Węgry", „Precz z interwencją wojsk radzieckich na Węgrzech", „Żądamy wycofania wojsk radzieckich z Węgier", „Ręce precz od Węgier", „Oto radziecki internacjonalizm przejawia się na Węgrzech", „Ręce precz od Powstańców Węgierskich".

W czasie manifestacji pojawiły się żądania zwrotu Lwowa i Wilna, wycofania wojsk sowieckich z terenu Polski i przekazania obiektów Ludowemu Wojsku Polskiemu, nieingerowanie władz bezpieczeństwa i MO na terenie uczelni bez porozumienia się z jej władzami, kierowania nauką wyłącznie przez naukowców, a nie przez partyjnych kacyków, ukarania winnych złej polityki w stosunku do ludności miejscowego pochodzenia – Mazurów i Warmiaków, zmiany składu Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR, rewizji procesu poznańskiego, zniesienia nauczania języka rosyjskiego jako języka obowiązkowego, rewizji umów handlowych, a w szczególności umów dotyczących sprzedaży węgla, wyjaśnienia spraw: byłego marszałka Michała Roli-Żymierskiego, prymasa Polski kardynała Stefana Wyszyńskiego, biskupa katowickiego Stanisława Adamskiego i biskupa kieleckiego Czesława Kaczmarka.

Dokumenty z prowadzonych przez Służbę Bezpieczeństwa spraw operacyjnych jesienią 1956 roku w Olsztynie zostały zniszczone, i to jeszcze w tamtym czasie, najprawdopodobniej z obawy, że dostaną się one w ręce zrewoltowanego, podobnie jak na Węgrzech, społeczeństwa. Dzisiaj możemy opierać historię tamtych wydarzeń na relacjach jej organizatorów, uczestników oraz na zachowanych meldunkach dziennych, sprawozdaniach miesięcznych i kwartalnych oraz biuletynach i notatkach informacyjnych SB.

Nie ma na pewno podstaw, by powątpiewać w autentyczność studenckiego zrywu, autentyczność poparcia powstania węgierskiego. Nie ulega wątpliwości, że w tamtym czasie udział w Studenckim Komitecie Rewolucyjnym wymagał dużej odwagi. Olsztyńscy studenci wykazali się rzadko spotykaną odpowiedzialnością w działaniu, zrobili wszystko, aby nikt ich nie posądził o chuligańskie wybryki.

Operacja „Odwilż"

W marcu 1953 roku zmarł Józef Stalin, a parę miesięcy później Ławrientij Beria, szef NKWD, główny odpowiedzialny za stalinowskie zbrodnie. Obaj nie zeszli z tego

eprasa.pl 780403eca0

świata w sposób naturalny, zostali zamordowani w wyniku bandyckich rozgrywek na szczytach bolszewickiej władzy. Schedę po Stalinie objął Nikita Chruszczow. Na zamkniętej sesji XX Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, w nocy z 24 na 25 lutego 1956 roku, Chruszczow wygłosił tajny referat pt. „O kulcie jednostki i jego następstwach", w którym ujawnił i potępił zbrodnie stalinowskie. Chociaż głównym celem Chruszczowa było wzmocnienie wewnętrznej pozycji, to przy okazji referat uderzył w lokalnych kacyków komunistycznych, dotychczasowych wiernych uczniów Stalina, m.in. na Węgrzech Mátyása Rákosiego (właściwie Rosenfelda), a w Polsce Bolesława Bieruta.

W marcu 1956 roku Bierut, agent służb sowieckich, zakończył swój marny żywot w Moskwie. Referat Chruszczowa rozpoczął proces tzw. destalinizacji, ale nie detotalitaryzacji, zwany też „Odwilżą", od tytułu książki sowieckiego pisarza Ilji Erenburga, która ukazała się w roku 1954 i została uznana za krytykę czasów stalinowskich. Chruszczow, jako pojętny uczeń Lenina i Stalina, zaczął sprawowanie władzy od wycinania swoich politycznych przeciwników. Operacja „Odwilż" została przeprowadzona przez bolszewików w myśl zasady „Trzeba wiele zmienić, żeby wszystko zostało po staremu".

Najżywiej na sygnały płynące z Moskwy zareagowano w Polsce i na Węgrzech. W obu tych krajach poddano ostrej krytyce zjawiska bezprawia i podjęto pierwsze próby reform. Krwawo stłumiona rebelia robotników w Poznaniu w czerwcu 1956 roku przyspieszyła w Polsce zmiany – w łonie komunistycznej partii doszło do bezpardonowej walki o władzę. Po ośmiu latach niebytu, w tym aresztu spowodowanego „odchyleniami prawicowymi", powrócił na scenę polityczną zrehabilitowany Władysław Gomułka. 19 października przyjechał do Warszawy Chruszczow i w sposób właściwy sobie, wygrażając pięścią, wyraził swoje niezadowolenie z mającego się odbyć VIII plenum KC PZPR, a przede wszystkim z zaplanowanego wyboru na I sekretarza Gomułki. Wiele godzin trwała awantura w Belwederze, w kierunku Warszawy ruszyły nawet wojska sowieckie, ale Gomułka się nie ugiął.

W PZPR zwyciężyła frakcja „puławian", zwana „Żydami", choć Chruszczow popierał „natolińczyków", czyli frakcję „Chamów". „Puławianie" to ugrupowanie „dogmatyków i stalinowców", któremu podporządkowana była ówczesna bezpieka, jednak po śmierci Stalina ustawili się w roli reformatorów. 21 października w czasie plenum Gomułka został wybrany I sekretarzem KC PZPR.

Gomułka obejmował władzę niczym mąż opatrznościowy, Polacy udzielili mu dużego poparcia społecznego. W ciągu dosłownie kilku dni stał się w Polsce postacią polityczną numer jeden. Powrót do Warszawy z więzienia 28 października Prymasa Tysiąclecia Stefana Wyszyńskiego, zmiany w aparacie represji, amnestia dla tysięcy więźniów politycznych, żołnierzy zbrojnego podziemia antykomunistycznego, dawały Polakom nadzieję na odmianę rzeczywistości społeczno-politycznej. W istocie kościec systemu totalitarnego nie został nawet lekko naruszony.

▶ Węgierski bunt

Rzadko się zdarza, by historia dwóch narodów, jak polskiego i węgierskiego, tak bardzo się ze sobą splotła. Polaków i Węgrów połączyła wspólnota doświadczeń historycznych. W obu narodach zapanował w tym samym czasie ten sam duch wolności w roku 1956. Choć trzeba przyznać, że to zazwyczaj Polacy byli skorzy do walki, to jednak zachowali w październiku 1956 roku powściągliwość – na pewno łagodził nastroje buntownicze prymas Stefan Wyszyński. Kto wie zresztą, jak zachowałby się nieobliczalny Chruszczow wobec niesubordynacji Gomułki, gdyby Sowieci nie byli zajęci tłumieniem powstania na Węgrzech. Sowieckie czołgi, które szły na Warszawę, wycofały się ostatecznie dopiero 24 października, kiedy trwały walki na ulicach Budapesztu.

Węgrzy z uwagą obserwowali wydarzenia zachodzące w Polsce. W październiku odbyły się na Węgrzech manifestacje solidarności z narodem polskim, który podjął próbę złagodzenia systemu, rozliczenia stalinowskich zbrodni. Należy dodać, że na Węgrzech system komunistyczny był zdecydowanie bardziej represyjny niż w Polsce.

23 października studenci budapeszteńskiej politechniki zorganizowali pod pomnikiem gen. Józefa Bema, bohatera narodowego Polski i Węgier, manifestację solidarności z Polską. Do Budapesztu dotarła już wiadomość, że polscy komuniści związani z Gomułką, byłym więźniem stalinowskim, wymusili na Moskwie swoje decyzje, odrzucili żądania Chruszczowa. Studenci wydali oświadczenie, w którym domagali się wolności obywatelskich, demokracji parlamentarnej i narodowej niepodległości. Do studentów dołączyli pod gmachem parlamentu węgierskiego i siedziby radia mieszkańcy Budapesztu. W ciągu kilku godzin tłum rozrósł się do 300 tys. uczestników. Demonstranci zostali zaatakowani z broni palnej przez oddziały służby bezpieczeństwa. Padły pierwsze ofiary. Jeszcze tego samego dnia, wieczorem, demonstranci zburzyli pomnik Stalina. To był pierwszy dzień powstania węgierskiego.

Rewolucyjne wrzenie ogarnęło niemal wszystkie większe miasta Węgier. Sowieci już 24 października rzucili duże siły wojska do Budapesztu. Na czele węgierskiego rządu stanął Imre Nagy, komunista, który w momencie próby okazał się węgierskim patriotą, za co zapłacił najwyższą cenę. Początkowo wynegocjował zawieszenie broni z Sowietami. Podczas krótkotrwałych rządów próbował dokonać reform. Nagy stanął po stronie powstańców, ogłosił neutralność Węgier i wystąpienie kraju z Układu Warszawskiego, podjął rokowania w sprawie całkowitego wycofania Armii Radzieckiej.

eprasa.pl 780403eca0

Gomułka początkowo udzielił poparcia Nagy'emu, co sprawiło, że do Polski przepływały swobodnie informacje o tym, co dzieje się na Węgrzech.

Studenci się organizują

W pierwszych dniach października, w niedługim czasie po rozpoczęciu roku akademickiego, w olsztyńskiej Wyższej Szkole Rolniczej powstał Studencki Komitet Rewolucyjny z inicjatywy studentów Wydziałów Zootechniki i Mleczarskiego. Jego trzon stanowili: Jarosław Biłat – przewodniczący, Janusz Krzyczyński – I zastępca przewodniczącego, Jerzy Kwiatkowski – II wiceprzewodniczący.

Pierwszą akcją komitetu rewolucyjnego była zbiórka pieniędzy dla węgierskich powodzian (wczesną jesienią Węgry zostały dotknięte powodzią). Pieniądze były zbierane do własnoręcznie wykonanych papierowych skarbonek. W zbiórce uczestniczyło 86 par wolontariuszy. Zebrane zostały bardzo duże kwoty, kłopot był z policzeniem pieniędzy i odpowiednim ułożeniem, a później przewiezieniem do banku. Bank pieniędzy nie przyjął, nakazując inne ułożenie banknotów, a kiedy po raz drugi zawieziono pieniądze, ułożone już według życzenia urzędników bankowych, okazało się, że problem jest z kontem banku na Węgrzech. Ostatecznie zebrane pieniądze zostały przekazane na konto Rady Uczelnianej Zrzeszenia Studentów Polskich, skąd były wypłacane na pomoc socjalną studentom. Drugą inicjatywą kortowskich studentów było oddawanie krwi dla węgierskich powstańców. Niestety, ta akcja po dwóch dniach została przerwana, gdyż zabrakło pojemników do przechowywania krwi. Do Rady Uczelnianej Zrzeszenia Studentów Polskich przysłano potwierdzenie, że 111 studentów oddało honorowo krew.

30 października węgierski premier, Imre Nagy, ogłosił skład nowego rządu z niekomunistycznymi ministrami, a z więzienia został uwolniony przez powstańców węgierskich prymas Węgier József Mindszenty. Wydawało się, że Sowieci ugną się wobec zmasowanego oporu, dużej determinacji narodu węgierskiego. Powstańcy wierzyli w pomoc Zachodu, szczególnie Stanów Zjednoczonych. Radio Wolna Europa zachęcało Węgrów do oporu, do atakowania bolszewików, instruowało na przykład, jak robić prymitywne granaty zapalające, tzw. koktajle Mołotowa.

Tego samego dnia wyruszył ze studenckiego miasteczka w Olsztynie, z Kortowa, o godzinie czternastej, świetnie zorganizowany pochód studentów. Nieprzypadkowo ruszył właśnie o tej godzinie – studenci chcieli, aby dołączyli do nich mieszkańcy Olsztyna wychodzący o godzinie piętnastej z pracy. Porządku pilnowała straż studencka, której komendantem był student Wydziału Rolniczego Aleksander Nazarko. Nad głowami maszerujących powiewały flagi narodowe Polski i Węgier. Pochód udał się najpierw do dzielnicy Jakubowo, gdzie na uboczu miasta, w Wojewódzkim Domu Kultury, odbywała się dwudniowa konferencja PZPR. Studenci nieśli transparenty z napisami: „Żądamy wycofania wojsk radzieckich z Węgier", „Cały Olsztyn z nami", „Precz z Sowietami", „Wolna Polska – Wolne Węgry", „Oto radziecki internacjonalizm przejawia się na Węgrzech" oraz plansze przedstawiające mapę Węgier z zaznaczonym Budapesztem, „nad którym zwisały, z kierunku wschodniego, ręce, na mankietach, na których widniały – jednoznacznie kojarzące się – czerwone gwiazdy, kapała z nich krew".

Do studentów WSR i słuchaczy Studium Nauczycielskiego dołączyli po drodze podchorążowie z Wyższej Szkoły Uzbrojenia, a także wychodzący z pracy mieszkańcy Olsztyna. Olsztynianie pozdrawiali maszerujących z okien biur i mieszkań znajdujących się przy trasie przemarszu, inni machali, stojąc na chodnikach. Studenci skandowali hasła żądające przeprowadzenia w Polsce zmian, większość haseł wymierzona była przeciwko Sowietom, z żądaniami wycofania wojsk sowieckich z Polski, a nawet zerwania Układu Warszawskiego. Podobnie jak kilka dni wcześniej, 23 października, na wiecu w Kortowie, studenci nawoływali do „oddania Lwowa i Wilna". Pochód przeszedł ulicami miasta koło ratusza, Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej i udał się na plac Armii Czerwonej. Tutaj zebrani zaśpiewali „Rotę" i hymn narodowy. Dużo ludzi płakało ze wzruszenia, ściskało się. Z okien kamienic ludzie pozdrawiali tłum, wołając: „Jesteśmy z wami!". Wszyscy zachowywali się tak, jakby tego dnia zakończyła się wojna, a ich wyzwolicielami byli kortowscy studenci.

Plac Powstańców Węgierskich

Na placu zostały ustawione flagi narodowe Polski i Węgier, a na usypanej symbolicznej mogile zapalono znicze, złożono wieńce oraz kwiaty dostarczone z Kortowa i przyniesione przez mieszkańców Olsztyna. Przy mogile zaciągnięto honorową wartę studencką i żołnierzy z Wyższej Szkoły Uzbrojenia oraz chętnych mieszkańców Olsztyna. Wszystkimi działaniami kierował Janusz Krzyczyński, I wiceprzewodniczący Studenckiego Komitetu Rewolucyjnego, najmłodszy wówczas student WSR, on też jako pierwszy zabrał głos – wyraził solidarność z narodem węgierskim walczącym z Sowietami. Studenci rozdawali zebranym na placu olsztyniakom przygotowane wcześniej trójkolorowe flagi węgierskie. Głos zabierali nie tylko studenci, lecz także mieszkańcy Olsztyna różnych profesji, żołnierze Ludowego Wojska Polskiego, nawet jakiś starszy milicjant. Po latach wojny, stalinowskiego komunizmu mogli po raz pierwszy mówić otwarcie, publicznie prawdę o swoich narosłych przez lata problemach. Przedstawiali swoje recepty na uzdrowienie dotychczas beznadziejnej sytuacji. We wszystkich wystąpieniach podkreślana była troska o losy Polski i Węgier. Mówiono o koniecznej „suwerenności dla wszystkich państw bloku

eprasa.pl 780403eca0

wschodniego". Niezwykle znamienne jest to, że kortowscy studenci nie upominali się wówczas o poprawę swoich warunków socjalnych, bytowych, a przecież były one fatalne. Obecnie Kortowo jest najbardziej atrakcyjnym, najładniej położonym miasteczkiem studenckim w Polsce.

Jeden ze studentów, członków Studenckiego Komitetu Rewolucyjnego, Eugeniusz Grochowski, podczas wojny partyzant Narodowych Sił Zbrojnych, po roku 1945 więzień Urzędu Bezpieczeństwa, rzucił hasło przemianowania nazwy plac Armii Czerwonej na plac Powstańców Węgierskich. Poproszony kierowca autobusu podjechał pod budynek, na którym wisiała stara tabliczka. Studenci wdrapali się na dach pojazdu, zerwali tabliczkę z nazwą plac Armii Czerwonej i przybili z nazwą plac Powstańców Węgierskich. W sumie zostały zawieszone trzy takie tabliczki. W obawie przed zerwaniem nowych tabliczek członkowie Studenckiego Komitetu Rewolucyjnego, począwszy od 30 października, organizowali w kolejnych dniach całodobowe warty, by strzec tablic z nową nazwą placu. Według jednej z relacji, ich organizacją zajął się Aleksander Nazarko wraz z ochotnikami ze straży studenckiej. Pilnowano tablic, palono pod nimi znicze.

Olsztyński „Karolek" jak Hyde Park

W czasie manifestacji nie zabrakło prowokatorów. Byli to ubowcy przebrani w drelichy kolejarzy. Zostali zidentyfikowani przez studentów, ponieważ wszyscy mieli nowe mundury i buty. Krzyczeli: „Uciekajcie, gówniarze!", „Do nauki!", „Smarkacze, chuligani, uczyć się, a nie manifestować!". Zostali szybko uciszeni przez straż studencką.

Na koniec uchwalono rezolucję do narodu węgierskiego, mówiącą o poparciu idei wolności i nowego, demokratycznego rządu w Budapeszcie, wskazywano również na konieczność wycofania wojsk sowieckich z terenu Węgier. Treść tego dokumentu zamierzano przesłać do Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej oraz Zrzeszenia Studentów „bratniej młodzieży Komsomołu", a także – za pośrednictwem Komitetu Centralnego PZPR (z pominięciem KW w Olsztynie) oraz Rady Ministrów – do rządu ZSRS i członków KC KPZR.

Następnie z placu Armii Czerwonej (Powstańców Węgierskich) pochód ruszył na plac gen. Karola Świerczewskiego (obecnie Targ Rybny). Tłum coraz bardziej gęstniał i już na placu Świerczewskiego liczył według świadków około 12 tys. uczestników.

Tego dnia „Karolek", bo tak olsztynianie nazywali ten plac, przypominał londyński Hyde Park. Z zaimprowizowanej mównicy ludzie wypowiadali swoje poglądy na temat bieżącej sytuacji politycznej w Polsce i na Węgrzech. Nikomu nie odbierano głosu, nawet jeżeli wbrew ogólnym nastrojom antysowieckim chwalił na przykład przyjaźń polsko-sowiecką, aczkolwiek musiał się liczyć z ostrą ripostą. Studenci co jakiś czas nawoływali: „Prawdę mówić!", „Nie kłamać!".

Na wniosek jednego ze studentów poddano pod głosowanie przemianowanie placu Armii Czerwonej na plac Powstańców Węgierskich. Uczestnicy wiecu odśpiewali hymn narodowy i „Rotę", po czym studenci w spokoju udali się do Kortowa. Wiele osób zapewne nie mogło tej nocy w Olsztynie zasnąć z nadmiaru wrażeń. Trzeba przyznać, że manifestacja została zorganizowana i przeprowadzona nienagannie. Ani milicja, ani Służba Bezpieczeństwa nie interweniowały.

Bezczelna impreza

Następnego dnia, 31 października, liczna grupa studentów została przesłuchana przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Esbecy starali się ustalić winnych, jak to nazwali, „bezczelnej imprezy". W czasie przesłuchań okazywano studentom, m.in. Aleksandrowi Nazarce, odpowiedzialnemu za straż studencką, tzw. niezbite dowody ich winy – zdjęcia wykonane w czasie manifestacji przez fotoreportera „Głosu Olsztyńskiego", Wacława Kapustę, późniejszego zaufanego fotografa polskich i sowieckich notabli m.in. wypoczywających w ośrodku rządowym w Łańsku. Notabene „Głos Olsztyński", organ KW PZPR, zbył jedynie krótką notką manifestację 12 tys. osób w liczącym ówcześnie 53 tys. mieszkańców mieście. Napisano, że w mieście była manifestacja mieszkańców, w czasie której wznoszono okrzyki na cześć przyjaźni polsko-węgierskiej. I to wszystko.

Z Notatki informacyjnej SB z 2 listopada 1956 roku można dużo więcej się dowiedzieć niż z komunistycznej gazety: „W ocenie sytuacji nastrojów wśród studentów Wyższej Szkoły Rolniczej w czasie trwania i po zakończeniu manifestacji daje się odczuć tendencje antyradzieckie i antyubowskie wyrażające się w: a) skandowaniu okrzyków »sowieci do domu«, »precz z Ruskami«, w czasie przemarszu ulicami miasta, b) gwizdaniu i wznoszeniu okrzyków przez grupy studenckie »nie«, »nie chcemy«, gdy mówcy podkreślali konieczność przyjaźni polsko-radzieckiej, c) przygotowaniu transparentów i plansz o charakterze antyradzieckim i niesienie ich oraz urn w czasie manifestacji z napisem »na ofiary Kremla«, d) zwracaniu się do kwestujących na ulicy o pomoc dla Węgier słowami: »panie – dla tych, którzy biją Rusków«, e) poddaniu na wiecu wniosku pod głosowanie o przemianowanie Placu Armii Czerwonej na Plac Powstańców Węgierskich, f) solidaryzowaniu się w dalszym ciągu z sytuacją na Węgrzech, co wyraża się w kontynuowaniu wart honorowych na Placu Armii Czerwonej przy flagach węgierskich i zatknięcie flagi węgierskiej przed budynkiem Rektoratu, g) ujemnej ocenie oświadczenia Rządu Związku Radzieckiego w sprawie współpracy z krajami demokracji ludowej, które jest komentowane jako »perfidne oszustwo i próba od-

eprasa.pl 780403eca0

wrócenia uwagi«"(AIPN Bi 084/457/1, k. 282, Notatka informacyjna z dnia 2 XI 1956 r.).

Służba Bezpieczeństwa w tejże „Notatce" nie tylko krytycznie oceniała studentów, lecz także władze uczelni kortowskiej i Związek Młodzieży Polskiej: „Jeśli chodzi o stanowisko i wpływ organizacji ZMP i Rektoratu na zachowanie się studentów, to należy stwierdzić, że ze strony tych czynników nie ma żadnych prób, aby w jakiś sposób uzdrowić sytuację wśród studentów, by tym samym zapał, energię, entuzjazm młodzieży skierować w odpowiednim kierunku. Profesorowie nie przeszkadzali młodzieży zmieniać oblicza Polski". W „Notatce" czytamy ponadto: „Młodzież większość wolnego czasu spędza na prowadzeniu dyskusji w pokojach i klubie studenckim oraz słuchaniu audycji zagranicznych".

Jeden z byłych dziennikarzy „Głosu Olsztyńskiego" napisał po kilkudziesięciu latach o Studenckim Komitecie Rewolucyjnym, że miał ogromny pozytywny wpływ na bieg wydarzeń w mieście i nie tylko, bo za olsztyńskimi studentami ruszyły zakłady pracy z samego Olsztyna i – choć nieco później – z miast powiatowych województwa. Podczas wydarzeń jesieni 1956 roku w Olsztynie studenci Wyższej Szkoły Rolniczej nigdy nie dali powodu, by uznać ich za awanturników lub ludzi postępujących bezprawnie. Wykazywali dużą odpowiedzialność w działaniu, a wszelkie plotki o zamieszkach ponoć przez nich wywoływanych okazywały się fałszywe.

Zmiany

Kortowscy studenci nie wytracili aktywności – w dalszym ciągu organizowali wiece, manifestacje żądające ukarania funkcjonariuszy UB odpowiedzialnych za zbrodnie, odsunięcia od władzy wyznawców Stalina. Na przykład 10 grudnia wieczorem, studenci po przemarszu z Kortowa z pochodniami do Wojewódzkiego Domu Kultury, gdzie odbywała się narada PZPR, przez dwie godziny okupowali salę konferencyjną. W czasie okupacji sali doszło do „ożywionej wymiany poglądów".

Operacja „Odwilż" w Olsztynie i w ówczesnym województwie olsztyńskim trwała krótko. Już w listopadzie 1956 roku pojawiły się zrazu pomruki, a później donośne głosy potępiające studentów. Na zebraniach partyjnych głośno oskarżano studentów o dążenie do dewastacji miasta. Był to chyba ostatni zarzut, jaki można było postawić olsztyńskim żakom. Studenci nad wyraz gorliwie dbali o dyscyplinę w czasie swoich manifestacji – wysyłali na ulice patrole, które pilnowały porządku, likwidowały w zarodku prowokacje wobec milicjantów. Najpóźniej na przełomie wiosny i lata 1957 roku powrócili na swoje stanowiska ci partyjniacy, którzy na parę miesięcy zostali przesunięci tymczasowo „na inny odcinek" partyjnej roboty.

Podczas sesji olsztyńskiej Miejskiej Rady Narodowej, zwołanej 16 listopada, podjęto uchwałę o zmianie nazwy dwóch placów – plac Armii Czerwonej miał się odtąd nazywać placem Powstańców Węgierskich, natomiast plac wokół Pomnika Wdzięczności dla Armii Radzieckiej – placem Armii Czerwonej. Zmieniona nazwa obowiązywała do sierpnia 1957 roku. Podczas posiedzenia 23 sierpnia 1957 roku dokonano kolejnego przemianowania placu. Nie powrócono jednak do nazwy placu Armii Czerwonej. Patronem placu stał się generał Józef Bem. Tak pozostało do dzisiaj.

W celu upamiętnienia wydarzeń, które miały miejsce w Olsztynie jesienią 1956 roku, w 2006 roku, z okazji 50. rocznicy, staraniem członków Olsztyńskiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Węgierskiej imienia biskupa Andrzeja Batorego, na ścianie gmachu Starostwa Powiatowego przy placu generała Józefa Bema umieszczono pamiątkową tablicę z herbami Rzeczypospolitej Polskiej i Republiki Węgier, a wiadukt prowadzący do ulicy Bolesława Limanowskiego (na Zatorze) nazwano imieniem „Powstańców Węgierskich 1956 roku".

Przestrogi na dziś

10 listopada powstanie węgierskie zostało ostatecznie stłumione przez zbrojną interwencję Armii Radzieckiej. Do Budapesztu wkroczyło 6 tys. żołnierzy sowieckich i 200 czołgów. Zginęło blisko 2,5 tys. Węgrów, 13 tys. zostało rannych. Państwa Europy Zachodniej, Stanów Zjednoczonych z obojętnością spoglądały na rzeź niewinnych ludzi.

Węgierski historyk, dyplomata i opozycjonista antykomunistyczny, Imre Molnar, przyjaciel Polaków i osobisty autora tego tekstu, wielokrotnie mówił, że wolnościowe dążenia Polaków były inspiracją dla Węgrów. „Dla nas, Węgrów – często powtarzał – Polska była takim krajem, gdzie można było oddychać, bo było w nim trochę więcej wolności". Obaj zgadzaliśmy się w czasie dyskusji, iż dopóty, dopóki państwa Europy Środkowej, w których krzyżują się wpływy Zachodu i Wschodu, nie zjednoczą się, zawsze będą rozgrywane, rozszarpywane, z jednej i z drugiej strony. Od wieków problemy Europy Środkowej to częsta jej nieobecność na szerszej arenie, brak możliwości jej rozwoju. Od średniowiecza nasz region to strefa niezwykle dynamicznych zmian i przeobrażeń, wojen i niepewnych granic. Dzisiaj musimy uczynić wszystko, by nie dopuścić do realizacji niemieckiego planu Mitteleuropy i stworzenia IV Rzeszy. Trójmorze to najlepsza nasza odpowiedź na dzisiejsze działania Rosji i Niemiec.

Październik 1956 roku dostarczył zarówno Polakom, jak i Węgrom wielu doświadczeń. Od mądrości rządzących zależy, jak je wykorzystają. Drobny udział w tym wszystkim mają olsztyńscy studenci. ■

eprasa.pl 780403eca0

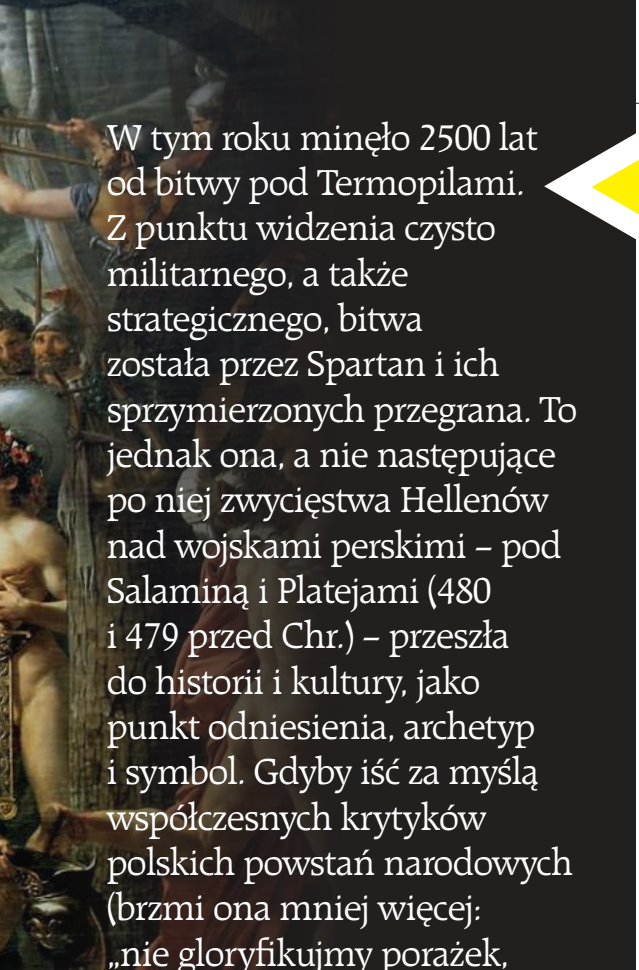


Tomasz Łysiak



TERMOPILE – przesmyk do Wielkości

eprasa.pl 780403eca0



W tym roku minęło 2500 lat od bitwy pod Termopilami. Z punktu widzenia czysto militarnego, a także strategicznego, bitwa została przez Spartan i ich sprzymierzonych przegrana. To jednak ona, a nie następujące po niej zwycięstwa Hellenów nad wojskami perskimi – pod Salaminą i Platejami (480 i 479 przed Chr.) – przeszła do historii i kultury, jako punkt odniesienia, archetyp i symbol. Gdyby iść za myślą współczesnych krytyków polskich powstań narodowych (brzmi ona mniej więcej: „nie gloryfikujmy porażek, skupmy się na zwycięstwach"), należałoby wymieść ze zbiorowej wyobraźni Termopile, a czcić Salaminę i Plateje. Wspominać nie Leonidasa, lecz Temistoklesa...

Na Termopilach ja się nie odważę
Osadzić konia w wąwozowym szlaku,
Bo tam być muszą tak patrzące twarze,
Że serce, skruszy wstyd – w każdym Polaku.
Niewola
Ja tam nie będę stał przed Grecji duchem –
Nie – pierwej skonam, niż tam iść – z łańcuchem!

Juliusz Słowacki „Grób Agamemnona"

fot. Wikipedia

Czy w rozważaniach, do których pretekstem będą Termopile, należałoby zatem uczynić odwrotnie – wyrzucić za nawias Temistoklesa lub Salaminę? Oczywiście, że nie. Rzecz wbrew pozorom nie jest „romantyczna", jak chcą obecni realiści, a wręcz zdroworozsądkowa, proponuje ona bowiem wynoszenie bohaterów do narodowego panteonu nie tyle pod kątem osiągniętego efektu, ile raczej postaw, wartości, motywacji i czynów, których dokonali... Na rezultat wpływają różne czynniki, często niezależne od pragnień i dążeń ludzi, w tym najwybitniejszych nawet dowódców i przywódców państw. Najlepsza kampania, wykoncypowana według genialnych myśli i planów, z odpowiednio wyszkolonym wojskiem i zapasami żywności, może się nie udać choćby w wyniku... nagłych zjawisk atmosferycznych. I na odwrót – zmienne losowe wskazują, że nawet element szczęścia jest ważny w historii. Jak mawiali starożytni – *audaces Fortuna iuvat* (bogini Losu sprzyja odważnym). Przypomnijmy historię bitwy, w której pokonani stają się zwycięzcami pamięci historycznej, przecząc tezie, iż to „zwycięzcy piszą historię".

Wielka armia Kserksesa

A zatem minęło 2500 lat od 480. roku przed Chrystusem... Trzeba tu wyjaśnić, iż przy obliczaniu czasu między rokiem obecnym a latami „przed Chrystusem" należy od sumy obu dat... odjąć jeden, gdyż rok „zerowy" oczywiście nie istniał. Notabene warto wspomnieć, iż nawet w kwestii oznaczeń lat toczy się, i toczyła niegdyś za czasów komunistycznych, walka o chrześcijański lub laicki sposób zapisu – polityczna poprawność zachęca, by korzystać z formy p.n.e. („przed naszą erą"), zamiast odnieść się do przedzielającej w naszej kulturze daty narodzenia Jezusa Chrystusa, jako punktu zwrotnego w dziejach.

Wróćmy jednak do wojny Persów z Hellenami. Armia perska z Azji przez Hellespont przedarła się do Hellady i parła na południe. Kserkses wkraczał na greckie terytoria, mając w pamięci porażkę Persów pod Maratonem (490 przed Chr.), chcąc nie tylko pomsty, lecz także zawładnięcia terytoriami Greków, zaś każde z greckich poleis (miast-państw) mogło być w jego oczach łatwym łupem. Szedł na nich bowiem z siłami, które naprawdę były olbrzymie. Herodot pisał wręcz o 5 milionach, ale jeśli chodzi o wierność liczbom, autorowi „Dziejów" wierzyć nie można – obecnie historycy oceniają, iż wojsko Kserksesa mogło liczyć w całości od 80 tys. do 300 tys. ludzi, co i tak – patrząc na ówczesne warunki – jest czymś niewyobrażalnym. Celem Kserksesa były Ateny, do których postanowił dotrzeć, idąc wzdłuż wybrzeża. Jednym z głównych powodów takiej trasy było wsparcie od strony morza – bowiem poza wojskiem działającym na lądzie władca perski zabrał ze sobą potężną flotę. Wśród kilkuset trier (trójrzędowców) stano-

eprasa.pl 780403eca0

wiących trzon floty perskiej (poza statkami bojowymi i transportowymi) były też okręty, na których pokładzie załogę stanowili Hellenowie z Azji. Plan Kserksesa zakładał wdarcie się do Attyki przy pomocy siły lądowej i morskiej, wspierającej armię od strony Eubei.

Rzeczywiste siły Leonidasa

Tymczasem na Istmie Korynckim zebrali się Hellenowie, by uradzić obronę. Postanowili, by marsz Kserksesa powstrzymać w punkcie, który dawał szansę na skuteczną obronę mniejszym siłom dzięki wykorzystaniu ukształtowania terenu. Przesmyk Termopilski nadawał się do tego celu znakomicie: nie dość, że miejsce było wąskie, z jednej strony ograniczone niemożliwymi do przejścia górami, a z drugiej bagnistym brzegiem morskim, to jeszcze znajdował się tam mur, wzniesiony niegdyś przez Fokijczyków. Dawał on szansę wykonywania przed nim manewrów i wykorzystania jego konstrukcji jako fortyfikacji. Jednak główna walka i tak miała być toczona bezpośrednio twarzą w twarz, tarcza w tarczę. Wodzem został spartański król Leonidas. Miał on ze sobą 300 hoplitów ze Sparty, ale jego siły były dużo większe niż to chce legenda, czy niektóre dzieła kultury masowej. Poza Spartiatami bowiem miał pod sobą 1120 Arkadyjczyków, do tego 500 hoplitów z Tegei i Mantinei, 400 żołnierzy z Koryntu, 200 z Flius i 80 z Myken – tak podaje Grzegorz Lach, historyk opisujący wojny Persów z Grekami, ale jednocześnie uważa on, iż suma 3100 jest to liczba minimalna, gdyż wedle innych źródeł Lacedemończyków mogło być więcej. Poza Spartiatami z Lacedemonu przybyli także inni żołnierze – niektórzy piszą o periojkach (mieszkańcy terytorium Lakonii, lecz spoza miasta Sparta), a inni nawet o helotach (najniższy, niewolniczy stan w Sparcie). Mimo to oczywistym jest, iż dysproporcja sił była olbrzymia. Jednak w całej grze dochodził jeszcze jeden, niezmiernie ważny czynnik – morze.

Walka na morzu

Wystarczy pobieżnie spojrzeć na mapę, by zorientować się, że kluczową w tej rozgrywce staje się kwestia starcia morskiego. Na wschód od wybrzeża greckiego, na którym znajduje się Przesmyk Termopilski, leży duża wyspa, Eubea. Między wyspą a lądem znajduje się zatoka Eubejska. Co by się stało, gdyby Persom udało się wpłynąć na jej wody? Herodot podaje, iż Kserkses zabrał ze sobą 1200 okrętów, co zapewne także jest liczbą przesadzoną, jednak okręty łatwiej policzyć niż ludzi, jak podkreślają historycy, i tu jego ocena może już być bliższa rzeczywistości. W każdym razie jakakolwiek obrona pod Termopilami byłaby z góry skazana na porażkę, gdyby Persowie byli w stanie z pokładów statków dokonać desantu „za linią" Greków. Zatem plan strategiczny, polegający na zatrzymaniu wroga pod Termopilami mógł się powieść jedynie pod warunkiem, iż pozycji greckich nie uda się obejść: ani od strony morza, ani od strony lądu. Los jednak bywa okrutny – gdy na jednym polu Hellenom pomogą warunki geograficzne i atmosferyczne, to na drugim do zguby przyczyni się człowiek i... zdrada.

Grecy, wiedząc o tym, iż kwestia zablokowania Persów na morzu może być kluczowa dla całej operacji, wysłali swoją flotę, aby zatrzymać okręty Kserksesa u północnych wybrzeży wyspy Eubea. Baza floty została umiejscowiona na przylądku Artemizjon, skąd okręty mogły bronić wejścia do cieśniny Oreos, czyli morskiej „bramy", przez którą można było wniknąć do zatok między Eubeą a stałym lądem. Co ciekawe, dowódcą tej floty nie został Ateńczyk, lecz również Spartiata – Eurybiades. Zmagania morskie, które toczyły się tamtego lata, miały nie tylko kluczowe znaczenie dla sytuacji pod Termopilami, lecz także obfitowały w spektakularne i ciekawe wydarzenia. Ot, wyobraźmy sobie greckich obserwatorów, którzy z najwyższych punktów wyspy Skiatos od rana do nocy wypatrywali floty perskiej. Wyobraźmy też sobie niewielki oddział dziesięciu trier fenickich wysłanych przez Persów przodem: ich zadaniem było znalezienie i oznaczenie podwodnej rafy, która czyhała na nieobeznanych z tym obszarem żeglarzy tuż pod powierzchnią wody. Poinformował ich o tej rafie Grek Pammon ze Skyros (nam jedynie pozostaje gdybać, co by się stało, gdyby nie jego zdradzieckie podszepty). W każdym razie fenickie okręty dostrzegły zakotwiczone u wybrzeży Skiatos trzy trójrzędowce wysłane ze zwiadowcami i rzuciły się, by je dopaść. Dwa z nich zdobyto, ale trzeciemu udało się umknąć, dotarł do stałego lądu, a marynarze poinformowali Hellenów o nadciągających czujkach perskiej floty. Z kolei załoga owych fenickich statków dotarła do rafy i wzniosła przy niej specjalną kamienną kolumnę, ostrzegającą przed niebezpiecznym miejscem.

Hellenom pomaga pogoda

Wypadki, które działy się wówczas na morzu, to jednak przede wszystkim dwa wydarzenia o innym wymiarze – dwie bitwy, które stacza flota perska. Jedna z nich jest walką z siłami ludzkimi, druga – z siłami przyrody. Gdy po raz kolejny zerkniemy na mapę, dostrzeżemy, iż wpłynąć do zatok eubejskich można z dwóch stron: od północy i od południa. Flota perska podzieliła się i jedna jej część popłynęła na południe. Nagle rozpętał się potężny sztorm. Około 400 trójrzędowców rozbiło się na przybrzeżnych skałach – efektem była właściwie anihilacja wielkiej części sił morskich Kserksesa. Grecy, gdy się o tym dowiedzieli, wpadli w euforię, a do północnej bazy przy przylądku Artemizjon wysłali dodatkowe okręty. W sumie flota

eprasa.pl 780403eca0

związkowa mogła więc liczyć około 270 trier. Gdyby trzymać się relacji Herodota, to i tak Persowie mieli olbrzymią przewagą liczebną, najprawdopodobniej dwukrotną. Dowodzi tego zresztą przebieg bitwy pod Artemizjonem, w której Grecy stosują taktykę defensywną: tworzą z okrętów koło (czy raczej elipsę), zbliżając swoje trójrzędowce do siebie rufami i jeżąc się w stronę wroga dziobami zakończonymi taranami. Gdy doszło do starcia, Persowie nie mogli wykorzystać przewagi liczebnej. Bitwa pod Artemizjonem miała dla rozwoju sytuacji niebagatelne znaczenie – dzięki powstrzymaniu Persów na morzu w ogóle mogło dojść do takiego, a nie innego przebiegu walk pod Termopilami. Czemu warto o tym przypomnieć? Któż bowiem dzisiaj pamięta o „jakimś Artemizjonie", któż w ogóle zna imię Eurybiades? Leonidasa natomiast pamiętamy wszyscy. I jego trzystu Spartan. Przebieg samej bitwy pod Termopilami jest już dość dobrze znany – chociaż takie dzieła, jak film „300" mogą wyrabiać nie tylko mylne zdanie na temat samego przebiegu zdarzeń, jak i na temat Spartan w ogóle. Jak więc przebiegało starcie?

▶ Zdrada Efialtesa

Najpierw perski Wielki Król kazał czekać swoim wojskom przez cztery dni. Wysłany przez niego zwiadowca doniósł mu, iż Spartanie nago ćwiczą przed murem i trefią swoje długie włosy. Kserkses wyśmiał ich, a nawet czekał, czy przypadkiem, widząc jego olbrzymią przewagę liczebną – nie uciekną. W początkowej fazie bitwy doszło zapewne do słynnego dialogu, w którym perski wysłannik zażądał od Spartan oddania broni, a Leonidas odwarknął: Molon labe! („Przyjdź i weź!"). W końcu jednak król nakazał uderzyć. Najpierw na Hellenów poszli Medowie. Leonidas przyjął natarcie przed murem. I chociaż Medowie uderzyli z impetem, to rozbili się o obronę. Gdyż prawdziwy „mur" nie był zbudowany z cegieł, lecz z ciał spartańskich hoplitów tworzących falangę. Tu znowu ważna uwaga – szyk greckiego wojska miał olbrzymie znaczenie. Używany przez hoplitów argiwski typ tarczy „hoplon" umożliwiał lepszy chwyt i dłuższe utrzymywanie tarczy w pozycji. Jednocześnie ów szyk greckiej falangi polegał na tym, iż każdy hoplita zakrywał swoją tarczą swój lewy bok i jednocześnie prawy bok żołnierza stojącego po lewej stronie. Innymi słowy, liczyło się zarówno wyszkolenie i odwaga jednostki, jak i umiejętność walki w zwartej formacji, zaś jego podstawą było utrzymanie „muru tarcz", stanowiącego barierę trudną do pokonania, jeśli doda się do tego długie włócznie (dłuższe od tych używanych przez Persów). Do kolejnych ataków rzucani byli Kissajowie i Sakowie, a wreszcie elitarne perskie oddziały „nieśmiertelnych". Spartanie wykonywali znakomite manewry taktyczne. Bronili się na terenie pomiędzy murem fokijskim a kilkumetrowym przewężeniem, na terenie wąskiego nabrzeża, wykonując nagłe, pozorowane ucieczki. Gdy tylko Persowie rzucali się w pogoń za taką „ucieczką", Grecy odwracali się i w mgnieniu oka formowali zwarty szyk falangi, by znów uderzyć na wroga. To w związku z takimi trudnościami Kserkses już następnego dnia myślał o wycofaniu się i szukaniu innej drogi. Jednak wówczas pojawił się zdrajca Efialtes z Trachis – który wskazał mu możliwość obejścia pozycji spartańskich, ścieżką przez góry. Władca perski nakazał dowódcy elitarnego oddziału „nieśmiertelnych" Hydarnesowi, by przeprowadził swoich ludzi tą ścieżką i zaatakował Greków od tyłu. Leonidas był świadomy tego zagrożenia, już wcześniej zablokował wyjście stamtąd, wysyłając oddział Fokijczyków. Jednak ci zaniedbali sprawę, nie byli dość czujni. Gdy usłyszeli kroki nadciągających Persów, było za późno, by stawić im zorganizowaną obronę. „Nieśmiertelni" przedarli się na tyły Spartan. Leonidas odesłał pozostałych Hellenów i sam walczył do końca, ginąc śmiercią bohatera. Z bitwy ocalało jedynie dwóch Spartan. Jeden z nich po powrocie do ojczyzny powiesił się (nie zginąć – było hańbą), drugi zaś odkupił zmazę w bitwie pod Platejami. To jednak Termopile, a nie Artemizjon, Salamina czy Plateje – to owa porażka wyryła się złotymi zgłoskami w dziejach ludzkości.

Kiedy do Szkoły Podchorążych pamiętnej nocy listopadowej 1830 roku wpadł Piotr Wysocki, zakrzyknął: „Polacy! Wybiła godzina zemsty. Dziś umrzeć lub zwyciężyć potrzeba! Idźmy, a piersi wasze niech będą Termopilami dla wrogów!". Cóż owe Termopile znaczyły dla owych, kształconych na antycznych wzorach, młodych Polaków? Jakaż refleksja z nauki o starożytności się z tego rodziła? Sięgnąć wystarczy do pisanego później już przez Słowackiego „Grobu Agamemnona", by zrozumieć, iż Termopile stają się nie tylko wzorcem postawy, lecz także źródłem do refleksji nad tym, jak interpretować nasze dzieje, a także jakiej drogi szukać, by wyjść z otchłani i wydobyć się na niepodległość. Czy jedynie zwycięstwa winniśmy pielęgnować w pamięci i oddawać im cześć? Czy także i porażki, które wpisują się, wraz ze zwycięstwami – w cały przebieg naszych dziejów?

Kolejne „polskie Termopile" – bitwa pod Hodowem (11 czerwca 1694), bitwa pod Węgrowem (3 lutego 1863), bitwa pod Zadwórzem (17 sierpnia 1920), bitwa pod Dytiatynem (16 września 1920) czy wreszcie Obrona Wizny (7–10 września 1939) – to najpiękniejsze karty historii Polski. W każdym z tych miejsc możemy stawiać pomniki, na których wyryte będzie... „Cudzoziemcze, powiedz Lacedemończykom, że tu spoczywamy, wierni ich prawom", z tą zmianą jedynie, iż zamiast Lacedemończykom trzeba by napisać... Polakom. ■

eprasa.pl 780403eca0

Z ZAWIERCIA DO BRAZYLIJSKIEJ PUSZCZY. O WYPRAWIE MICHALINY ISAAKOWEJ





fot. NAC (2)

Agnieszka Kowalczyk

Michalina Isaakowa niczym Kolumb dopływała do brzegów Nowego Świata, mając prawo czuć się pierwszą polską podróżniczką, którą do puszczy Parany zwabiły tajemnice owadziego królestwa. Stanąwszy na brazylijskiej ziemi, chłonęła nieznane jej piękno egzotycznych palm i magnolii, złocistych mimoz, chińskich róż i koralowych akacji.

Krajobraz ciała ma być zielony, ale o zieleń tu nie tak łatwo. Na ulicach Zawiercia domy, ludzie i plany na przyszłość toną w szarościach. [...] O eleganckiej kobiecie, która krąży między witrynami sklepów z konfekcją i wypytuje o zielone pończochy, szepczą z przekąsem [...]. Drobnokoścista, smukła, na pierwszy rzut oka nieśmiała, wie, czego chce. Już trzeci rok z rzędu kompletuje garderobę w odcieniach zieleni i masę innych utensyliów przydatnych w dżungli. Czyta. Studiuje mapy. Robi przygotowania do wyprawy" – taki oto intrygujący portret Michaliny Isaakowej (1880–1937) – pierwszej Polki, która samotnie wyruszyła do brazylijskiej puszczy po najpiękniejsze motyle świata – kreśli Ula Ryciak w swej frapującej książce „Poławiaczki pereł".

Żegnaj, Europo!

Michalina miała 37 lat, gdy została żoną Juliusza Isaaka – entomologa-pasjonata, który na co dzień pracował jako rytownik w zawierciańskiej fabryce włókienniczej, a cały swój wolny czas spędzał w domowym insektarium, przeprowadzając przedziwne eksperymenty przyrodnicze. Michalina podzielała życiowe pasje męża i sama świetnie czuła się w skórze entomolożki. Oboje zgromadzili 15 tys. okazów wyróżnionych na wystawach w Częstochowie (1909) i w Warszawie (1913), zgłębiali tajniki ich życia, rozmnażania i rozwoju, wspólnie dokumentowali obserwacje. Zanim Juliusz zmarł niespodziewanie w listopadzie 1923 roku, zdążył wyjawić żonie swoje wielkie pragnienie, by wyprawiła się kiedyś do brazylijskiej Parany po najciekawsze na kuli ziemskiej motyle.

Choć miała 46 lat i nigdy dotąd nie przemierzała morskich odmętów, ku ogólnemu zaskoczeniu, 1 września 1926 roku opuściła zadymioną enklawę zawierciańskiego przemysłu, by pokonać Atlantyk i znaleźć się na drugiej półkuli. Jej pociąg pędził z Warszawy do Berlina, a dalej jechała do Paryża i Marsylii. Dla mieszkanki Zawiercia Marsylia to przedsmak egzotycznych krajów pobudzający wyobraźnię i elektryzujący wszystkie zmysły. Najbardziej intrygowały ją tajemnicze stragany ze zdobyczami morza – muszlami, ostrygami, kałamarnicami, rakami i innymi jeszcze morskimi stworami. „Żar rozkłada pękate ciała ryb, wybałusza im ślepia. Płetwy i łby walają się po chodniku [...]. Trudno się przebić. Przez gęstwinę ciał, przez harmider. Potomkowie żeglarzy, synowie kupców, Ormianie ocaleni przed rzezią, uciekinierzy zbiegli przed włoskim faszyzmem, wagabundzi z Magrebu i zwykli poszukiwacze szczęścia – wszyscy prą w różne strony. Północ blisko Południa, Wschód zetknięty z Zachodem, spotyka się tu cały świat".

eprasa.pl 7d0403eca0

Rozgorączkowani podróżni ciągną z bagażami na okręt „Valdivia", a wraz z nimi Michalina – porwana przez tłum, ogłuszona wrzaskami brudnych handlarek, zdana na łaskę ordynarnych i opryskliwych posługaczy. „Już wyją syreny, statek zaraz odpłynie. Dwa tysiące ludzi i klamoty, trudno złapać oddech. Strugi potu ciekną po plecach. [...]. Żegnaj, Europo!".

Jest jak Krzysztof Kolumb

25 września gromady kołujących jaskółek obwieściły bliskość lądu, a nazajutrz „Valdivia" dobiła do Ameryki Południowej. Autorka biografii Michaliny pisze, że jak Kolumb dopływała ona do brzegów Nowego Świata, mając prawo czuć się pierwszą polską podróżniczką, którą do puszczy Parany zwabiły tajemnice owadziego królestwa. Stanąwszy na brazylijskiej ziemi, chłonęła nieznane jej piękno egzotycznych palm i magnolii, złocistych mimoz, chińskich róż i koralowych akacji.

Nad roztaczającą się przed nią zatoką Guanabara rozsiadło się kipiące życiem Rio de Janeiro. Oszałamiało i porywało przepychem sklepowych wystaw i wspaniałych bulwarów wysadzanych pierzastymi palmami. Ogłuszało „hałasem, hukiem, zgiełkiem wielkomiejskim, niewyobrażalnym wprost ruchem tysięcy samochodów, setek taksówek, omnibusów przepełnionych ludźmi po brzegi...". W swoim żywiole poczuła się dopiero w królewskim ogrodzie botanicznym wśród indyjskich tamaryndowców, pistacji i dziwacznych kaktusów o niespotykanych kwiatach. „Aleję palmową wieńczy świątynia. Na schodach nieopatrznie płoszy swojego pierwszego brazylijskiego motyla. Piękny papilio, książę wśród łuskoskrzydłych, gdy frunie, pręży się jakby wiedział, że nie ma sobie równych. [...] Jest duży, bezradnie obija się o sklepienie i wpada w mocną misternie utkaną sieć z substancji wydzielanej przez gruczoł przędny. Walczy, szarpiąc się resztkami sił, coraz wolniej i wolniej, aż wreszcie zastyga pod cieniem pająka, ten rozpłaszcza odnogi i zżera pogrążonego w agonii owada. Michalina odwraca oczy od krwawego obrazu. Niewinny spacer pośród cudów przyrody wychodzi już poza ramy wędrownej przyjemności, przerzuca ją do świata dżungli i jej odwiecznych praw".

Szlakiem kolejowym Saporskiego-Wosia

W dalszą podróż Michalina wyprawiła się brazylijskim okrętem „Commendanto Alvim", by potem w Paranagui przesiąść się w zdążający ku Kurytybie pociąg, który „mknie wśród uroczych skał i olbrzymich lasów, pędzi z całą szybkością ponad urwiskami górskimi, zwalnia nieco na mostach pozawieszanych nad przepaściami, wpada coraz w długie tunele (razem 14), a czasem wjeżdża w wąwóz tak głęboki, że w wagonach robi się ciemno pomimo jasnej, słonecznej pogody". Najwięcej jednak emocji dostarcza Michalinie przejażdżka ponad stromym brzegiem rzeki Nhundaguary, która pieni się, kłębi i szumi pośród górskich skał, podobnie jak spadające z najwyższych szczytów potrzaskane wodospady.

Serpentynowo wijąca się kolej z Paranagui do Kurytyby to dzieło Polaka Edmunda Saporskiego, a właściwie Sebastiana Wosia, bo tak brzmiało jego prawdziwe nazwisko. Był on synem bogatego chłopa z Opolszczyzny. Niespożyty głód wiedzy sprawił, że ukończywszy gimnazjum w Opolu, wstąpił na Uniwersytet Wrocławski, lecz zamiast rozpoczęcia studiów musiał uciekać na brazylijską ziemię przed poborem do armii pruskiej. Tam nauczywszy się miernictwa, dzielił grunty między kolonistów, budował bite drogi, projektował szlaki kolejowe i prowadził linie telegraficzne. Z czasem zaczął ściągać za Ocean swoich rodaków ze Śląska, stając się pionierem polskiego osadnictwa w Brazylii. Pierwszych szesnaście rodzin przybyło na te tereny w 1871 roku. Saporski, zorientowawszy się w trudnym położeniu Polaków, zmuszonych do osiedlenia się w niemieckich koloniach, a co za tym idzie znoszenia wrogości ze strony Niemców, wpadł na genialny pomysł, by na terenie Brazylii stworzyć niezależne enklawy polskiego osadnictwa. Uzyskawszy zgodę cesarza Pedra II, postanowił założyć polskie osady w Paranie, słynącej ze sprzyjającego klimatu i urodzajnych gleb. Niemcy nie chcieli jednak wypuścić Polaków ze swoich siedlisk, strzegąc ich z dubeltówką w ręku. Ci jednak wymknęli się potajemnie nocą i dotarli szczęśliwie do Parany, gdzie Saporski założył pierwszą polską osadę, nadając jej nazwę Pilarsinho, co znaczyło „Pielgrzymka". Zamieszkały w niej 32 polskie rodziny, łącznie 164 osadników. Z biegiem czasu ich liczba sięgnęła 100 tysięcy! Saporski przez cały czas zabiegał o podniesienie poziomu życia emigrantów, przyczynił się do powstania w tym odległym zakątku świata pierwszego Towarzystwa Polskiego im. Tadeusza Kościuszki oraz pierwszego polskiego czasopisma – „Gazety Polskiej w Brazylii", która ukazywała się tam niemal przez pół wieku.

Na wozie „brazylijskich Cyganów"

W dalszą drogę ku najdzikszym rewirom parańskiej puszczy Michalina wyruszyła wespół z karośnikami, czyli gromadą energicznych i pełnych humoru brazylijskich handlarzy, prowadzących iście cygański żywot. Wgramoliwszy się na ich karosę, a więc wehikuł podróżny kryty płócienną budą, jechała w tumanach czerwonawego kurzu, który grubą warstwą lepił się do ciała, tak iż wkrótce wszyscy wyglądali jak „czekoladowe manekiny". Posuwali się wężowato pośród gór i wąwozów, ponad ziejącymi grozą urwiskami i przepaściami. Wtedy też przyszło jej spędzić po raz pierwszy noc pod gołym niebem w sercu nieprzebytej puszczy. Grzała się w blasku wielkiego ogniska, na którym pło-

eprasa.pl 780403eca0

nęły gałęzie palm, paproci, cedrów, eukaliptusów i piniorów. Z przejęciem słuchała opowieści karośników o ich niesamowitych przygodach w głuchych ostępach Parany, a do jej uszu dochodziły śpiewy cykad, świerszczy, żab, nawoływania nocnych ptaków, przypominających, że „jest to prastare państwo zwierzęce i że nie należy ludziom wkraczać w ich dziedzinę". Teraz dopiero poczuła, że jest na prawdziwym owadzim szlaku, posuwając się ku rzece Ivahi śladami swoich wielkich poprzedników – Tadeusza Jaczewskiego, ks. Roberta Wierzejskiego, Józefa Czakiego, a zwłaszcza Tadeusza Chrostowskiego, o którym wiedziała, że w lutym 1910 roku osiadł tu na całkowitym odludziu, wśród lasów nad rzeką Iguassú i żył niczym Robinson Crusoe, stawiając sobie małą chatkę, rąbiąc las, uprawiając fasolę, kukurydzę i bataty. Zapuściwszy się w niezgłębione rewiry amerykańskiej dżungli, badał fenomeny jej natury. Do Europy przywiózł unikalną kolekcję ptaków parańskich opisaną przez Jana Sztolcmana. Dzięki poparciu bawarskiego uczonego Karola Hellmayra mógł w 1913 roku zorganizować drugą wyprawę do Parany, gdzie prowadził prekursorskie badania ornitologiczne. Zwieńczeniem jego pracy miała być trzecia wyprawa badawcza, podjęta wraz z Tadeuszem Jaczewskim i Stanisławem Boreckim, której jednak nie ukończył. Zmarł na malarię w Pinheirinhos. Na jego grobie Polacy postawili kamienny pomnik.

Wspominając tych przyrodników, Michalina wyznawała: „Jestem dumna, że mi te same grożą niebezpieczeństwa, które im groziły, i te same przygody, które oni przeżywali. Uśmiecham się do swego przyszłego życia i czuję się najszczęśliwszą z ludzi".

Wśród polskich kolonistów

Pierwsza polska kolonia na wędrownym szlaku Michaliny to Chapada, położona na drodze wiodącej z Ponta Grossa ku rzece Ivahi. „Mogłaby poczuć się jak na polskiej wsi – pisze Ula Ryciak – gdyby nie żar z nieba i te aromatyczne figi, melony, winogrona, pomarańcze, brzoskwinie, mandarynki na drzewach w styczniowy dzień [...]. Zachwycają ją zielonkawe kolibry, skrzeczące papugi [...] i ogromne rozmiary szyszek zwisających z gałęzi araukarii, którymi tuczy się świnie. To wszystko, co polscy osadnicy utrudzeni klęskami, suszą i znojem przy uprawianiu tu ziemi dawno już przestali dostrzegać. Mogiły nieszczęśników, których wykończyła malaria, dyzenteria i inne zarazy, obejrzy w drodze do miasteczka Terezina. O tych rozszarpanych przez dzikie zwierzęta i pomordowanych przez bandytów podczas karczowania lasów słucha z ust gospodarzy".

Do Michaliny dochodzi gorzka prawda: „Polak w górach Parany to wychodźca z drugiej półkuli świata, to wygnaniec srogiego losu – niewolnik". W innej polskiej kolonii w Apucaranie wzruszone na jej widok kobiety to śmieją się, to płaczą, i choć zahartowane są już w bojach z nieokiełznaną naturą, wyznają jej ze łzami w oczach, że „gdyby nie morze, które oddziela Brazylię od Polski, to szłyby pieszo całymi latami, byleby dojść do ukochanej ziemi". Od urodzonego pod Siedlcami Józefa Pazia dowiedziała się, że rząd brazylijski oddawał w ręce przybyłych tu Polaków kawały puszczy bez domu, ogrodzenia, studni, zapewniając im tylko cztery słupki i trochę gontów na dach. W żaden sposób nie chronił jednak przed zdradliwymi gadami, na widok których mdlały polskie kobiety, a dzieci krzyczały wniebogłosy. Niejeden chciał wrócić do Polski, ale nie miał już grosza przy duszy. Nie pozostało więc nic innego, jak zabrać się do wyrębu lasu, spalenia wyciętych drzew, a potem sadzenia kukurydzy, fasoli, manioku i batatów. Na domiar złego zebrane z Polski nasiona zbóż i jarzyn z początku nie chciały wschodzić, podczas karczowania puszczy olbrzymie drzewa zgniatały nieszczęsnych drwali, a ciała emigrantów przez wiele miesięcy pokrywały bolesne wrzody – wynik aklimatyzacji, przez którą przejść tu musiał każdy. Pierwsze lata na obczyźnie to wielka bieda, płacz i żal za opuszczoną ojczyzną. Potem było już lepiej – powoli przyzwyczajali się do gorącego klimatu, odmiennej gleby i roślinności".

Tymczasem „wieść o przybyciu dziwnej uczonej z Polski, która biega za owadami, potem je suszy, smaruje mazidłem i przyszpila, niesie się echem po puszczy. Chcą ją poznać coraz to nowi ludzie z leśnych chat głodni opowieści o życiu w ich dawnym kraju. Zjeżdżają nawet z zapadłych dziur, zapraszają w gościnę do domów [...]. Nazywają ją caçadora de borboletas (łowczyni motyli), traktują jak posłankę z lepszego świata, który stracili".

Ziemię brazylijską zasiedlało wielu zasłużonych dla niej Polaków, których dzieła Michalina mogła oglądać na własne oczy. Był wśród nich architekt i ceniony inżynier Andrzej Przewodowski – budowniczy urzędowych gmachów brazylijskich; geometra Florestan Rozwadowski – autor pierwszych topograficznych zdjęć dorzecza Amazonki; inżynier Ludwik Mieczysław Malaiski – budowniczy pierwszej fabryki tekstylnej w São Paulo oraz linii kolejowej łączącej to miasto z Sorocabaną. Michalina musiała też słyszeć o Mieczysławie Radziszewskim – inżynierze-górniku, który w 1897 roku odkrył pod Kurytybą ślady ropy i węgla kamiennego. Znała też pewnie nazwiska Bronisława Rymkiewicza i Stanisława Brodzkiego – geniuszy inżynierii, którzy zaprojektowali linię kolejową z São Paulo do Santos, przy której to konstrukcji zastosowali najnowocześniejsze rozwiązania techniczne, jak linowe opuszczenia i wyciągi. Ich wspólnym dziełem był również port Manaus nad Amazonką. Ponad trzysta kilometrów linii kolejowej biegnącej przez dziewiczą puszczę w głąb Brazylii przeprowadził natomiast Witold Wierzbowski, który ponadto pogłębiał zatokę w porcie Antonina, a samo miasto skanalizował i zaopatrzył w słodką wodę. Nie

eprasa.pl 780403eca0

można też zapomnieć o Kazimierzu Warchałowskim, który postawił w Kurytybie pawilon reprezentujący Polskę na wystawie światowej, założył pismo „Polak w Brazylii", polską księgarnię i całą sieć małych bibliotek ludowych, wybudował w Paranie tartak, fabrykę nawozów sztucznych, drukarnię, skład maszyn i narzędzi rolniczych. Za ojca polskiego szkolnictwa w Brazylii uchodził natomiast Hieronim Durski – założyciel pierwszej polskiej szkoły w tym kraju (1867) oraz autor prekursorskiego „Elementarza dla polskich szkół w Brazylii w języku polskim i portugalskim" (wyd. 1893).

W zielonym labiryncie pełnym pułapek

W śnionej od długiego czasu Paranie Michalina przemierzała pieszo kilometry stepowych ścieżek, posuwając się ostrożnie wśród wysokich traw i kwitnących ziół Południa. Chłonęła egzotyczne piękno storczyków, aromatycznej rezedy, amarantowych goździków i coraz to innych podzwrotnikowych kwiatów układających się w kolorowe kobierce. Zżerana przez ciekawość, zaopatrzywszy się w surowicę, zawędrowała w okolice Ponta Grossa, które uchodziły za ojczyznę grzechotników. Wabił ją gęsty las, spleciony lianami, choć wiedziała, że w jego mrocznej głębi ukrywać się mogą włóczędzy i bandyci. Pokusa była jednak silniejsza... Posuwała się powoli skrajem „przedziwnego boru", odurzona widokiem dzikiej flory. Niepohamowana ciekawość gnała ją wciąż przed siebie aż do momentu, gdy w tajemniczej głuszy posłyszała jakiś dziwny szelest, a po nim charakterystyczny, niepokojący dźwięk potrząsania koralikami, który po jakimś czasie powracał. Wówczas „Michalina podrywa się gwałtownie z pnia. Kilkadziesiąt kroków od niej, pomiędzy liśćmi, już widzi wijący się ogon z rzędem złączonych pierścieni wydających alarmujące odgłosy. Cielsko oślizgłego gada zajmuje niemal całe drzewo. Mierzy kilka metrów. Energicznie zsuwa się w dół. Michalina nieruchomieje. Po chwili stuporu łapie oddech. Odwraca się i biegnie. Gdziekolwiek, byle nie tu. Kłuje ją, parzy, uwiera. Ale wierzy, że to szybko minie. Poraniona ucieczką przed grzechotnikiem dochodzi do siebie".

Docierając w okolice rzeki Ivahi, nie marnuje ani chwili i od razu zapuszcza się w głąb lasu, zwabiona „szaloną muzyką" orkiestry cykad, które krzyczą, nawołują, płaczą, a nawet szczekają niczym podwórkowe brytany. To istny zielony labirynt pełen pułapek. Waży więc każdy krok, ma się na baczności, by nie nadepnąć któregoś z wszechobecnych węży. Uważa na kolczaste drzewo niapinda, które naszpikowane niewidocznymi ostrzami przy byle dotknięciu ciągnie człowieka ku sobie. Trzyma się z daleka od pokrzywy brazylijskiej, której chociażby muśnięcie podrażnia nerwy i wywołuje wysypkę na skórze. Pada jednak ofiarą pchełki nożnej bicho de pe, która ma oryginalny zwyczaj składania jajeczek pod paznokciami ludzkich stóp. Lęgną się z nich maleńkie larwy wgryzające się coraz głębiej w ciało. Gdy Michalina zaczęła kuleć z bólu, wydało się, że jej paznokcie upodobała sobie krwiożercza samiczka i że konieczne jest operacyjne usunięcie całego woreczka z pchlimi zarodkami i ich zapobiegliwą matką.

Z czasem nabiera pewności siebie i zaczyna przeistaczać się w prawdziwą amazonkę – szybko opanowuje sztukę jazdy konnej, od Jerzego Pogorzelskiego pożycza karabinek-flower, uczy się strzelać i polować na ptaki. „Co najważniejsze, uczestniczy tu w rewii piękności. Na widowni kręcą się seledynowe kolibry, hałaśliwi kuzyni tęczy – tukany, papugi w kolorach pożyczonych od liści i nieba, rdzawoceglane sarakury. Na scenie brylują długo przez nią morfidy [...] Ich obłędne metaliczne skrzydła zmieniają się jak morze o różnych porach dnia, błękit załamuje się i przeobraża, przechodząc w zieleń, czasem sięgając brązu [...]. Gdyby nie ich lekkość i bezszelestność, przypominałyby ptaki".

Zdążając ścieżką wydeptaną przez dziką zwierzynę, ma wrażenie, że idzie wielkim leśnym tunelem, który tworzyły olbrzymie drzewa paprociowe i gigantyczne palmy, wyniosłe cedry i zjawiskowe matafomy, a wszystko splątane setkami i tysiącami metrów zwieszających się lian. Pośród tych leśnych kolosów poprzetykanych bukietami oszałamiających storczyków i jaskrawych kaktusów dobiega ją z nagła wyraźny tupot, trzask gałęzi i szelest trzciny... Ktoś lub coś zbliża się ku niej... Staje więc, nasłuchując i mając w ręku jedynie siatkę na motyle... Tajemniczą istotę spłoszyły zapewne jej ostrzegawcze chrząknięcia, bo czmychnęła czym prędzej w gęstwinę. Michalina może odetchnąć z ulgą, lecz potem stoi jeszcze długo nieruchoma, wpatrując się w dal, gdzie oczom jej ukazuje się olbrzymi mrówkojad – tamandua bandeira! Mimo iż nie ma zębów, stanowi nie lada zagrożenie. Uzbrojony w bardzo długie i ostre pazury mógł zagłębić je z łatwością w ciele ofiary i zadusić ją na śmierć. Wtedy ginęli oboje, bo mrówkojad nie był w stanie wyciągnąć swych szponów z ciała przeciwnika.

U mistrza puszczy

Przemierzając nieznane szlaki, Michalina poznaje zagnieżdżonego w puszczy zoologa Stanisława Boreckiego, który jak mało kto znał chyba wszystkie ptaki Parany. Dostawszy się do egzotycznej siedziby mistrza puszczy, obdarowana została przez niego pudłem różnych „biszów" (robaków) oraz metrową skórą jaszczura. Na miejscu okazuje się, że specjalnością Boreckiego jest hodowla gadów. Wiele żmij dostarczał do Instytutu Butantana. Michalina z przejęciem słuchała jego opowieści o tym, jak „wieczorem ze świecą w ręku wszedł do osobnej komory, gdzie stała skrzynia, i uchylając wieko tejże, wrzucił do niej trzymany okaz. Naraz stała się

eprasa.pl 780403eca0

rzecz straszna: jedna ze żmij, znajdująca się przy samym wieku, momentalnie odrzuciła ową przykrywkę, wytrącając Boreckiemu świecę z ręki i w ciemnościach wszystkie gady zaczęły wysuwać się na zewnątrz i otaczać go ze wszystkich stron. Nie trzeba zapominać, że wszystkie były jadowite. W takiej chwili może stracić orientację nawet najodważniejszy człowiek, więc i Borecki [...] zapomniał, gdzie są drzwi". I dopiero natrafiwszy na klamkę, wybiegł z izby czym prędzej i zatrzasnął je za sobą.

Niejednokrotnie i samej Michalinie przychodziło stawać oko w oko z dziką bestią. Któregoś razu w odludnych okolicach Cândido de Abreu musiała ratować się ucieczką przed krwiożerczą pumą. Gdy nie można już było dłużej czekać, spomiędzy dwóch niebezpieczeństw wybrała skok do rzeki Ubansinho. „Wolałam wodę niż pumę – opowiadała. – Szkoda tylko, że nie sfilmowano tej strasznej sceny. Najgorzej było z ubraniem i przyborami entomologicznymi, które zwinięte razem trzymałam nad głową w czasie tej karkołomnej przeprawy, gdyż woda na środku rzeki dochodziła mi do ramion. Nie zachorować po takim dniu – to naprawdę łaska Boska".

Wśród Indian Koroadów

Zgłębiając tajemnice parańskiej przyrody, podróżniczka znad Warty poznawała także życie Indian Koroadów, tubylców z okolic Cândido de Abreu, którzy mieszkali w prymitywnych chatkach skleconych z trzciny, gałęzi i drążków. Niskiego wzrostu, o cerze ciemnośniadej, ukośnych oczach, czarnych włosach i łagodnym wzroku trudnili się przede wszystkim myślistwem i rybołówstwem, rzadziej rolnictwem, koszykarstwem i kapelusznictwem. Spali na matach plecionych z okiści kukurydzy. Za pożywienie mieli owoce lasu o żywicznym smaku oraz mięso dzikich zwierząt, ptactwa i jaszczurów, na wpół upieczone przy ognisku, a za największy smakołyk – koro, czyli białe pędraki wielkich chrząszczy, wybierane z pni powalonych piniorów. Na polowania udawali się zaopatrzeni w łuki i strzały, tylko nieliczni posiadali broń palną zakupioną od białych. Pędzili koczownicy tryb życia, przenosząc się z miejsca na miejsce z całym swoim dobytkiem. Szli wówczas długim szeregiem – mężczyzna niósł broń i prowadził na linie psa, za nim zaś postępowała reszta rodziny z koszami na głowie, w których umieszczano małe dzieci i sprzęt domowy. Nad Koroadami opiekę sprawował rząd brazylijski, wyznaczając im ziemię do użytkowania, ale bez prawa do jej wykupu. W okolicach Cândido de Abreu żyło kilkuset czerwonoskórych, dziesiątkowanych przez epidemie kokluszu, ospy i malarii. Michaliną wstrząsnął fakt, że za zabicie Indianina morderca nie odpowiadał nigdy przed sądem. Od ojców jezuitów tubylcy nauczyli się pracować w winnicach, na plantacjach kawy, herbaty i trzciny cukrowej. Michalina zawdzięczała Koroadom zdobycie dwóch gniazd rzadkich ptaków „szapu", które swe siedliska budowały na samych wierzchołkach najwyższych prastarych kolosów puszczy i z podziwem patrzyła, z jaką szybkością i zwinnością wdrapywali się na tak „zawrotną wysokość".

Głód wrażeń, głód dżungli

Wracając do ojczyzny na pokładzie holenderskiego kolosa morskiego „Gelria", wiozła z sobą oprócz imponujących owadzich zbiorów, wypchanych kolibrów, skór jaguara i wielkiego jaszczura, także dwie brazylijskie współtowarzyszki – małpkę białouszkę Uistiti i czerwono-zieloną papużkę Bejżę, która nie będzie widziała świata poza swoją panią.

Jej nazwisko nie schodziło z ust nie tylko mieszkańców Zawiercia, lecz także całej Polski. Wyczynami Isaakowej zachwycał się największy włóczęga II Rzeczypospolitej Arkady Fiedler oraz inny znany globtroter Mieczysław Lepecki. Posypały się zaproszenia na konferencje i odczyty. Michalina była w swoim żywiole – jeździła po kraju, opowiadała o wyprawie, prezentowała cenne okazy wydarte brazylijskiej puszczy. Wszystko, co stało się jej udziałem w tym odległym, egzotycznym świecie, opisała w swojej debiutanckiej książce podróżniczej „Polka w puszczach Parany" (1936). Zaraz po jej wydaniu, gdy „zadrżał wewnętrzny kompas", niesyta nowych wrażeń, zarażona bakcylem włóczęgi i tęskniąca za tym, co tajemnicze, pierwotne i nieznane, postanowiła po raz kolejny wyprawić się do dżungli – tym razem do Amazonii. Zamierzając utrwalić na kliszach owady, dzikie zwierzęta i tubylców znad Ukajali, miała blisko sześćdziesiąt lat. Z listów do przyjaciółki Wandy Lacijewicz wiemy, że w początkach eskapady nie dopisywało jej zdrowie i że przez długie tygodnie leżała w łóżku, ale siła charakteru nakazywała jej wstać i zanurzyć się w najdziksze zakątki puszczy, która tym razem okazała się dla niej grobem. W przeddzień II wojny światowej, 31 sierpnia 1939 roku, Henryka Jaklicz, córka Juliusza Isaaka, otrzymała list z poselstwa polskiego w Rio de Janeiro. Donoszono w nim, że Michalina Isaakowa najprawdopodobniej utonęła w nurtach jednego z wodospadów Ukajali w 1937 roku. Jej ciała nigdy nie odnaleziono. Dżungla bezgłośnie i bezszelestnie pochłonęła badaczkę swych odwiecznych praw, kobietę, która w tych dziewiczych lasach Ameryki Południowej odkryła samą siebie. ■

_____

Źródła: Michalina Isaakowa, Polka w puszczach Parany, Poznań 1937; Ula Ryciak, Poławiaczki pereł. Pierwsze Polki na krańcach świata, Kraków 2020.

eprasa.pl 780403eca0

Piotr Lisiewicz

Polska poezja przywitała niepodległą II Rzeczpospolitą tomikiem poezji Jana Lechonia „Karmazynowy poemat". Jego autorem był 21-latek, ale wiersze powstawały, gdy miał on 17–19 lat i trwała walka o niepodległość Polski. Najmocniejsze wrażenie w „Karmazynowym poemacie" robią do dziś dwa wiersze – „Piłsudski" i „Mochnacki". Nastrój, a szczególnie zakończenie wiersza „Piłsudski", wpłynęło na to, jak myślała o nim i czuła jego idee cała przedwojenna Polska: „A On mówić nie może! Mundur na nim szary". Koniec podobnego w swojej stylistyce wiersza „Mochnacki", opisującego jego koncert we francuskim mieście Metz, po przegranej powstania listopadowego, nie mógł być pogodny, lecz dramatyczny: „Citoyens! Uciekać! Krew pachnie w tej sali!!!".

W 2021 roku szczątki Maurycego Mochnackiego wróciły do Polski. Marszałek Elżbieta Witek przytoczyła przy tej okazji jego słowa: „Polska potężna i niepodległa była jedynym romansem mojej młodości". Jak wyglądał ten romans, a przynajmniej jego pierwsza, najbardziej optymistyczna część, opisał krakowski historyk Józef Gollenhofer w książce „Polityczna strona działalności Maurycego Mochnackiego (1803–30). Próba zarysu", wydanej w Krakowie w 1910 roku. Fragmenty, które przedrukowujemy poniżej, dotyczą publicystycznej i dziennikarskiej działalności Mochnackiego, która wpłynęła w ogromny sposób na całe polskie pokolenie.

Józef Gollenhofer

Mochnacki wiał ku narodowi zdrowie

Twierdzenie to swoje opierał Mochnacki na namiętnym, bezwzględnym akcie oskarżenia Moskwy i jej polityki na ziemiach polskich. Nikt za czasów Królestwa Polskiego nie wypowiedział z taką dobitnością i precyzją tego, co wrzało w myślach i sercach młodszego zwłaszcza pokolenia.

Zasadniczym rysem jego charakteru była [...] dążność usilna do urabiania na pewną modłę zapatrywań innych ludzi, do pociągania ich za sobą; wewnętrzna ta konieczność obok ciężkich przejść życiowych wiodła go od wczesnych lat młodzieńczych ku dziennikarstwu, zasadzającemu swe istnienie właśnie na tym wytwarzaniu pewnego nastroju wśród szerszych mas. Sposobność zaś do wypowiedzenia się tym była świetniejsza, że mógł przemówić z całym ogniem długo tłumionego uczucia, z całą potęgą wezbranego tylu upokorzeniami, tylu ciosami serca. [...]

Twierdzenie zaś to swoje opierał Mochnacki na namiętnym, bezwzględnym akcie oskarżenia Moskwy i jej polityki na ziemiach polskich. Nikt za czasów Królestwa Polskiego nie wypowiedział z taką dobitnością i precyzją tego, co wrzało w myślach i sercach młodszego zwłaszcza pokolenia. Wypominał więc Rosji stuletnie przeszło dążenie do zagłady narodu i imienia polskiego, przywodził na pamięć rozbiory, wyliczał wreszcie krzywdy najbliższe: nadużycia z epoki Kongresowego Królestwa. A nie przepuścił niczego. Wytaczał przed sąd opinii i służalstwo rządu, i stałe dążenie do ograniczenia i spaczenia edukacji, i rozpanoszenie się szpiegostwa; przede wszystkim jednak podnosił zakaz myślenia, mówienia i pisania, mający lud przywieść ku temu, „żeby o krzywdach swoich nie rozpamiętywał i skarg swoich przed światem nie rozwodził, żeby zapomniał jakim był i jakim jeszcze być może na pogrom swych ciemiężycieli, a na zbawienie reszty Europy".

eprasa.pl 780403eca0

„Czyż więc należy dziwić się – pisał – że ludzie zacni rozmyślają o połączeniu w jedną całość rozerwanych części naszej ojczyzny; ona jest ostatnią twierdzą naszą, w której się obwarowała dola nasza". „Ojczyzną naszą jest owa wielka myśl politycznej niepodległości i nadzieja, że się kiedyś za przewodnictwem i pomocą Bożą w jedną nierozdzielną sprzężemy całość, że będziemy twierdzą Europy, pogromem dla złych sąsiadów i wybranym Słowiańszczyzny ludem". [...]

Wywarło i wywrzeć musiało wrażenie ogromne. Po raz pierwszy bowiem sformułowano tu z całą siłą te zasady i pojęcia, których bezpośrednim wynikiem była noc listopadowa, w całej pełni wyszła na jaw ich zła i dobra strona. Podniesienie znaczenia idei niepodległości dla narodu słusznem było i zbawiennem, tylko że dla idei tej nie dającej na razie się urzeczywistnić poświęcano zbyt wiele, rzucając na oślep realne mimo wszystko warunki bytu narodowego. [...]

Natura stworzona na dziennikarza

Lecz i dla Mochnackiego pismo to ważnym w życiu było wypadkiem. Stwierdzało bowiem niezbicie, że zachował ścisły kontakt ze społeczeństwem i uczuć swych młodzieńczych wcale nie zatracił, mimo nieszczęść i upadków, któreby słabszą naturę albo złamały, albo na złe wepchnęły tory. To bowiem, co głosił, nie tylko jego samego ożywiało, ale było wyrazem dążeń i pragnień przeważnej części społeczeństwa. »Głos obywatela poznańskiego« okazywał też dobitnie drogę, jaką pójdą późniejsze poglądy polityczne Mochnackiego czy w działaniu i pismach z epoki rewolucyi, czy w historyi powstania, czy wreszcie w pismach auxerrskich. Zewnętrzną zaś formą i sposobem ujęcia był dowodem talentu, który już przyszedł do poznania siebie i wypowiedzieć się usilnie pragnął.

Zarówno bowiem z organizacji umysłu, jak całego swego temperamentu był Mochnacki naturą stworzoną na dziennikarza. Cechowała go i wielka zdolność obejmowania najrozmaitszych dziedzin wiedzy ludzkiej, i błyskotliwy talent pisarski, który mu dozwalał każdą sprawę omówić jasno i dobitnie, a barwnem i jędrnem słowem. Niezmierna łatwość wychwycenia z chaosu drobnych zdarzeń rzeczy zasadniczych, umiejętność kojarzenia najróżnorodniejszych pojęć ze sobą, ogromna brawura w wydawaniu sądów i wielka pewność na każdym polu sprawiały, że współczesnych porywał nieudawanym zapałem, zadziwiał rozległością swego umysłu. A do przymiotów tych łączyła się niezmierna rzutkość i ruchliwość, ułatwiająca mu wytworzenie sobie w każdej chwili organu, w którym by się mógł wypowiedzieć; przymuszony wyjść z redakcji jednego pisma, bądź dla niepomyślnych okoliczności, bądź dla jego upadku, od razu zawiązywał drugie i na równym poprzednim ustawiał poziomie.

To też ten rys zasadniczy wcześnie już popchnął go ku dziennikarstwu; przypadkowe zaś zdarzenia i ciężkie przejścia życiowe dokonały reszty [...]. Decydujący wpływ wszakże wywarło wykreślenie spomiędzy uczniów w uniwersytecie i późniejsze więzienie u Karmelitów przez to, że nie dozwoliło mu zapewnić sobie bytu na drodze urzędów, do której parli go rodzice. Zabiegał on w prawdzie i potem wskutek ich nagabywania ustawicznie o magistrat prawa i posiadł go ostatecznie; ale już wtedy nierozłącznie związał się z dziennikarstwem i o innym nie myślał losie.

Ruch i walka wyobrażeń

A właśnie zerwał się w literaturze prąd nowy – romantyzm, który skrępowanym przez cenzurę gazetom zapewnić miał obfity do obrobienia i omówienia materiał; zniknąć musiała przez to obojętność szerszych kół dla dziennikarstwa, wynikająca ze smutnego położenia redaktorów wobec cenzury, niweczącej wszelką myśl śmielszą. Wszędzie w ogóle uchodził romantyzm jako symbol nowego porządku rzeczy, lecz nigdzie tak ciężko nie zaważył jak u nas na losach narodu. Ale też dziwnie w porę jawił się wśród ówczesnych wypadków, dziwnie godził z dążeniami społeczeństwa, czy to domagając się powiązania literatury z życiem i jego zadaniami, czy szukając dla niej głębszej podstawy w istocie i treści narodowego ducha i obyczaju. Myśl zaś o względności rozmaitych literackich kierunków, wysuwająca naprzeciw skostniałych zamarłych reguł potęgę uczucia, pociągać musiała młodych całą mocą, gdyż obszerne stwarzała pole do krytyki stosunków panujących w literaturze i pozwalała wytoczyć spór ówczesnym powagom wśród klasyków. Stąd i dla życia politycznego miał ten kierunek duże znaczenie; podniecał bowiem chęć oporu, która tkwiła w myślach i wyobrażeniach całego tego pokolenia.

Nastąpił ruch i walka wyobrażeń, żywe i coraz to głośniejsze spory; liczba gazet, pism szybko zwiększać się zaczęła mimo, że wszystkie wychodzące z zakresu faktów rozprawy polityczne, wszelkie uwagi nad stanem kraju cenzura tępiła bezwzględnie. [...]

Pierwsza taka gazeta

Już 1. Grudnia 1826 r. zakłada nowe pismo codzienne – „Gazetę Polskę", redagowaną aż do

eprasa.pl 780403eca0

września 1829 r. wespół z Bronikowskim. Pojawienie się jej podziałało niby uderzenie biczem na wszystkie inne warszawskie dzienniki. Już od lat paru żaden żywszy prąd nie ożywiał zatęchłej ich dziedziny. Ciągnęła mozolny żywot sędziwa „Gazeta Warszawska", dogorywała „Gazeta Korrespondenta Warszawskiego i Zagranicznego"; obydwa te pisma, wychodząc cztery razy w tygodniu, nie miały w sobie nic takiego, coby zainteresować mogło szersze koła czytelników. Ruchliwszy nieco „Kurjer Warszawski", założony przez Brunona hr. Kicińskiego, wychodził wprawdzie sześć razy na tydzień; ale od chwili nabycia go na własność przez aktora L. A. Dmuszewskiego stał się owym typowym dla ówczesnego życia warszawskiego „Kurierkiem", zadziwiającym nieraz swą naiwnością, rozśmieszającym dziwacznością formy.

„Gazeta Polska" jawiąc się wśród tej zamarłej dziedziny wywarła wrażenie niezmierne. Już sam jej format, druk i papier korzystnie dla niej uprzedzał wobec niezmiernie niedbałego wydawania dotychczasowych gazet; do tego chociaż codziennie wychodziła, była od nich wiele tańszą. Przede wszystkiem wszakże różnica leżała w treści. [...]

Po raz pierwszy bowiem w prasie codziennej zaczęła omawiać gruntownie i głęboko ten dział życia publicznego, o którym jedynie coś powiedzieć było wolno t. j. literaturę i sztukę. Nie były to już jak dotychczas rozpływające się w pochwałach, a z dość podejrzanych źródeł pochodzące recenzje dzieł świeżo wydanych, oceny głosu artystek, gry aktorów; w ich miejsce jawiła się użyźniająca umysły krytyka, która domagała się pogłębienia myśli, estetycznego sądu i smaku.

Wyznając hasła romantyczne i omawiając każde dzieło literackie z tego punktu widzenia zwracała „Gazeta Polska" uwagę całego społeczeństwa na ruch, który się przemożnie budził i niecił ferment w umysłach. Znaczenie tych ocen wtedy dopiero w całej wystąpi pełni, jeżeli się zważy, jak ówczesne gazety były redagowane. O artykułach politycznych oczywiście mowy być nie mogło; cenzura przecież nigdyby na to nie zezwoliła. [...]

„Gazeta Polska" pierwsza wśród ówczesnych dzienników zajęła się ogólniejszem życiem narodu, pod rozwagę je wzięła i ocenę. Równocześnie i rozwój innych narodów w odmiennym zaczęła przedstawiać świetle, po raz pierwszy bowiem wprowadziła na swe łamy oryginalne, zagraniczne korespondencje [...]. „Gazeta Polska" miała więc tę zasługę, że chociaż nie pierwsza wprowadziła prasę codzienną, to jednak ją ustaliła, pobudzając tym innych redaktorów do naśladownictwa. Już to samo oburzało ich wielce; gdy zaś prócz tego na jej łamach dotkliwe, ku nim skierowane pojawiły się przycinki na temat banalności i niedołężnego języka, dawali nieraz gniewowi swemu wyraz w zjadliwych artykułach. Mochnacki, który miał niezmierny talent polemiczny i satyryczny, nie puścił tego płazem; wywiązała się walka śmieszna może czasem, ale poruszająca szersze koła, wzbudzająca zainteresowanie się ruchem piśmienniczym. [...]

▶ Do Mochnackiego po radę

Na tej wszakże dziennikarskiej pracy nie ograniczała się działalność Mochnackiego w tym okresie. Temperamentem swym żywym, niezrównaną energią skupiał około siebie cały szereg ludzi, którzy niebawem zajaśnieć mieli na polu literatury, i to skupiał do czynu błogiego w skutki. Zaleski, Żukowski, Goszczyński, Grabowski i kilkunastu innych połączyli się ścisłą przyjaźnią do pracy nad podniesieniem literatury, nad ożywieniem ruchu umysłowego w Polsce. Grono tych ludzi, zbierające się w szczupłym mieszkaniu Mochnackiego na wieczorną pogawędkę, zamieniało się nieraz na kuźnicę nowych literackich projektów i zamierzeń, silni wiarą w przyszłość narodu z hasłem „Czas i charakter czasu stwarza mocna wola", wspierani, czy rozważnym słowem Mickiewicza, czy gorącą zachętą Michała Grabowskiego, ciągłe listowne z nimi utrzymujących stosunki, rwali się jeden przez drugiego do działania, to łącząc się społem, to znowu samodzielnie.

Ostatnie lata przed listopadowem powstaniem wykazują też dziwnie ruchliwe, około tego grona skupiające się literackie życie. [...] Wszystkie zaś projekty te opierały się i ogniskowały w Mochnackim; do niego wszyscy po radę, po przewodnictwo się zbiegali. A on nie żałował trudu; rano zajęty w biurze, po południu w redakcji, ustawicznie pracujący nad sobą i nad swym dziełem [...]. Okres to był najpiękniejszy w jego życiu, okres potężnych polotów, pracy niezmiernej, a obfitej w skutki.

Do tej też epoki zawsze powracać będzie myślą, gdy na obczyźnie przyjdzie mu walczyć z zawiścią, borykać się z nędzą, łamać z pożerającą go tęsknotą za krajem, za rodziną. Przypominać będą te czasy również przyjaciele i współpracownicy; przyzna mimo późniejszych nieporozumień i Zaleski, „że wtedy Maurycy wiał ku narodowi zdrowie". Ale też wiał je w istocie całym swym niezwykłym zjawiskiem, czynnością niezmordowaną, wnosząc nowe życie w społeczeństwo, na nowe je pchając tory [...]. ■

___

Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji „Nowego Państwa".

eprasa.pl 780403eca0

Ryszard Czarnecki

Prześladowanie chrześcijan i głośne milczenie UE

O naszych braci w Chrystusie – chrześcijan różnych obrządków, prześladowanych tylko dlatego, że wierzą w tego samego Boga co my – warto i trzeba się upominać. Upominać na co dzień, a nie tylko wtedy, kiedy czytamy o kolejnych rzeziach chrześcijan, atakach terrorystycznych na nich, porwaniach, torturowaniu, zmuszaniu do przejścia na islam.

Napisałem „czytamy", bo raczej nie jest to temat dla telewizji, rzadko słyszymy o tym w radiowych newsach. Tak jakby pozbawianie życia za wiarę chrześcijańską opisywane w „Quo Vadis" przez pierwszego polskiego laureata literackiego Nobla – Henryka Sienkiewicza – dzisiaj spowszedniało, stało się czymś oczywistym. Przed przeszło 100 laty chrześcijańska Europa na rzezie Ormian-chrześcijan reagowała erupcją solidarności: wydawnictwami książkowymi, nabożeństwami, zbiórkami pieniędzy, apelami do sumień możnych tego świata, wsparciem dla uchodźców.

Jak dzisiaj reaguje Europa, przez wieki budowana na Dekalogu? Czy słyszymy to równie głośne, co haniebne milczenie? Przygotowując się do napisania tego tekstu, przejrzałem rezolucje Parlamentu Europejskiego poświęcone prześladowaniu chrześcijan. Tylko między listopadem 2007 a październikiem 2013 roku było ich aż dziewięć! Teraz jest ich zdecydowanie mniej. Jak to było? 1. Rezolucja z 15 listopada 2007 roku w sprawie „Poważnych wydarzeń zagrażających istnieniu wspólnot chrześcijańskich oraz religijnych". 2. Rezolucja z 21 stycznia 2010 roku w sprawie „Niedawnych ataków na wspólnoty chrześcijańskie", 3. Rezolucja z 6 maja 2010 roku w sprawie „Masowych aktów okrucieństwa w Jos w Nigerii", 4. Rezolucja z 20 maja 2010 roku w sprawie „Wolności wyznania w Pakistanie", 5. Rezolucja z 20 listopada 2010 roku w sprawie Iraku: „Kary śmierci (w szczególności sprawy Tarika Aziza) i ataków na wspólnoty chrześcijańskie". 6. Rezolucja z 20 stycznia 2011 roku w sprawie „Sytuacji chrześcijan w kontekście wolności wyznania", 7. Rezolucja z 27 października 2011 roku „O sytuacji w Egipcie i Syrii, zwłaszcza w odniesieniu do wspólnot chrześcijańskich", 8. Rezolucja z 13 grudnia 2012 roku w sprawie „Rocznego sprawozdania dotyczącego praw człowieka i demokracji na świecie za rok 2011 oraz polityki UE w tym zakresie". 9. „Ostatnie przypadki przemocy i prześladowania chrześcijan, w szczególności w Maaluli (Syria), Peszawarze (Pakistan) oraz sprawa pastora Saeeda Abediniego (Iran)".

Piszę te słowa pod koniec listopada 2021 roku. Leży przede mną projekt rezolucji Parlamentu Europejskiego przygotowany przez francuską europosłankę Dominique Bilde. Do tej pory nie został uchwalony. Kilka miesięcy temu grupa polityczna Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, w której jest PiS, zaproponowała na Konferencji Przewodniczących PE, aby w najbliższym czasie przeprowadzić debatę na temat prześladowania chrześcijan. Przegraliśmy to głosowanie. Poparli nas tylko chadecy i eurosceptycy, a przeciwko była większość grup politycznych: socjaliści, liberałowie, zieloni i komuniści... Godne zapamiętania.

Jestem współautorem rezolucji na temat sytuacji w Somalii. Ten kraj jest na trzecim miejscu na świecie w indeksie państw, w których najbardziej prześladuje się chrześcijan (po Korei Północnej i Afganistanie). To w tym afrykańskim państwie wspieranym przecież pomocą humanitarną, a także gospodarczą przez UE i kraje członkowskie Unii, islamscy terroryści mordują, torturują, porywają chrześcijan. Tak czyni organizacja Al-Shabab Islamist.

Wiarygodne szacunki wskazują, że ciężkim prześladowaniom podlegało w ostatnim roku 307 mln chrześcijan. W tej klasyfikacji hańby w pierwszej ósemce, poza już wymienionymi: KRL-D, Afganistanem i Somalią, znalazły się więc na miejscach od 4. do 8. państwa takie, jak: Libia, Pakistan, Erytrea, Jemen i Iran. Planując luksusowe wakacje na Malediwach, pamiętajmy, że ten kraj jest na 15. miejscu w tej ponurej tabeli. A kraj będący do niedawna przedmiotem masowych wyjazdów Polaków na wakacje – Egipt – na miejscu 16.

Pomyślmy o tym w okresie świąt Bożego Narodzenia, bo dla bardzo wielu naszych braci w wierze to najtrudniejszy czas walki o życie – właśnie wtedy muzułmańscy terroryści atakują chrześcijańskie świątynie w wielu krajach Afryki i Azji... ■

eprasa.pl 780403eca0



Olga Doleśniak-Harczuk

ODWRÓĆ SIĘ,

Ostatni malarz renesansu, prekursor baroku. Czy naprawdę trzeba aż tak poważnie i sztywno? Może nie trzeba, ale i tak Michelangelo Merisi ląduje w szufladzie z genialnymi skandalistami, którzy obowiązkowo „wyprzedzali swój czas, ucztowali z ludźmi półświatka i marnie skończyli". I ta wersja się przebija. Nie ma lepszej reklamy. Burzliwa natura człowieka, który zostawił po sobie jedne z najbardziej urzekających dzieł sakralnych, jest jak dynamit rozsadzający skorupę uładzonego świata. Od urodzin Caravaggia minęło w tym roku równe 450 lat. Dobrze mieć jego ślad w Warszawie. Choćby i... narcystyczny.

Nieszczęsny, złudną marę gonisz w złej godzinie!
To, co widzisz, jest niczym. Odwróć się, a zginie.
Obraz, widziany w wodzie, twoim jest obrazem.
Nic własnego on nie ma, ożył z tobą razem,
Z tobą razem by zniknął, gdybyś odejść zdołał.
Próżno głód go odrywał, próżno sen go wołał;
Narcyz był niewzruszony, a klęcząc na trawie
Przyglądał się dni całe tej zwodniczej zjawie

Owidiusz, „Baśń o Narcyzie", „Metamorfozy"

A ZGINIE

John William Waterhouse „Echo i Narcyz", 1903 rok

FOT. WIKIPEDIA



Caravaggio „Narcyz”, 1597–1599

Warszawska zima na Zamku Królewskim należy do Caravaggia i jego płócien prezentowanych w ramach wystawy „Caravaggio i inni mistrzowie. Arcydzieła z kolekcji Roberta Longhiego”. Po „Chłopcu gryzionym przez jaszczurkę”, który zawitał do stolicy z jesiennym chłodem, przyszła kolej na „Narcyza”. I przybył Narcyz na zamek w jeszcze chłodniejszej atmosferze, a tam przyznano mu oddzielną komnatę, taką, gdzie można na chłopca zatopionego bez reszty we własnym odbiciu spojrzeć w poczuciu pewnej intymności. Narcyz, piękny syn Liriope i Kefisosa, nieczuły na względy nimfy Echo, która, powtarzając za Owidiuszem: „Wzgardzona, w las ucieka, twarz spłonioną kryje./ Mogłaby przeżyć miłość, wzgardy nie przeżyje./ Wszelki pokarm odrzuca, zamyka się w skale;/ Bez końca łzy ją niszczą, wycieńczają żale./ W ulotne cząstki ciało rozdziela się całe,/ Głos pozostał, a kości zmieniły się w skałę./ Duch jej błąka się dotąd po górach i w lesie,/ Dotąd koniec pytania w odpowiedzi niesie”.

Pokuta. I tęsknota za nieosiągalnym

Narcyz, który przez boginię Nemezis zaklinaną przez wszystkie odtrącone przez niego nimfy i dziewczęta ludzkie, kończy z twarzą wpatrzoną we własne odbicie, nieprzytomnie i obsesyjnie pragnący miłości niemożliwej. Z sercem zrośniętym ze swoim bliźniaczym sercem odbitym w źródle. Caravaggio wycina Narcyza z jego mitologicznego anturażu, przegania boginki, zwierzęta, fantastyczne istoty, zamalowuje drzewa, kwiaty, wrzuca chłopaka w otchłań, w samotność, w przedsionek śmierci, w odbicie w Styksie. Przepadł. Caravaggio godnie go wystroił w ostatnią podróż. Podobnie odział namalowaną rok–dwa lata przed Narcyzem Marię Magdalenę Pokutującą. Ciężki jedwab zielono-oliwkowej sukni Marii Magdaleny i jej bufiaste rękawy o tłustym, perłowym połysku wracają u Narcyza w postaci kamizeli (wamsu) i koszuli z podciągniętymi do łokcia bufiastymi rękawami. Wiemy, że malarz oszczędzał na materiałach, wykorzystując je w różnych pracach, w przypadku Narcyza roślinne ornamenty kamizelki od razu przywodzą na myśl suknię Marii Magdaleny.

Ona sama przysnęła na krześle, głowa pochylona do przodu, usta wpółotwarte. Modelka Caravaggia – kasztanowłosa kurtyzana pozująca mu do płótna – Anna Bianchini, śpi. To obraz kobiety wyczerpanej. Pokutującej, ale przede wszystkim jednak śmiertelnie znużonej. Dotychczasowym życiem, ale i śledzeniem swojego odbicia, i w lustrach, i w źrenicach mężczyzn. Maria Magdalena – Bianchini – ma zamknięte powieki, już nie musi się w niczym i w nikim przeglądać, ten etap ma już za nią.

W świecie równoległym Narcyz nie może oderwać wzroku od swojej twarzy uwięzionej w odbiciu. Nie będzie pokuty ani świętości. Jest tęsknota za nieosiągalnym, a jej zwieńczeniem może być tylko samotna śmierć. Późniejsi twórcy będą dla Narcyza łaskawsi. Pozwolą mu odejść wśród uroczych nimf, lasów, uczynią go sielankowym, ujmą mu nieco tej samotności narzuconej przez monochromatyczny i ciasny kadr Caravaggia. Nicolas Poussin w swojej interpretacji ostatnich chwil życia Narcyza z 1630 roku za towarzyszy śmierci da mu Putta i nimfę Echo; prerafaelita John William Waterhouse w 1903 roku również przedstawi Narcyza wraz z przyglądającą się jego obsesji Echo; zaś Jacopo Robusti, zwany Tinoretto, blisko cztery dekady przed Caravaggiem ukaże Narcyza równie samotnym, tylko jego bohater to rosły mężczyzna, a nie chłopiec. Narcyz Tinoretta z jedną dłonią zanurzoną w wodzie, z drugą uniesioną, jakby za chwilę miał uderzyć w taflę, jakby walczył sam o siebie i z własną słabością.

Tropem Narcyza

Co ma zrozumieć współczesny człowiek patrzący na samotność Narcyza? Że na końcu drogi każdy zo-

eprasa.pl 780403eca0



Jacopo Robusti (Tinoretto) „Narcyz", około 1560 rok

staje sam ze sobą? A może to, że buntownicza dusza Caravaggia uczyniła z mitu wehikuł, którym już czterysta lat transportuje z epoki w epokę przestrogę, abyśmy zbyt mocno nie wpadali w sidła własnej autokreacji? W internecie ktoś przerobił obraz – Narcyz przegląda się w ekranie smartfona, to jest jego źródło. A w podtekście – zguba. Prosty, być może nawet zbyt prosty przekaz, ale przecież wcale nie chybiony. Jeżeli każda epoka ma swoje źródło, zasysa uwagę, odciąga od istoty życia, staje się jego zamiennikiem, to to, co zostaje, to tęskny wzrok utkwiony w majaku, czas przeciekający przez palce jak woda z narcyzowego źródła i odbicie bardziej niż twarz młodzieńca przypominające maskę pośmiertną. Taką, jakie przymuszona przez wodzów rewolucji francuskiej robiła słynna Madame Tussauds, wosk zastygający w ostatnim grymasie.

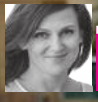
W wydanej w 1992 roku książce dwóch niemieckich autorek, Ursuli i Rebekki Orlowski, zmagających się z mitem Narcyza w literaturze, sztuce i psychoanalizie („Narziß und Narzißmus im Spiegel von Literatur, Bildender Kunst und Psychoanalyse: vom Mythos zur leeren Selbstinszenierung", München, 1992, Fink) autorki opisują, jak żmudny okazał się proces składania w jedną całość wszystkich śladów pozostawionych w naszej kulturze przez motyw Narcyza i narcyzmu. Kiedy przystąpiły do poszukiwań, stwierdziły ze zdumieniem, że zarówno większość tekstów literackich, jak i rzeźb, statuetek, obrazów inspirowanych mitem kurzy się w muzealnych archiwach i piwnicach, niewystawiane dla szerszej publiczności, udostępniane badaczom niechętnie bądź wcale. Autorki wykonały tytaniczną pracę, tropiąc Narcyza w archiwach, bibliotekach, zasobach uniwersyteckich, kilkunastu muzeach europejskich, również w kolekcjach prywatnych. W książce nie zabrakło i „Narcyza" Caravaggia, znalazł się na jednej karcie z mosiężnym świecznikiem wyobrażającym Narcyza autorstwa Karla Friedricha von Schinkela, urbanisty, architekta i malarza, któremu Berlin zawdzięcza m.in. udekorowany posągami mitologicznych bóstw most zamkowy łączący Unter den Linden z Lustgarten. W spisie „narcystycznych dzieł sztuki" znalazła się też karnawałowa maska wenecka z 1989 roku zainspirowana Caravaggiowskim Narcyzem. Najwięcej miejsca autorki jednak poświeciły poezji, głos w sprawie Narcyza zabierają tu m.in. Rainer Maria Rilke, Georg Trakl, Hans Molbjerg, Johann Gottfried Herder, Paul Valery, Poul Borum i wielu innych. W zestawie nie mogło też zabraknąć największego Narcyza, jakiego widział Weimar, czyli Johanna Wolfganga Goethego, chociaż jego wkład ograniczono jedynie do skromnej wzmianki, a zasługuje zdecydowanie na więcej. Ojciec Wertera i innych idoli preromantyzmu niemieckiego spokojnie mógłby zaistnieć na którymś z płócien z tęsknie utkwionym w źródło wzrokiem.

Na koniec, czyli zaproszenie

Pokaz obrazu „Narcyz" to efekt współpracy pomiędzy Palazzo Barberini i Zamkiem Królewskim w Warszawie – Muzeum. Pokaz specjalny obrazu z Palazzo Barberini w Rzymie od 23 listopada 2021 do 20 lutego 2022 roku. Wystawa czasowa nie ogranicza się do Caravaggia, choć jest on niewątpliwie gwiazdą wydarzenia. Serdecznie zachęcam Państwa do obejrzenia ponad czterdziestu płócien artystów z Włoch i Europy Północnej XVI i XVII wieku, które można podziwiać w ramach wystawy „Caravaggio i inni mistrzowie. Arcydzieła z kolekcji Roberta Longhiego". Wśród prezentowanych obrazów znajdą się dzieła takich twórców, jak m.in.: Lorenzo Lotto, Battista del Moro, Domenico Fetti, Dirck van Baburen, Matthias Stomer czy Jusepe de Ribera. Każdy znajdzie coś dla siebie, mnie najbardziej urzekły Judyty z głową Holofernesa, zarówno ta odmalowana przez Battistę del Moro, jak i bardziej subtelna spod pędzla Francesca Cairo. ■

FOT. WIKIPEDIA, MNWR

eprasa.pl 780403eca0



Sylwia Krasnodębska

Polskie głosy w Metropolitan Opera

Debiut śpiewaka na scenie Metropolitan Opera to niebywały sukces. Często kariera muzyka liczy się do i od tego momentu. Nic więc dziwnego, że melomani trzymali kciuki za występ Jakuba Józefa Orlińskiego, który wykonał w Nowym Jorku partię alter ego Orfeusza w spektaklu „Eurydyki" Matthew Aucoina. Dziś odnotowujemy z dumą każdy taki występ, a w historii byli tacy Polacy, którzy występowali na tej scenie... setki razy.

Polacy mogli ocenić występ Orlińskiego 4 grudnia podczas kinowych transmisji live tego spektaklu. Między innymi w Warszawie (Teatr Studio), Łodzi (Filharmonia Łódzka), Katowicach (Kino Kosmos), Krakowie (Kino Kijów), Wrocławiu (Helios Nowe Horyzonty), Poznaniu (Kino Pałacowe), Koninie (Kino Centrum), Gliwicach (Kino Amork) i Częstochowie (OFK Fuzja).

Jakub Józef Orliński wystąpił w roli alter-ego Orfeusza. Jak czytamy na stronie Metropolitan Opera: „W swojej nowej, sugestywnej operze słynny amerykański kompozytor Matthew Aucoin na nowo przedstawia historię z punktu widzenia Eurydyki i nadaje tym znanym postaciom zaskakujący, nowy wymiar". Autorką libretta „Eurydyki" jest Sarah Ruhl.

Józef Jakub Orliński 8 grudnia skończy 31 lat. Jest absolwentem Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie. W 2012 roku zdobył I nagrodę na Międzynarodowym Konkursie im. Rudolfa Petraka w Žilinie i nagrodę specjalną na VI Europejskim Konkursie Śpiewu Operowego DEBIUT 2012 w Weikersheim. W 2015 roku zdobył I nagrodę Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Marcelli Sembrich-Kochańskiej w Nowym Jorku, rok później wygrał II nagrodę regulaminową w kategorii głosów męskich podczas IX Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Stanisława Moniuszki. Również w 2016 roku został zwycięzcą Grand Finals w Metropolitan Opera National Council Auditions.

Tymczasem Polacy, jak pokazuje historia, już wielokrotnie podbijali najsłynniejszą scenę operową świata w Nowym Jorku. Urodzona w 1887 roku Ganna Walska występowała w MET z samym Caruso. Słynna Marcelina Sembrich-Kochańska, urodzona w 1858 roku, miała na koncie aż 483 przedstawień na scenie Metropolitan Opera! Jan Reszke, urodzony w 1850 roku, w 1891 roku zadebiutował jako Romeo w Metropolitan Opera podczas galowego wieczoru na otwarcie sezonu. Ze sceną współpracował dziesięć lat. Edward Reszka, urodzony w 1853 roku, był ponad dekadę stałym solistą zespołu nowojorskiej Metropolitan Opera. Urodzony w 1860 roku Aleksander Bandrowski, w 1902 roku wystąpił na scenie Metropolitan Opera w tytułowej roli opery „Manru" – jedynej opery Ignacego Paderewskiego, z Marceliną Sembrich-Kochańską w roli Ulany. Innym stałym solistą i pierwszym basem MET był Adam Didur, który urodził się w 1873 roku. Wymieniając Polaków, którzy występowali w Metropolitan Opera, nie można zapomnieć o urodzonym w 1902 roku Janie Kiepurze, który o występie na słynnej nowojorskiej scenie marzył kilkanaście lat. Stało się to w roku 1939 i w następnym sezonie 1941/1942. Teresa Wojtaszek-Kubiak w grudniu 1972 roku zadebiutowała w MET i była związana ze sceną prawie piętnaście lat. Urodzona w 1930 roku Teresa Żylis-Gara pierwszy raz zaśpiewała w MET w 1969 roku i występowała na tej scenie przez szesnaście sezonów! Wiesław Ochman na scenie Metropolitan Opera zadebiutował w 1975 roku. Wielkimi artystkami, które zdobyły serca nowojorskiej publiczności w latach 80., były też Zdzisława Donat, Ewa Podleś, Stefania Toczyska. Hanna Lisowska na scenie Metropolitan Opera zadebiutowała w 1990 roku.

W XXI wieku artystami, którzy śpiewali w MET, był choćby Mariusz Kwiecień, który debiutował tam w 2003 roku partią malarza Marcela w operze „La Boheme" Pucciniego. Edytę Kulczak zobaczyliśmy w 2003 roku jako Florę w operze „Traviata" Giuseppe Verdiego. W 2019 roku w MET debiutuje Tomasz Konieczny. Aleksandra Kurzak po raz pierwszy wystąpiła tam w 2004 roku. Śpiewakiem, który regularnie występuje w Metropolitan Opera, jest Piotr Beczała. A warto pamiętać, że nie tylko śpiewacy robili karierę w MET. Reżyser Mariusz Treliński, dyrektor artystyczny Teatru Wielkiego Opery Narodowej w Warszawie, swoim spektaklem „Tristan i Izolda" otwierał sezon 2016/2017 w Metropolitan Opera. ■

Polacy, jak pokazuje historia, już wielokrotnie podbijali słynną scenę operową świata w Nowym Jorku.

FOT. FREDERIC KERN/GEISLER-FOTOPRESS/PAP/DPA

———

Na podstawie tekstu z „Gazety Polskiej Codziennie".

eprasa.pl 780403eca0



Krzysztof Karnkowski

Krew na placu zabaw

Po raz pierwszy w historii koreański serial zdobył tak wielką popularność. „Squid game" najpierw poszybowało w górę w codziennych statystykach Netfliksa, by w ciągu kilku dni stać się najchętniej oglądanym na świecie (również w Polsce) tytułem, a wkrótce potem absolutnym rekordzistą wśród propozycji tej platformy streamingowej.

Tym razem o obrazie, który prawdopodobnie do momentu ukazania się tekstu obejrzą wszyscy, którzy mieli to zrobić. W Polsce ta opowieść nieprzerwanie znajduje się w „top 10" niemal od premiery. Skąd wziął się fenomen „Squid game" i czy popularność akurat tej serii jest w pełni zasłużona?

Prawo gry, prawo ulicy

„Squid game" opowiada o grupie zdesperowanych ludzi, którzy podstępem zostają zwabieni do bardzo brutalnej gry. Rywalizacje wydają się niewinne, są przecież oparte na zabawach dzieci, jednak w wersji, w której biorą udział, przegrani giną naprawdę, o czym uczestnicy dowiadują się bardzo szybko. Chcą więc zrezygnować i, o dziwo, dostają taką możliwość, jednak świat czekający na zewnątrz okazuje się gorszy. W krwawych igrzyskach przynajmniej jedna osoba ma szansę wygrać, na zewnątrz na wszystkich polują egzekutorzy długów, mafia, handlarze organami. Wracają więc i dalej biorą udział w tej grze na wyniszczenie. Razem jest ich ponad czterystu, my jednak z bliska poznajemy tylko kilka postaci, prezentujących przekrój społecznych nizin kojarzącej się z bogactwem i nowoczesnością Korei Południowej.

Mamy więc uzależnionego od hazardu i tracącego właśnie kontakt z ukochaną córeczką głównego bohatera, którego życie jest historią wielu Koreańczyków. To człowiek, który, mając wyjściowo niewiele, stracił wszystko podczas azjatyckiego kryzysu i nigdy już nie stanął na nogi. Twórca odwołuje się

eprasa.pl 780403eca0



FOT. MAT. ORAS.

tu do autentycznej historii grupy ludzi, którzy najpierw utracili pracę w wyniku bankructwa koncernu motoryzacyjnego, następnie zaś od państwa dostali jedynie ciosy policyjnymi pałkami, gdy próbowali upomnieć się o swoje prawa. Mamy też jego przyjaciela, wzorowego ucznia, który finalnie stał się poszukiwanym oszustem; uciekinierkę z Korei Północnej; jej bratnią duszę z Południa, młodocianą ofiarę przemocy domowej (odtwórczynie obu tych ról ponoć najbardziej zyskują teraz w Korei na popularności, widać młodzież znajduje w nich dużo własnych niepokojów); starca; poczciwego imigranta; bandziora, który naraził się kolegom, tu jednak po swojemu rozdaje karty; wreszcie chcącą się z nim związać i przy nim uratować zdesperowaną, starzejącą się oszustkę. Tej ostatniej parze zawdzięczamy zresztą mocną i bezpośrednią scenę seksu, rzecz w koreańskich serialach praktycznie nieobecną, charakterystyczną za to dla brutalnej klasyki, która lata temu rozsławiła ten kraj wśród fanów kina.

Widzimy, jak w zamkniętej, walczącej o życie grupie odtwarzają się i tworzą społeczne więzi i zależności, a obserwacje reżysera Hwanga mocno zakotwiczone są w wiedzy socjologicznej i psychologicznej. Dopracowanie wszystkich płaszczyzn, od warstwy wizualnej do naukowej podbudowy, to na pewno mocna strona serialu. Widzimy w nim też, jak idealny system totalitarny z udziałem więźniów, strażników i ukrytej władzy sam ma tendencje do wyradzania się – jest w nim ukryte drugie życie, kwitnie handel organami, a lekarz ukryty wśród graczy pomaga strażnikom w bandyckim procederze w zamian za ułatwienia w grze.

▶ Skąd ten sukces?

„Squid game" wygrywa dopracowaniem i tłem społecznym, które świat zaczął w koreańskich produkcjach doceniać, nie jest jednak dziełem wybitnie odkrywczym. Fani zachodni widzą w nim podobieństwo do kultowych „Igrzysk śmierci", z którymi serial ma niewątpliwie wspólne korzenie w postaci kluczowego dla całego gatunku „death game" japońskiego klasyka „Battle royale". Pomysł oparcia eliminacji uczestników na figurach z ich dzieciństwa pojawił się z kolei kilka lat temu w filmie „Z woli bogów" Takashi Mike, w którym pierwsza konkurencja oparta jest na tej samej zabawie i można ją uznać za bliźniaczą. Hwanga tłumaczy tylko to, że ponoć o „Squid game" myślał od 10 lat, lecz dopiero Netflix odważył się zrealizować jego marzenie. To nie dziwi, ponieważ ten schemat popularny jest w Japonii, w Korei natomiast właściwie zaistniał tylko raz, w opartym na japońskim oryginale serialu „Liar game". Skąd więc ten sukces? Z pracowitości i dokładności, lecz też mody na Azję, nostalgii za dzieciństwem, mieszaniny brutalności i estetyki kojarzącej się z k-opem.

Co ciekawe, dla urodzonego w 1971 roku Hwang Dong-hyuka „Squid game" jest pierwszym serialem. Filmografia twórcy po 14 latach od debiutu nie jest zbyt bogata. Hwang wyreżyserował cztery filmy, z czego trzy (w międzynarodowej dystrybucji jako „Silenced"; „Miss Granny" i „The Fortress") według własnego scenariusza. Debiutował w 2007 roku, reżyserując dramat „My father", którego był współscenarzystą (wspólnie ze specjalizującym się w filmach historycznych Yoon Jin-ho), a oprócz tego w 2020 roku napisał scenariusz filmu przygodowego „Collectors" dla Park Jun-bae, będącego jego asystentem przy kilku wcześniejszych produkcjach.

eprasa.pl 780403eca0

Historia ojca i syna

Zainteresowanie Hwang Dong-hyuka tematyką społeczną najmocniej przebija się w pierwszych, opartych na faktach, filmach. Debiutancki „My father" opowiada historię żołnierza koreańskiego pochodzenia, który adoptowany we wczesnym dzieciństwie przez Amerykanów, wraca do kraju urodzenia, by odbyć tam służbę wojskową. Przy okazji postanawia odnaleźć swoich prawdziwych rodziców. Kontaktuje się z nim ojciec, który skazany na śmierć za podwójne morderstwo oczekuje w więzieniu na egzekucję – rzecz dzieje się w czasach, gdy w Korei Południowej nie obowiązuje jeszcze moratorium na wykonywanie najwyższego wymiaru kary. Mężczyźni poznają się, obserwujemy, jak pomału rodzi się między nimi więź. Syn, przekonany o niewinności ojca, rozpoczyna zbiórkę podpisów w sprawie jego ułaskawienia, nie wie jednak, że ten chce po prostu wykorzystać sytuację i z pomocą nagłośnionej medialnie rodzinnej historii wyjść na wolność. Żołnierz odkrywa kolejne historie, dowiaduje się też o jednej rzeczy, o której sam ojciec nie ma pojęcia – i nie potrafi się z nią pogodzić. Film, zapowiadający się początkowo dość pogodnie, staje się przyciężki i ponury.

Ofiary i kaci

To jednak nic przy tym, co dzieje się w „Silenced", pierwszym w pełni autorskim dziele Hwanga. Dramat z 2011 roku (nie mylić z horrorem pod tym samym tytułem z roku 2015) wywołał w kraju twórcy trzęsienie ziemi. W bardzo drastyczny i dosłowny sposób opowiadał kolejną prawdziwą historię. Młody nauczyciel wraz z pracownicą socjalną toczą nierówną walkę z dwojgiem powszechnie szanowanych w lokalnej społeczności bliźniaków, którzy wraz z kilkoma innymi osobami prowadzą szkołę dla głuchoniemych dzieci. Sam film zaczyna scena samobójstwa dziecka, mamy też sceny przemocy (również seksualnej) wobec najmłodszych – uczniowie i uczennice są bici i gwałceni, a gnębiący je sadyści żyją w przyjaźni ze wszystkimi kluczowymi figurami w swoim mieście. Gdy już trafią przed sąd, organizują w swej obronie lokalną społeczność chrześcijan, sami też uchodzą za modelowych wyznawców. W sądzie nie zobaczymy sprawiedliwości. Rodzice prześladowanych dzieci, sami wykluczeni i, w kilku przypadkach, upośledzeni umysłowo, zostają przekupieni, wycofują skargi i proszą o łagodne potraktowanie sprawców. W efekcie ci dostają jedynie śmieszne wyroki w zawieszeniu, a wkrótce znów zaczynają uczyć (a więc też bić i gwałcić) kolejne dzieci. Film pozostawił Koreańczyków w głębokim szoku. W efekcie doszło do ogólnonarodowej dyskusji, a następnie zmiany przepisów. Przestępstwa seksualne wobec dzieci przestały ulegać przedawnieniu, a sprawcy pokazanych przez Hwanga obrzydliwości zostali ponownie, tym razem sprawiedliwie, osądzeni.

Jeszcze przed „Squid games"

Pozostałe filmy nie wywołały już żadnych burz. „Miss granny" była komedią z wątkiem zamiany ciał starszej kobiety i młodej dziewczyny, „The Fortress" zaś udanym kinem historycznym, łączącym ambitne sceny batalistyczne z pogłębionym psychologicznym obrazem rozterek oblężonego przez mongolskiego chana koreańskiego króla i jego ministrów. Ostatnie dzieło przed „Squid game", przy którym, tylko jako scenarzysta, pracował Hwang, to sensacyjna komedia „The Collectors", dobrze oceniana przez widzów i odnosząca kinowe sukcesy w trudnym dla branży 2020 roku.

Skąd ten sukces „Squid game"? Z pracowitości i dokładności, lecz też mody na Azję, nostalgii za dzieciństwem, mieszaniny brutalności i estetyki kojarzącej się z K-opem.

Popularność „Squid game" ma swoje następstwa. Użyty w filmie numer telefonu do gry okazał się prawdziwy, co stało się zmorą jego właścicielki. Za wielkie pieniądze próbował odkupić go prawicowy kandydat na prezydenta kraju, mający spore szanse w kolejnych wyborach. To nawet zabawne. Gorzej, że dzieci na całym świecie wracają do zabaw z ekranu, ale już w przefiltrowanej przez estetykę gry śmierci wersji, co budzi uzasadniony niepokój rodziców. Sam autor choć na początku zarzekał się, że to jednorazowa akcja i pomysł na jeden tylko sezon, niczym jego bohaterowie wraca dobrowolnie na plan, skuszony kolejną porcją pieniędzy i sławy od Netfliksa... ■

eprasa.pl 780403eca0

Marek Kalinowski

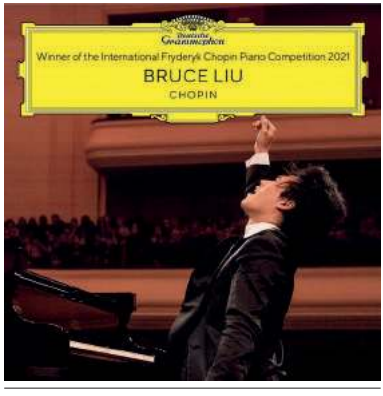
Zapis zwycięstwa

Ledwie opadły emocje związane z Konkursem Chopinowskim, a już możemy się cieszyć albumem z zapisem wybranych fragmentów z występów niekwestionowanego zwycięzcy, kanadyjskiego pianisty Bruce'a Liu. A jak smakuje wygrana? Posłuchajmy jeszcze raz Wariacji B-dur, op. 2, w których nieograniczonej wyobraźni artysty towarzyszy rzadko spotykana wirtuozeria.

Od co najmniej kilku edycji Konkursów Chopinowskich jury nie miało aż tak trudnego zadania. Pianiści reprezentowali niezwykle wysoki poziom, dzięki czemu do finału zakwalifikowało się, wbrew ograniczeniom regulaminu, aż dwunastu wykonawców, a decydujące obrady trwały do nocy. Tym lepiej smakuje zwycięstwo kanadyjskiego pianisty Bruce'a Liu. Wydany właśnie album z fragmentami jego występów to efekt doskonałej współpracy Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina i hanowerskiej wytwórni Deutsche Grammophon, pod której szyldem pianista zapewne nagra też kolejne płyty.

Odsłuch warto rozpocząć od Scherza No. 4 in E Major, Op. 54, choć nie jest to utwór, który otwiera album. A jednak to właśnie Scherzo spotkało się z takim zachwytem warszawskiej publiczności, że już na pierwszej konkursowej prostej mogło być momentem przełomowym na drodze do zwycięstwa Kanadyjczyka.

Niestety, najwyraźniej nie mogliśmy dostać wszystkiego. W wyborze Deutsche Grammophon zabrakło zarówno Ballady op. 38, jak i błyskotliwego Rondo à la Mazur. Jest za to odważny interpretacyjnie Wielki Polonez Es-dur op. 22, a trzeba pamiętać, że to nie pierwszy konkurs, w którym startował Bruce Liu, co zapewne miało znaczenie w radzeniu sobie z oczywistą presją. Podczas gdy wielu finalistów utrwalało do perfekcji opanowane fragmenty, on do ostatniej chwili poszukiwał nowych rozwiązań, a jego naturalny luz i odwaga, tak jak w Polonezie, przyniosły oczekiwany efekt.



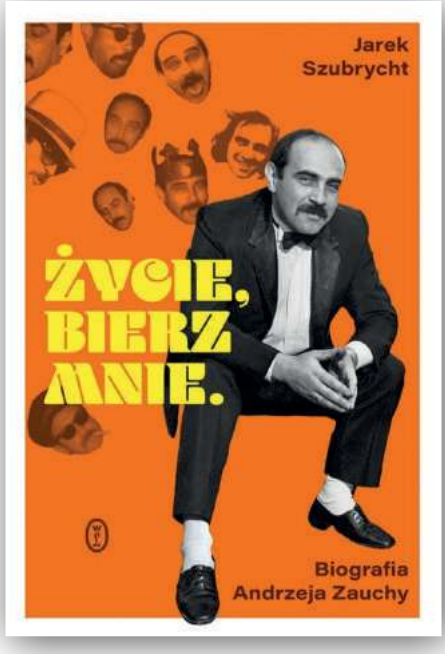
Bruce Liu, Winner of the International Fryderyk Chopin Piano Competition 2021, CHOPIN, Deutsche Grammophon

Na płycie wysłuchamy Mazurki op. 33, Nokturn op. 27, a także Walc As-dur, op. 42, utwór, w którym Bruce Liu uwodzi wszystkimi dostępnymi środkami. Żongluje nastrojami, wydobywając z fortepianu Fazioli zupełnie nieprawdopodobne dźwięki.

Na koniec otrzymujemy jeszcze uwielbiane przez Liu Wariacje B-dur op. 2 na temat duetu „La ci darem la mano" z opery „Don Giovanni" Mozarta. Jeśli instrument może naśladować wszelkie emocje wyrażane głosem, to tutaj, w mistrzowskim wykonaniu kompozycji Chopina, mamy tego najlepsze potwierdzenie. Bruce Liu zaskoczył publiczność tak nieograniczoną swobodą, wyobraźnią i sprawnością techniczną, że występ został nagrodzony długim aplauzem. Koncertem tym, zamykającym trzeci etap konkursu, nie pozostawiał złudzeń, że jest już o krok od zwycięstwa.

Bruce Liu ma zaledwie 24 lata i cała muzyczna droga dopiero przed nim. Jak potoczą się dalsze losy kariery genialnego pianisty? Artysta rozważa przeprowadzkę z Montrealu do Europy, a jeśli pandemia pozwoli, z pewnością usłyszymy go na na największych salach koncertowych. W wywiadach prasowych wspomina, że pracuje nad repertuarem francuskim, Ravelem i kompozycjami Jeana-Philippe'a Rameau. Być może na studyjne interpretacje dzieł polskiego kompozytora przyjdzie nam trochę poczekać, ale kto wie, czy krótki odpoczynek od Chopina nie zaowocuje jeszcze lepszymi, na nowo przemyślanymi nagraniami, które będzie można zestawić z historycznym zapisem konkursowym. ■

eprasa.pl 780403eca0



Jarek Szubrycht, „Życie, bierz mnie. Biografia Andrzeja Zauchy", Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021

Krzysztof Wołodźko

DAJMY MU ŻYĆ. ŚPIEWAĆ I GRAĆ

Andrzej Zaucha postrzegany jest dziś przez pryzmat fatalnego romansu i tragicznej śmierci. „Życie, bierz mnie" Jarka Szubrychta pokazuje artystę w długiej drodze do sławy, która przyniosła tak gorzki owoc.

eprasa.pl 780403eca0

Kilka miesięcy temu, w czasie jednej z sentymentalnych podróży w muzyczne lata 80., zacząłem się zastanawiać, dlaczego nikt nie wraca do Andrzeja Zauchy. Pomyślałem, że najwyraźniej w show-biznesie zmarli też potrzebują ambasadorów – albo skrupulatnych księgowych, którzy powiedzą, komu trzeba, ile da się jeszcze na ich cieniach zarobić. Urodzony pod koniec lat 70., wychowałem się na kilku stacjach Polskiego Radia, winylach rodziców i porzuconych pocztówkach dźwiękowych moich ciotek i wujków. Moje roczniki ominęło już właściwie wtajemniczenie w Radio Luksemburg. Gdy na polskich ulicach zaczęła się rewolucja magnetofonowych kaset, żywiłem ostentacyjną niechęć do popu, szukając mocniejszych brzmień. Stąd Zaucha na długo pozostał dla mnie kimś zamglonym, wspomnieniem z dzieciństwa i z wczesnej nastoletności. Wyraziste pozostało jedno wspomnienie: jego śmierć przyniosła dorosłym emocje, których wówczas jeszcze nie rozumiałem. Dopiero niecałe cztery lata później, gdy Kurt Cobain, smutny chłopak w kraciastej koszuli, strzelił sobie w głowę, zrozumiałem nieco lepiej, co znaczy stracić idola w tragicznych okolicznościach. Choć były to przecież różne w swoim tragizmie śmierci. I różni idole.

Opowieść arcykrakowska

Okazało się, że się pomyliłem. Krakowski artysta nie został zapomniany. Dowód trzymam przed sobą. To „Życie, bierz mnie. Biografia Andrzeja Zauchy" Jarka Szubrychta. Redaktor naczelny „GaMy" uświadomił mi przy okazji, że choć Zaucha nie jest dziś grany tak często jak paru piosenkarzy i piosenkarek z tamtych czasów, to przecież nie umarł cały: przypomniał go Kuba Badach kontrowersyjnym albumem „Tribute to Andrzej Zaucha", przypomniał go Sokół w nie mniej kontrowersyjnym utworze „Pomyłka" i PRO8L3M w kawałku „Backstage". Odnieść można wrażenie, że dwa ostatnie utwory to Zaucha interpretowany przez pryzmaty jego tragicznego w skutkach romansu z młodą aktorką Zuzanną Leśniak, żoną Yves'a Goulais. Na marginesie: książka Szubrychta o Zausze jest książką kompletną, panoramą całego życia artysty, nie koncentruje się na jego śmierci, mitach i plotkach, które ją obsiadły.

To od początku do końca opowieść arcykrakowska: historia nieprawdopodobnie utalentowanego muzycznie i po chłopsku wręcz pracowitego chłopaka z rozbitego domu, który właściwie całe życie szukał swoich dróg do wielkiego sukcesu. Głupio stracił życie, gdy prawdziwa kariera zdawała się na wyciągnięcie ręki. Ale ta opowieść ma też drugie dno, mniej lub bardziej wprost wskazane przez Szubrychta w kilku miejscach. Choć Zaucha zakorzenił się w małym podwawelskim światku, w „Krakówku", o którym jedni mówią z przekąsem lub drwiną, inni z zachwytem i dumą, to daleko mu było do tamtejszych artystów z solidnych mieszczańsko-inteligenckich domów, które od zawsze pomagały swoim dzieci i ułatwiały im wybór jasnych, prostszych życiowych ścieżek.

Nawet uskrzydleni przyjaciele muz z krakowskiego „Zwisu", czyli pijalni trunków „Vis-à-vis", miewali łatwiej, gdyż zakotwiczało ich w życiu solidne mieszczańskie pochodzenie. A Zaucha? Poplątane dzieciństwo i młodość właściwie bez rodziców. Wielki talent i zdolność do naprawdę ciężkiej pracy. Do tego galimatias mniej lub bardziej udanych artystycznych wyborów, żałosne ograniczenia i nieoczywiste możliwości czasów PRL, miłość do córki Agnieszki i zdecydowanie zbyt wcześnie tragicznie zmarłej na tętniaka mózgu żony Elżbiety. Stąd też w znacznej mierze jego muzyczna nieoczywistość, mgławicowość. Jazz, blues i rock obok niezobowiązująco uroczych piosenek z dobranocek i mocno nierównych PRL-owskich filmów, „Czarny Alibaba" obok „Tańcząc w powietrzu", „Baw się lalkami" obok „Georgia on My Mind"; popowa satyra na niedzielne ptaki w entourage'u późnego PRL, czyli „Leniwy diabeł" obok brawurowo, niemal gospelowo wykonanej pastorałki „Oj, maluśki, maluśki", którą znajdziemy na płycie „Kolędy w Teatrze Stu". Ale Zaucha nigdy nie był kiepski, nijaki, odtwórczy.

Zaucha, Legutko i trygonometria

Zbyt ogólnie? To powiedzmy, że najpierw był kajakarzem. Przygodę z kajakami sportowymi zaczął jeszcze jako uczeń Szkoły Podstawowej nr 62 w Pychowicach. Szubrycht pisze: „Po czterech latach intensywnych treningów nastoletni Zaucha stał się jednym z najlepszych kajakarzy nie tylko w Krakowie, ale i w całym kraju. [...] W 1964 roku indywidualnie został mistrzem juniorów na dystansie 300 metrów oraz mistrzem Polski juniorów w kajakarstwie górskim, w kombinacji zjazdowej na 1000 metrów". Gdyby wtedy wybrał inną drogę, zupełnie kto inny pisałby dziś o nim książki i artykuły, kto inny opiewałby jego karierę, nawiązywał do życiowych wzlotów i upadków. Ale w wieku szesnastu lat Zaucha wybrał muzykę. Miał ją we krwi po ojcu Romanie; odziedziczył ją po krewnych ze strony matki Matyldy, na czele z Eugeniuszem Brożkiem, który po wojnie grał i w kościele, i na zabawach tanecznych.

eprasa.pl 780403eca0

Pierwszym poważnym zespołem Zauchy były Dżamble. Ale jako muzyk sił próbował już wcześniej, w szkolnym zespole w VIII Liceum Ogólnokształcącym im. Stanisława Wyspiańskiego w Krakowie. Grupa nazywała się Beatmania, teksty piosenek, które pechowo nigdy nie stały się przebojami, pomagał pisać Ryszard Legutko, kolega Andrzeja ze szkolnej ławy. Dzisiejszy senator Prawa i Sprawiedliwości pomagał też Zausze w trygonometrii. Spoilerów nie będzie – po szczegóły odsyłam do książki Szubrychta. Zdradzę jedynie, że Beatmania miała w repertuarze mało wychowawczy „The House of The Rising Sun" The Animals: „ten ostatni utwór mogli wykonywać po angielsku, bo Legutko spisał im tekst ze słuchu".

Dżamble, Anawa i Turnau

A Dżamble? Do dziś słucha się ich z przyjemnością. Tym bardziej, że technologia niesamowicie skróciła dystans w popkulturze: niegdyś winyle, kasety magnetofonowe i płyty CD, a obecnie popularne serwisy streamingowe sprawiają, że muzyka popularna sprzed kilkudziesięciu lat nie ma kiedy się zestarzeć. Nawet jeśli czasem staroci szpetnie szkodzą reklama, marketing i kiepskie remiksy, to jest z czego czerpać i co odkrywać na nowo. Choć dżamblowe „Masz przewrócone w głowie" brzmi jak niejeden evergreen Skaldów – co z tego? Zaucha w dżamblowych „Nagiej rzece", „Wymyśliłem ciebie", „Wołaniu o słońce nad światem" zachwyca maestrią wykonania. Te utwory to intrygujące świadectwo, że polscy muzycy w tamtych czasach nie tylko tworzyli ambitną muzykę popularną, lecz także potrafili świetnie ją wykonywać – na znacznie gorszym sprzęcie niż ten, którym dysponowali ich koledzy z Zachodu, udręczeni gnijącym kapitalizmem.

Mówisz „Anawa", myślisz „Grechuta". Mniej znana historia słynnej krakowskiej grupy, założonej przez Jana Kantego Pawluśkiewicza i Tadeusza Kalinowskiego, to Andrzej Zaucha jako ich wokalista. Wszystko dlatego, że korowód nie posuwał się zgodnie. Marek Grechuta przyćmił wszystkich, na czele z Pawluśkiewiczem, któremu się to nie podobało. A że ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy, lider postawił wszystko na jedną kartę: podziękował charyzmatycznemu śpiewakowi i znalazł kogoś nowego. „Zaucha był dla Anawy nabytkiem idealnym. Wokalistą już doświadczonym, wszechstronnym, obdarzonym wyjątkowymi walorami głosowymi" – pisze Szubrycht.

Okazało się jednak, że Anawa minus Grechuta to recepta na odpływ publiczności. Album nagrany wspólnie z Zauchą, muzyczny projekt, który tekstami wspierali znakomici poeci Leszek Aleksander Moczulski i Ryszard Krynicki, okazał się nazbyt ambitny. Nie pomógł nawet mocny sygnał do odbiorców, by jeszcze dali zespołowi szansę: album nazywał się tak jak zespół. A PRL pod pewnymi względami wcale tak bardzo nie różnił się od naszych czasów. Z Anawy Zaucha nie mógł wyżyć. Gdyby chodziło tylko o niego: ale miał żonę, właśnie urodziła mu się córka. Rozgoryczony Jan Kanty Pawluśkiewicz wspomina: „Po kilku miesiącach współpracy [...] Andrzej przyszedł do mnie i powiedział: »rezygnuję ze śpiewania w zespole, bo muszę zarabiać pieniądze«. W kilka miesięcy po nagraniu płyty! Przed jakąkolwiek trasą promocyjną! Kolosalnie mnie to rozczarowało. Tak rozeszły się nasze drogi".

Co pozostało? W połowie lat 90. Grzegorz Turnau przypomniał jeden z utworów Anawy, nagranych z Zauchą. „Tańcząc w powietrzu" na płycie „To tu, to tam" zamienił się w lżejszy, mniej koturnowy hit „Jak linoskoczek". Ale to słowa Leszka Aleksandra Moczulskiego dają tej piosence uniwersalną głębię: „Nie widzisz ziemi pod stopami / W powietrzu lekko zawieszony / Skupiony nad swym każdym ruchem / W niepewny obraz zapatrzony / Ostrożnie idziesz w dal bez celu / Ostrożnie swym tanecznym krokiem".

Gastarbeiterzy z gitarami

Zostawmy poezję, ustępuje często dramatyzmem prozie życia. W latach 70. nasz bohater ruszył na Zachód, żeby zarobić porządne pieniądze. Ktokolwiek wyobraża sobie, że było to życie nieledwie w rytm „bananowego songu", ten mocno się rozczaruje. „Tanz- und Showkapelle" to jeden z rozdziałów w książce Szubrychta, który najczęściej przywołuje na twarze czytelnika i czytelniczki gorzki uśmiech. Pozwolę sobie na dłuższy cytat: Zaucha z kolegami z Mini Maxu pojechał do Austrii zafascynowany Zachodem: „Chcieli zarobić, to oczywiste, ale również coś udowodnić, zarówno sobie, jak i swoim gospodarzom. Okazało się jednak, że nikt nie widział w nich artystów, nie traktował ich poważnie. Byli gastarbeiterami z Dzikiego Wschodu, tyle tylko, że nie z miotłą czy wiertarką w spracowanej łapie, ale z gitarami. Może i gorzej, bo zawsze byli w centrum uwagi, musieli pięknie się prezentować i promiennie uśmiechać".

Czasem naprawdę nie było im do śmiechu: oszukiwano ich finansowo, czasem traktowano jak śmieci, nie mieli żadnych ubezpieczeń, a to gdzie, kiedy i za

eprasa.pl 780403eca0

ile zagrają, zależało od czyjegoś widzimisię. Do tego musieli jeszcze opłacać się PRL-owskiemu monopoliście, czyli Pagartowi. Kto jednak przetrwał taką szkołę życia, ten był gotowy na wszystko. I znał wszystko – niejeden polski muzyk „na saksach" niemało wydawał na niedostępny wówczas w kraju sprzęt muzyczny i na winyle, rzeczy starsze i nowości, co przydawało się również po powrocie do socjalistycznej rzeczywistości. Rzecz najważniejsza: finansowo to wszystko na ogół się muzykom bardzo opłacało. Nie bez perypetii Zauchowie przeprowadzili się w Krakowie pod lepszy adres, on mógł sobie pozwolić na używane zachodnie auta, jego żona i córka miały okazję raz po raz „odetchnąć wielkim światem".

Jeszcze jedno: to znów Zaucha w mocno nierównych okolicznościach muzycznych. Muzycy, którzy w dziwnych realiach Polski Ludowej mogli realizować niejeden ambitny projekt dla państwowych mediów, radia i telewizji, w krajach „drugiego obszaru płatniczego" zamieniali się w chałturników. Choć warto dodać dwie rzeczy. Po pierwsze, muzyka popularna tamtych czasów była ambitniejsza od swej współczesnej wersji. Po drugie, Zaucha miał szczęście grać choćby jazz na bębnach w Old Metropolitan Band. I to nie byle gdzie, bo w hanowerskim Jazz Club Hannover. Pozostała mu po tym w dorobku płyta nagrana dla słynnej wytwórni Deutsche Grammophon. Na marginesie: Bruce Liu, tegoroczny laureat Konkursu Chopinowskiego, zadebiutował w DG właśnie płytą z utworami Szopena.

▶ Czekanie na przebój

W końcu Zaucha powiedział „dość" życiu daleko w trasie, bez rodziny. Wedle zgodnych przekazów to żona Elżbieta pilnowała, żeby jej utalentowany mąż nie oglądał się na innych, lecz szukał dróg do indywidualnej kariery. Ryszard Kwaśniewski, saksofonista Dżambli, tak to wspomina: „W pewnym momencie [Zaucha – K.W.] nawet złapał chałturę w Warszawiance i był zachwycony, że może śpiewać na dancingach, bo zarabiał 70 tysięcy. Żona go jednak przywołała do porządku i przypomniała, że jest artystą i powinien pomyśleć o poważnym graniu, nie o śpiewaniu w knajpie. Dzięki temu zaczął robić prawdziwą karierę, działał w Warszawie".

Czasy i ustroje się zmieniają, a prawdziwą karierę robi się w Warszawie. Stołeczna kariera Zauchy to nie było jednak nic oczywistego. A drogi wiodły go tam przez Katowice, Zabrze i Opole. Dzięki opolskiemu festiwalowi trafił z piosenką „Wieczór nad rzeką zdarzeń" do szalenie popularnego „Studia Gama" w Telewizji Polskiej. Zabrze to śląski musical „Pozłacany warkocz", w którym Zaucha wystąpił obok Maryli Rodowicz, Stanisława Sojki i Ryśka Riedla (mieli rozmach...!). Katowice to z kolei tamtejszy oddział Polskiego Radia: na przełomie lat 70. i 80. XX wieku, dzięki znakomitej ekipie realizatorskiej, nagrywali tam Dżem i Kasa Chorych, Krzak i Laboratorium. A do tego Anna Jantar, Zbigniew Wodecki, Jarosław Śmietana, Krzysztof Krawczyk, Alicja Majewska, Ryszard Rynkowski, Urszula Sipińska – artyści, których i dziś nie trzeba „googlać", by wiedzieć, kto zacz. Zaucha bywał i tworzył, tworzył i bywał – ceniono go w środowisku muzycznym, chwalono za profesjonalizm i kunszt, doceniano, że radzi sobie z repertuarem mniej i bardziej ambitnym – ale prawdziwego przeboju wciąż nie miał.

Pierwsza solowa płyta Andrzeja Zauchy ukazała się w czasie, gdy polskie społeczeństwo miało mało powodów, by dobrze się bawić. Album „Wszystkie zwierzęta duże i małe" ukazał się w 1983 roku. Pozostał po nim choćby tytułowy utwór zaśpiewany przez artystę z Ewą Bem. Utwór śmiały jak na tamte czasy. Ona: „Nie bój się, dotknij, gdzie chcesz / Gryzę coraz lżej / Zrób, co chcesz, a potem weź / Dam oswoić się". On: „Gdy policzę do stu / Sama, sama nago tu stań / Niepotrzebny, niepotrzebny ci strój / W złotej klatce ze ścian". Czy cenzor był w nastroju frywolnie-lirycznym, czy na głowie miał niebezpieczny przekaz ekstremy z podziemnej Solidarności – trudno dociec. Najważniejszym cenzorem okazała się obojętność muzycznych redakcji. I najprawdopodobniej także to, że Zaucha nie umiał bić się o swoje, nie całował klamek, nie szukał okazji do brudzia, nie udawał, że czuje sympatię do ludzi, których nie lubił.

Jestem w stanie wyobrazić sobie, że niemała część czytelników i czytelniczek „Życie, bierz mnie" będzie nerwowo wertować kartki albo przeskakiwać kolejne rozdziały książki, byle tylko dotrzeć do tych zdań: „Kto słuchał Andrzeja Zauchy na przełomie lat 80. i 90.? Wszyscy. To nie przesada". Jakim sposobem wreszcie mu się udało wskoczyć na szczyt? I w tej sprawie Szubrycht nie żałuje szczegółów, nie szczędzi anegdot i nawiązań; chętnie poszerza perspektywy. Tak jest choćby w przypadku opowieści o przyjaźniach Zauchy ze Zbigniewem Wodeckim czy Andrzejem Sikorowskim. Tak jest w opowieści o „C'est la vie – Paryż z pocztówki". Tak jest do tragicznego końca.

Chciałem Państwu przypomnieć jeszcze kulisy śmierci Zauchy.

Nieprawda, nie chciałem. Posłuchajmy, jak śpiewa. Dajmy mu żyć. ■

eprasa.pl 780403eca0



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Mówią o nim „charoszyj dom”

Kilka lat temu o pewnym kazachskim chłopcu, który zbierał złom, aby uzbierać środki na przyjazd do Krakowa na Światowe Dni Młodzieży, pisała cała polska prasa. Dziś starszego o pięć lat Saszę jedziemy odwiedzić w jego rodzinnej Fiedorowce. Miejscu tak biednym, że trudno o nim nawet spokojnie pisać. Przewrotnie jednak miejscu, w którym powstała nadzieja. Nadzieja na nowy, lepszy dom.



Karagandyjska młodzież w trakcie odprawianej przez mariańskich misjonarzy Drogi Krzyżowej w okolicznych stepach

FOT. ARCHIWUM STOWARZYSZENIA POMOCNIKÓW MARIAŃSKICH

Błotnista breja w niczym nie przypomina w tej chwili drogi. Po obu stronach ciągnące się imitacje drewnianych płotów, zza których gdzieniegdzie słychać ujadanie psów. Na poboczu stojąca w gigantycznej kałuży stara rdzawoczerwona wołga. To GAZ-3102. W sowieckiej Rosji model auta uznawany za „dyrektorski". Marzenie wielu pokoleń. Dziś oczywiście nikt już tym nie jeździ. Mijane auto nie ma zresztą powietrza w oponach. W okolicznych oknach raz po raz dostrzec można jakieś ciekawskie oko. Ktoś właśnie zauważył intruzów przechadzających się po głównej ulicy dzielnicy. Zainteresował się. Przyjrzał się dokładnie, czy aby nie zatrzymują się w pobliżu, czy pójdą dalej. Poszli? Tak, poszli. Można odejść od okna.

– To fakt. Nie jest to najbardziej wystawna dzielnica miasta – uśmiecha się, mrużąc oczy ks. Zbigniew Grygorcewicz MIC. – Tak naprawdę to niewielu przyjezdnym miejsce to w ogóle przypomina miasto. Raczej głęboką wioskę. A przecież znajdujemy się zaledwie kilka kilometrów od centrum półmilionowego miasta.

Duchowny ma rację. Dokładnie 3 kilometry na północ stąd wznoszą się w górę mieniące się neonami budynki domów handlowych, biurowców i wieżowców mieszkalnych. Ta mała odległość jest dla wielu mieszkańców biednej dzielnicy niczym wyprawa na Księżyc. Dwa życia. Dwa wymiary. Dwa światy. Nie widzące się nawzajem. O znajdującej się dwie i pół godziny jazdy samochodem na północ, zbudowanej w iście europejskim stylu i przepychu, Astanie nawet nie wspomniawszy.

Gdy któregoś dnia ksiądz Tomasz zabrał tu na wycieczkę jednego ze swych podopiecznych, dziewięcioletniego Sierieja, ten wręcz oniemiał z zachwytu. Pierwszy raz był tak daleko od domu. – Ojcze! – powiedział do marianina wreszcie. – Ja to będę lubił podróżować! Zostanę podróżnikiem!

Podobnych dzieci, jak dziewięcioletni Sieriej, mają tu księża marianie jeszcze około trzydzieściorga. Przynajmniej tyle z nich przychodzi regularnie do prowadzanego przez ojców Oratorium. Oratorium Dobrego Pasterza we Fiedorowce. Dla wielu podopiecznych nowego domu. Lepszego domu.

Kopalnia, której nie ma

Wicher owiewający półpustynny step przewala kolejne kępki krzaków. Wkoło jak okiem sięgnąć równina. Dość przygnębiający pejzaż. Sinopomarańczowa nicość. Żadnych wypukłości, wklęśnięć. Trawa i piach. I wiatr. Dopiero kilkaset kilometrów na północ zaczną się jakiekolwiek zielone połacie. To nieśmiały początek tajgi, która nieco dalej, mocno już rozwinięta, zde-

0403eca0



Pomimo panującej pandemii i zagrożenia epidemiologicznego dzieci nadal chcą tu przychodzić. Dla wielu z nich to drugi dom

cydowanie wkroczy na teren środkowej Rosji. Tam zaczną się jeziora. Tam zaczną się trawiaste łąki i stepy. Tutaj jednak póki co widać jedynie te drugie. I to w dodatku w posępnej odmianie piaskowego pyłu i kamienia. To środkowy Kazachstan. I położone na jego pustynnym, pustym placu miasto. Karaganda. 497 tysięcy ludzi żyjących na środku stepu. Radzących sobie z okolicznym żywiołem pustki tak jak potrafią.

Kiedyś z tym radzeniem sobie było zdecydowanie łatwiej. Południowa część miasta stanowiła bezpośrednie zaplecze jednej z kilku w mieście kopalni węgla kamiennego. Górnicze zagłębie Kazachstanu dawało zatrudnienie wieluset robotnikom. Ich rodziny nie cierpiały głodu, każdą z nich było stać na prosty samochód. Na ubrania dla dzieci. Niestety dla mieszkańców południowej części miasta władze zdecydowały pewnego dnia o zamknięciu kopalni i zalaniu jej wodą. Tak powstał seledynowy zbiornik znajdujący się w tym miejscu do dziś. To Fiedorow Bogeni. Nazwa wzięła się od górniczej dzielnicy, której mieszkańcy zostali pozostawieni samym sobie. Bez wsparcia, bez pracy, bez dochodu. Dziś to najuboższa część Karagandy. To Fiedorowka.

▶ Co dać, gdy nic się nie ma

– Gdy przyjechałem tu po raz pierwszy, zastałem zrujnowaną dzielnicę. Bez kościoła, bez niczego – wspomina dziś ks. Zbigniew, mariański misjonarz, budowniczy kościoła na Fiedorowce. – Biskup dał nam do opieki karagańską parafię. Fenomen był taki, że to była największa parafia na wschód od Uralu. Trzy i pół tysiąca wiernych.

Duchowny bardzo szybko zorientował się, że wśród jego parafian są jednak także ludzie, którzy, by zdążyć na niedzielną mszę świętą, jeżdżą aż z drugiego końca miasta ponad dwie godziny miejscowymi autobusami. To mieszkańcy zapomnianej przez świat Fiedorowki. To był czas, gdy duchowny po raz pierwszy pojawił się w tej dzielnicy. Nie miał jeszcze świadomości, na jak długo zapamięta tę wizytę. Opuszczeni ludzie, bieda, prostytucja wśród nastolatków, alkoholizm, nałogi. Widział, że ci ludzie już nic nie mają. Chciał więc im coś dać. A że nie miał wiele, dał to, co miał. Siebie.

– By tu posługiwać, musieliśmy wybudować kościół. Po ludzku była to wówczas decyzja niemożliwa do zrealizowania. Absolutnie niewykonalna – wspomina ksiądz Zbigniew.

Za środki mariańskiej wspólnoty zakonnej wykupił stary, rozpadający się dom od pewnej niemieckiej rodziny. Właściciele wybierali się do swojej ojczyzny i akurat szukali kupca. Misjonarze wyburzyli ścianę i urządzili w chacie kaplicę. Bez podłogi, bez gładzi na ścianach, bez niczego.

– Wszystko było w błocie. Wystarczyło na moment wyjść na zewnątrz, by po chwili w domu było błoto –

eprasa.pl 780403eca0

ksiądz Zbigniew dokładnie pamięta tamten czas. – Kilka lat spałem na ziemi. Kąpiele mieliśmy w takim maleńkim wiaderku. Ale jedno było najważniejsze. Wreszcie byliśmy z tymi ludźmi. Tutaj, na miejscu.

Gdy zapytać duchownego, czy od początku miał w głowie myśl o budowie kościoła, od razu odpowiada, że nie. Nie miał wtedy jeszcze żadnych wielkich planów. Chodziło mu jedynie o obecność. By być dla tych ludzi. Z czasem jednak zaczęła tlić się w głowie myśl o budowie kościoła. Właśnie dla mieszkańców Fiedorowki. Materiały budowlane duchowny samodzielnie przywoził z Polski. – To było fatalne rozwiązanie, ale innego nie było – wspomina. – Jestem księdzem, nie budowniczym. Wcale nie uśmiechało mi się projektowanie, wożenie, organizowanie. Chciałem przecież być tutaj dla tych właśnie ludzi. Z drugiej strony, jeśli chcieliśmy przynieść im Jezusa, musieliśmy wybudować tu kościół.

Chłopiec, który zbierał złom

Sasza urodził się w 1999 roku. Od początku miał w życiu ciężko. Rodzinę utrzymywała matka. Ojciec był chory na schizofrenię. Całymi latami nie wychodził na dwór. Z ich domu na Fiedorowce regularnie dało się zaś słyszeć krzyki i głuche trzaski. A to mężczyzna rozbił talerz, na jakim podano mu zupę, a to dochodziło do głośnej awantury z powodu jego kolejnych ataków. Tę atmosferę, w jakiej wychował się maleńki chłopiec, Sasza najchętniej chciałby już zapomnieć. Wtedy nie miał jednak wyboru. Musiał pomóc matce utrzymać dom. Zbierał więc złom. Każdego dnia skrzętnie przeczesywał okoliczne pola i stepy w poszukiwaniu kawałków metali czy miedzi. Gdy miał lat 17, umarła mu mama. Sam musiał utrzymać dom. Miał jedynie rentę inwalidzką. I marzenie. Aby odwiedzić Kraków podczas organizowanych tam Światowych Dni Młodzieży. Cierpliwie odkładał pieniądze. Zbierał już nie tylko złom, lecz także nakrętki czy butelki. W zorganizowaniu przyjazdu bardzo pomógł mu jego duszpasterz, ksiądz Tomasz Sadłowski MIC. Przez dzieci Fiedorowki nazywany po prostu „ojcem". To właśnie on jako prowadzący mariańskie Oratorium na Fiedorowce wyciągnął do Saszy pomocną dłoń.

Sasza do Polski przyjechał. A historia jego gorliwości i cierpliwości, aby spełnić marzenie przyjazdu na ŚDM, zrobiła na Polakach wielkie wrażenie. Stał się bohaterem prasy i mediów. Podczas każdego wywiadu wskazywał jednak, że bez ojca nigdy nie udałoby mu się tego dokonać. Ksiądz Tomek tylko pokornie się wówczas uśmiechał. Ten sam uśmiech widzą zresztą dziś wszyscy ci, którzy wkraczają do głównego pomieszczenia mariańskiego Oratorium w Fiedorowce. Zdjęcie posługującego tu pięć lat księdza wisi do dziś na tablicy korkowej oratorium. Wszyscy o nim pamiętają.

Zjeść na zapas

– Widziałem tutejsze dzieci z rozbitych rodzin. Obserwowałem ich bezradność i pogubienie. Ich rodzice wchodzili niejednokrotnie w tzw. ciąg alkoholowy, trwający nawet dziesięć dni. Wtedy powiedziałem koledze księdzu, że to nie może tak dalej wyglądać. Że musimy coś z tym zrobić. Nie wiedziałem tylko jeszcze, co dokładnie... – zawiesza głos ksiądz Zbigniew. – Wpierw miała być kuchnia dla biednych. Znając jednak złe doświadczenia ojców franciszkanów z Ałmaty, gdzie to karmiąc alkoholików, narazili się na wiele agresji, stwierdziłem, że to nie jest ten kierunek. Zacząłem radzić się innych księży i dostałem znak. Mamy zająć się dziećmi.

Tak powstało Oratorium Dobrego Pasterza przy mariańskiej placówce w Karagandzie. Miejsce, które przez odwiedzające je dzieci coraz częściej jest nazwane „domem". Miejsce, którego nie było im do tej pory dane doświadczyć. – Oratorium jest otwarte we wtorki, w piątki i w niedziele. Od ósmej do siedemnastej – wyjaśnia ksiądz Grzegorz Burdyński MIC, przełożony mariańskiej placówki misyjnej w Karagandzie. Nazywany przez kilkuletniego Mateuszka, podopiecznego Oratorium, „Ojcem-Zaproszenie". Wszystko przez niezwykłą gościnność duchownego. Znaną już w całej Fiedorowce. – To darmowa placówka. Jedynym warunkiem, jaki jest konieczny, abyśmy mogli przyjąć pod opiekę dziecko, jest zgoda rodziców. To wszystko.

W Kazachstanie dzieci uczęszczają do szkoły zwyczajowo na dwie zmiany. Pierwsza: od rana do godziny trzynastej. I druga: od trzynastej do siedemnastej. Stąd w Oratorium zwykle pojawiają się dwie grupy dzieci. Poranna i popołudniowa. Dla każdej z nich ojcowie mają specjalnie przygotowane atrakcje. Jest, rzecz jasna, msza święta. Są katechezy. Ale jest także czas na wspólne zabawy, dyskusje. I co niezwykle ważne: na posiłek. – Od tego właściwie zaczęliśmy. Większość z tych dzieci po prostu chodziła głodna – wyjaśnia ksiądz Tomasz. – A ten głód najlepiej było widać po tempie, w jakim spożywały posiłki.

– Dzieci bały się, że ktoś zabierze im to jedzenie, więc z początku jadły jakby na zapas. Na trzy dni – tłumaczy Mieczysław Wolff, mariański wolontariusz, który wraz z żoną przez całe lata gotowali podopiecznym Oratorium. – Pamiętam też, że dzieci trzeba było uczyć najprostszych rzeczy. Przychodzi na przykład takie zagubione dzieciątko i nie wie, jak umyć ręce przed posiłkiem. Dla nas to było poruszające.

FOT. ARCHIWUM STOWARZYSZENIA POMOCNIKÓW MARIAŃSKICH

eprasa.pl 780403eca0

Planszówki i stół

– W Kazachstanie nie wolno nam ewangelizować. Takie jest prawo – mówiąc te słowa, ksiądz Przemysław Męch MIC, obecny duszpasterz Oratorium, mruży oczy do światła. – Nie wolno nam więc mówić o Chrystusie na ulicy, na targu. Jedynie w obrębie świątyni.

Do Oratorium może przyjść każdy. Katolik, muzułmanin, prawosławny... Większość dzieci pochodzi z rodzin niepraktykujących. Dopiero tutaj dowiadują się o wierze, o Kościele. O Bogu. Także o Bogu-Ojcu. To tym bardziej trudne, gdy ma się do czynienia z dziećmi z tak poranioną historią. Gdzie na słowo „ojciec" w oczach dziecka pojawiają się bardzo często łzy lęku i strachu.

– Pierwszy kontakt dziecka z dorosłym był zazwyczaj dla dzieci bardzo trudny. To wynikało z ich rodzinnego doświadczenia. Bardzo trudnego doświadczenia – wyjaśnia ksiądz Tomasz. – I właśnie wtedy odkryliśmy fenomen gier planszowych. Prostych gier, które pozwalały usiąść razem przy stole. W domu, gdzie jest przemoc, nie ma zjawiska wspólnego stołu. A tu nagle dzieci siadają razem z dorosłymi do stołu. Dla nich to było coś zupełnie nowego.

Właśnie to przepełnione troską i rodzinną odpowiedzialnością podejście ojców marianów sprawiło, że o Oratorium Dobrego Pasterza zaczęło być na Fiedorowce coraz głośniej. Trudno było spodziewać się, aby trafiło tu jakieś dziecko, które o funkcjonowaniu placówki usłyszałoby z kościelnej ambony – wszak do tej pory dzieci nie przekraczały progu świątyni. Dobrą renomę zaczął jednak robić tzw. marketing szeptany. Coraz więcej dzieci dowiadywało się o Oratorium i tym, co się tam dzieje, od swoich rówieśników. – Dziś mamy tu kilkudziesięcioro dzieci. Od szóstego do trzynastego roku życia – opowiada ze spokojem ksiądz Grzegorz. – Co ważne, nasi wychowankowie wracają do nas potem jako wolontariusze. Przychodzą po swoich zajęciach, po pracy, aby spędzić czas z tymi dzieciakami.

Jak w rodzinie

– Ojcze... – Sasza z charakterystycznym dla siebie tikiem nerwowym i spuszczoną w dół głową podchodzi do księdza Grzegorza.

– Słucham cię... – marianin doskonale rozpoznaje po mimice swego podopiecznego, że szykuje się jakaś poważna rozmowa.

– Czym właściwie jest miłość?

Duchowny potrzebuje chwili, aby dobrać w głowie odpowiednie słowa. Zdaje sobie sprawę, z kim rozmawia i jakie doświadczenie miłości wyniósł z domu ten nastolatek. Wreszcie po kilku chwilach ciszy odpowiada:

– Doskonała Miłość to Bóg. Ale wiesz, Sasza... Ludzka miłość to bardzo często także trud. To poświęcenie. Bywa także, że ta nasza ludzka miłość zwyczajnie nas zawodzi, rozczarowuje.

– Ja tam w miłość nie wierzę, proszę ojca. Dla mnie to za trudne – odpowiada Sasza i odchodzi, ucinając rozmowę.

Także takich dyskusji jest w Oratorium wiele. Marianie wiedzą, jak wielka praca przed nimi. Chcąc pomóc tym dzieciom wyjść na prostą, usamodzielnić się, uwierzyć w siebie, potrzebują czasu. I cierpliwości. Tak jednych, jak i drugich.

– Ile razy ja już dzwoniłem do przełożonego, żeby mnie stąd zabrał! – śmieje się ksiądz Grzegorz. – W takich momentach kryzysu prowincjał prędko mnie prostował. Mówiąc, że to nie jest żadna turystyka chrześcijańsko-misyjna. Takie postawienie sprawy bardzo mi wtedy pomagało. Uważałem to za bardzo ojcowskie podejście. Ojcowskie wsparcie. I oczywiście zostawałem.

– Mnie też nie było z początku najłatwiej – uśmiecha się ksiądz Przemysław. – Przyjechałem do Kazachstanu, nie znając języka. W nauce i tłumaczeniu pomagała mi tutejsza siostra zakonna. Nieznajomość języka nie była jednak barierą nie do przeskoczenia. Braki starałem się nadrabiać dyspozycyjnością. Nie rozumiałem tych dzieci, ale chciałem dla nich być. Więc byłem. I to wystarczało.

Podobnie wystarczy kilka godzin spędzonych w gronie tych zakonników, aby rozpoznać, jak mocny jest charyzmat ich powołania. Jak dobrą i piękną rodzinę stanowią. Gdy zostaję sam na sam z dowodzącym misją księdzem Grzegorzem, zaczyna mi zachwalać księdza Przemka. – To niezwykle dobry zakonnik. Posłuszny, wierny modlitwie. Zakochany w Biblii. Potrafi do trzeciej w nocy tłumaczyć Biblię z greki – opowiada o swoim przyjacielu przełożony kazachskiej misji.

Tej prostoty i posłuszeństwa nie da się w dłuższej perspektywie ukryć. Zwłaszcza przed dziećmi. Młodzi podopieczni Oratorium widzą ten przykład. I chcą iść za tym pomysłem na życie.

Z ciemności do światła

Szer Machmudow był jednym z pierwszych podopiecznych mariańskiej placówki. Gdy przychodził, miał dziewięć lat. Wspomina, że bardzo bał się reakcji swojej rodziny, zwłaszcza ojca. Wszyscy byli przecież muzułmanami. Widząc jednak owoce i zmianę zachowania chłopca, przystali na dalsze jego uczęszczanie do Oratorium. Chłopiec, który siał postrach w ca-

eprasa.pl 780403eca0



Ksiądz Przemysław na początku nie znał języka rosyjskiego. Nie przeszkadzało mu to jednak w oddawaniu całego siebie tutejszym dzieciom. To wystarczyło

łej Fiedorowce, zaczął się zmieniać. Dziś jako dwudziestokilkulatek studiuje i pracuje zawodowo. Oświadczył się ukochanej. A co najważniejsze: przyjął chrzest. – Dzięki Oratorium zmieniłem w sobie wszystko. Poza imieniem – po chwili zastanowienia dodaje ze śmiechem. – Chociaż to też zmieniłem. Na chrzcie otrzymałem przecież imię Jan.

Podobnych historii dzieje się w Fiedorowce więcej. Choćby historia nastoletniej Elizawiety, która otwarcie mówi dziś, że gdyby nie jej obecność w Oratorium, na pewno wpadłaby w nałogi i z pewnością nie byłaby już dziewicą. Dziś śpiewa i gra na gitarze w parafialnej scholi.

Ojciec Czekoladka

Na niewielkim placu zabaw pod murowanym budynkiem stoi w kółku kilkanaście osób. Słońce zgrabnie oświetla ich uśmiechnięte i rozbawione twarze. Trzymają się za ręce. By po chwili na jedną komendę zacząć kręcić się w prawo. W pewnym momencie brodaty mężczyzna klaszcze w dłonie. To znak zmiany kierunku. Teraz spleciony rękami ludzki krąg będzie się kręcił w lewo. Największą radość z zabawy ze starszymi mają ci najmłodsi. Szczególnie na oko sześcioletni chłopczyk. W przypływie entuzjazmu zadziera głowę i przymyka oczy. Moment dziecięcej beztroski, której *de facto* nigdy wcześniej nie zaznał. To Mateusz.

– Każdy z tu obecnych ojców ma u mnie jakąś swoją ksywkę – uśmiecha się, gdy jest już po zabawie i może nieco pobujać się na pobliskiej huśtawce. – Ojca Tomasza [po dziesięciu latach pracy w Kazachstanie wrócił obecnie do polskiej prowincji Księży Marianów i posługuje na warszawskich Stegnach – przyp. aut.] już zawsze będę pamiętać jako „Ojca z Oratorium". Z kolei ojca Zbigniewa nazywałem „Ojcem Czekoladką". Zawsze miał dla nas jakieś słodycze.

– Najwyższym uznaniem dla naszej pracy jest jednak to, gdy dzieci nazywają to miejsce „domem". Wtedy naraz wszystko w człowieku pęka – mówi wyraźnie poruszony ksiądz Zbigniew. – One aż proszą się o przytulenie.

Szasza, wspomniany wcześniej kazachski bohater ŚDM w Krakowie, do dziś twierdzi, że gdyby nie ksiądz Tomasz, pewnie niczego w życiu nie umiałby dzisiaj robić. Od najprostszych czynności począwszy. – To on mnie tego nauczył – opowiada z charakterystycznym zaśpiewem w głosie. – Wcześniej czułem się jak szmata.

Film o Dobrym Domu

– Zanim tutaj przyjechałem, myślałem, że widziałem już w Polsce biedę – opowiada ksiądz Łukasz Wiśniewski MIC, dyrektor Centrum Pomocników Mariańskich, stowarzyszenia odpowiedzialnego za pro-

FOT. ARCHIWUM STOWARZYSZENIA POMOCNIKÓW MARIAŃSKICH

eprasa.pl 780403eca0



Poza księżmi marianami w Kazachstanie posługują także inni ludzie polskiego Kościoła. Choćby siostra Beata. W wiosce Głębokie na północy kraju prowadzi ośrodek dla uzależnionych

mocję i szukanie środków na wsparcie mariańskich placówek misyjnych. – Gdy pojechałem w tym roku do chłopaków do Karagandy, a ci zaprowadzili mnie na Fiedorowkę, zrozumiałem, w jak wielkim błędzie byłem. Nigdzie wcześniej nie widziałem tak porażającej biedy jak tam.

Ksiądz Łukasz nie pojechał jednak do Kazachstanu zupełnie sam. Zabrał ze sobą ekipę operatorów. Mieli nakręcić film o pracy misjonarzy na Fiedorowce. W tym miesiącu ma on premierę na YouTube'owym kanale Pomocników Mariańskich. W zręcznych kadrach widać m.in. dwójkę dzieci bawiących się na pobliskim wysypisku śmieci. Są przedstawione historie wspomnianych wyżej bohaterów. Wreszcie są świadectwa posługujących na misji: zarówno samych ojców, jak i świeckich wolontariuszy. – Chcemy pokazać tym filmem fenomen dobra – wyjaśnia ksiądz Łukasz. – To, jak niewiele potrzeba, by pomóc.

Film będzie w kilku częściach. Pierwsze są już dostępne do obejrzenia w internecie. Poniżej podajemy link do pierwszej części: https://youtu.be/v9cRikd_5AE

Pożegnanie

– Kiedyś przyszła do mnie pewna nauczycielka. Grzecznie się przedstawiła i powiedziała, że musiała tu przyjść, bo nie dowierzała, że dwójka jej najgorszych uczniów przychodzi do jakiegoś oratorium i nie rozrabia – śmieje się ksiądz Tomasz. – Mało tego. Przychodzi tu bez przymusu i mówi o tym miejscu z takim zapałem. To pokazuje, jak ważne miejsce na smutnej mapie Fiedorowki udało nam się stworzyć.

Gdy przyszła decyzja o przeniesieniu księdza Tomasza, wiele dzieci nie potrafiło jej zrozumieć. Było smutnych. Prosiły więc o rozmowę. Także o to samo poprosiła któregoś dnia Liza. Duchowny za długo pracował już z młodzieżą, aby nie wyczuć, że to dla dziewczyny bardzo ważne. Że jest trochę zdenerwowana. Gdy odeszli na bok, Liza wreszcie podniosła oczy i spojrzała marianinowi prosto w oczy.

– Chcę podziękować za księdza posługę w tym miejscu... – wyszeptała. – To dzięki księdzu zrozumiałam, że tata to ktoś, z kim można mieć więź. Z kim można się zaprzyjaźnić. Mieć relację. Że tata to ktoś, kogo można się nie bać.

– Liza... – ksiądz Tomasz zdjął okulary, aby przetrzeć spływającą po poliku łzę wzruszenia. – Wyjaśnij mi, jak ty to wszystko powiedziałaś i się nie popłakałaś?

– Proszę księdza, od tygodni ćwiczę te słowa przed lustrem. Inaczej bym tu nie potrafiła stanąć i tego powiedzieć. Dziękuję... ■

FOT. ARCHIWUM STOWARZYSZENIA POMOCNIKÓW MARIAŃSKICH

eprasa.pl 780403eca0

Hanna Shen



Chińska machina wpływów w zachodnim świecie nauki

W Pradze dość głośna była ostatnio afera z pracownikiem Czeskiej Akademii Nauk, który współpracował z chińskim think tankiem prowadzącym działalność propagandową na rzecz KPCh i zbierającym informacje dla wywiadu ChRL. Skandal pokazuje, jak działa, wykorzystując świat nauki na Zachodzie, chińska machina propagandy i wpływów.



FOT. ADOBE STOCK

Na początku listopada kierownictwo Instytutu Filozofii Czeskiej Akademii Nauk, w skład którego wchodzi Centrum Studiów Globalnych, odwołało Marka Hrubeca ze stanowiska dyrektora Centrum. Hrubec stracił także pozycję koordynatora programu badawczego Strategia AV21[1]. W ten sposób Akademia Nauk zareagowała na ustalenia dziennika „Aktualne" o współpracy naukowca z chińskim think tankiem Instytutem China-CEE w Budapeszcie, który, jak to określił Filip Jirous, analityk czeskiego think tanku Sinopsis, nie jest niezależną instytucją badawczą, lecz organizacją służącą realizacji politycznych celów Chin. „Obecny dyrektor think tanku Feng Zhongping jest byłym wiceprezesem Chińskiego Instytutu Współczesnych Stosunków Międzynarodowych, Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego, organizacji prowadzącej działalność wywiadowczą w środowisku akademickim i think tankach" – twierdzi Jirous. Według Jirousa, informacje uzyskane przez chiński think tank we współpracy z europejskimi partnerami akademickimi są najprawdopodobniej wykorzystywane przez chiński wywiad w planowaniu operacji wymierzonych m.in. przeciwko krajom Unii Europejskiej.

Think tank na usługach Pekinu

Założony w kwietniu 2017 roku w Budapeszcie przez Chińską Akademię Nauk Społecznych, podlegającą bezpośrednio Radzie Państwowej ChRL, Instytut China-CEE jest pierwszą w Europie instytucją badawczą finansowaną przez Pekin, a zajmującą się polityką. Jej misją jest wspieranie Inicjatywy „16+1"[2] poprzez tworzenie powiązań ze środowiskiem akademickim i think tankami na Węgrzech oraz w pozostałej części Europy Środkowo-Wschodniej. W ceremonii inauguracji think tanku wzięli udział m.in.: Wang Weiguang, prezes Chińskiej Akademii Nauk Społecznych (ASSC), i Huang Ping, pierwszy szef nowego think tanku, a także dyrektor Instytutu Studiów Europejskich w ASSC. Jak zauważono w raporcie francuskiego think tanku, Instytutu Badań Strategicznych Szkoły Wojskowej (IRSEM) pt. „Chińskie operacje wpływu – moment Machiavellego"[3]: „Jeśli (Instytyt) dziś dumnie prezentuje swoją niezależność od jakiejkolwiek struktury europejskiej, to status ten wynika z odmowy ze strony Instytutu Gospodarki Światowej Węgierskiej Akademii Nauk na bycie łączonym z nim z powodu niejasności jego celów i mechanizmów zarządzania".

Główne oficjalne działania Instytutu China-CEE to organizacja konferencji i sympozjów z udziałem chińskich naukowców przyjeżdżających do Europy oraz publikacja artykułów, raportów i książek. W 2019 roku think tank zorganizował cztery międzynarodowe szczyty, trzy warsztaty i siedem konferencji, a opublikował 10 badań, 8 książek i ponad 800 artykułów dotyczących krajów Europy Środkowo-Wschodniej.

Instytut przedstawia relacje między Chinami i Europą Środkowo-Wschodnią jako pozytywne i wzajemnie korzystne, a jednym ze szczególnie śledzonych przez niego tematów jest wizerunek Chin w Europie Środkowo-Wschodniej. Jak podaje raport IRSEM, „od 2017 roku na ten temat ukazało się wiele badań i książek: niektóre dotyczą całego regionu, inne konkretnego kraju, niektóre dotyczą ogólnego wizerunku Chin, a inne analizują postrzeganie konkretnego tematu. Nic dziwnego, że think tank odegrał ważną rolę podczas kryzysu COVID-19, przekazując wersję partii komunistycznej i oceniając stopień poparcia (dla działań Chin) europejskiej opinii publicznej".

Ale celem Instytutu jest nie tylko rozpowszechnianie narracji KPCh. Jest on także ważnym narzędziem wpływu. „Gromadząc wokół siebie i w swoich projektach coraz większą liczbę naukowców z regionu pracujących z bliska lub z daleka nad Chinami, nawiązując kontakty z władzami tych krajów w celu pozycjonowania się w samym sercu systemów badawczych, utrudnia on pojawienie się lub przetrwanie niezależnych badań nad Chinami" – czytamy we francuskim raporcie.

Naukowiec narzędziem propagandy KPCh

Poza współpracą z chińskim think tankiem, którego zadaniem jest realizowanie celów politycznych KPCh w naszym regionie, pracownik Czeskiej Akademii Nauk Marek Hrubec kolaborował także z chińskim aparatem propagandy. Jego teksty publikowane były w angielskiej wersji gazety „China Daily", wydawanej przez wydział propagandy KPCh. Dziennik „Aktualne" jako przykład podał artykuł Hrubeca z października bieżącego roku pt. „Zjednoczeni, stoimy razem", w którym autor wychwala „chiński model modernizacji" i stwierdza, że „ma [on]

[1] Strategia AV21 to inicjatywa Czeskiej Akademii Nauk mająca na celu wspieranie nowatorskich badań nad problemami i wyzwaniami stojącymi przed współczesnym społeczeństwem.

[2] Format „16+1" to chińska inicjatywa współpracy Pekinu z państwami Europy Środkowo-Wschodniej i Grecją. Do maja br. nosiła nazwę formatu „17+1", ale Litwa zrezygnowała z uczestnictwa w nim, twierdząc, że bardziej dzieli on, niż łączy europejskie państwa.

[3] Opublikowany we wrześniu br. francuski raport określany jest jako jedna z najbardziej obszernych analiz chińskich machin propagandy i wpływów.

eprasa.pl 780403eca0

wkład w globalny rozwój i system zarządzania w różnych organizacjach międzynarodowych". Hrubec w publikacji zupełnie przemilcza, że to właśnie ów rzekomo wspaniały chiński model polega m.in. na zastraszaniu na arenie międzynarodowej każdego, kto w jakikolwiek sposób chciałby współpracować z Tajwanem. Taki los spotkał na przykład dwóch szefów czeskiego Senatu, którzy zapowiedzieli swoje wizyty na Tajwanie. Dla jednego z nich skończyło się to tragicznie.

Jaroslav Kubera jako przewodniczący Senatu Republiki Czeskiej miał odwiedzić Tajwan w lutym 2020 roku, a zmarł nagle 20 stycznia.

Od momentu, gdy strona chińska wiedziała, że Kubera zamierza udać się na wyspę, naciskała na Biuro Prezydenta Zemana, by to wymogło na czeskim senatorze odwołanie wizyty, bo inaczej miałyby na tym ucierpieć dwustronne inwestycje. Kubera mimo presji nie odwołał wizyty, ale 17 stycznia wraz z żoną przyjął zaproszenie do Ambasady ChRL na kolację. Na miejscu ambasador i jeszcze jedna osoba poprosili Kuberę do innego pokoju. Rozmawiali przez około dwie i pół minuty. Po wyjściu Kubera powiedział żonie, by nie jadła ani nie piła niczego dostarczonego przez ambasadę.

Jaroslav Kubera miał powiedzieć żonie, że w czasie rozmowy ambasador Chin, Zhang Jianmin, próbował zmusić czeskiego polityka, by nie jechał na Tajwan. Jeśli pojedzie to on, ambasador, zostanie odesłany do Pekinu.

Kilka dni po wizycie w ambasadzie Kubera zmarł na zawał serca. Wdowa po czeskim polityku oskarżyła Ambasadę Chin w Czechach i Biuro Prezydenta Czech o zastraszanie jej męża. „Po śmierci męża zacząłem porządkować jego rzeczy [...] W rezultacie w jego teczce znalazłem dwa nowo otwarte oficjalne listy, które nie zostały wpisane w bazie danych biura. Jeden z nich pochodzi z chińskiej ambasady, a drugi został wysłany z biura pałacu prezydenckiego. Treści obu listów były przerażające. Nie wiedziałyśmy, co zrobić z tymi dwoma listami z pogróżkami" – mówiła żona Kubery.

Następny szef czeskiego Senatu Milos Vystrcil kontynuował zadanie swojego poprzednika i w lipcu bieżącego roku odwiedził Tajwan, co znów spotkało się z groźbami ze strony Pekinu.

Ale o tych ważnych dla Czech ze względu na bezpieczeństwo działaniach Chin Marek Hrubec nie pisał. Nie wspominał też o tym, jak w międzynarodowej instytucji, jaką jest Światowa Organizacja Zdrowia (WHO), na początku rozwoju koronawirusa Pekin zagłuszał wszelkie informacje o tym, że wirus w Wuhan przenosi się z człowieka na człowieka. Gdyby w początkach stycznia 2020 roku WHO nie uległo presji KPCh i podało tę informację, to prawdopodobnie udałoby się uniknąć pandemii. W publikacji byłego już członka Czeskiej Akademii Nauk na temat wkładu Chin w system zarządzania w różnych organizacjach międzynarodowych nie było więc faktów, ale czysta propaganda KPCh.

Pod tekstami Hrubeca opublikowanymi w „China Daily" dodawano, że autor jest szefem Centrum Studiów Globalnych i naukowcem europejskiej Akademii Nauk. Wszystkie te publikacje były mocno promowane na zachodnich portalach społecznościowych, na przykład na Twitterze. O tym, jak ważnym w chińskich operacjach wpływu jest sianie dezinformacji na zachodnich portalach społecznościowych (Facebook, Twitter, YouTube), z wykorzystaniem trolli, fałszywych kont i botów, ale i, jak pokazuje przypadek Hrubeca, z udziałem zachodnich naukowców, pisze wspomniany wcześniej raport IRSEM. A amerykański think tank Freedom House alarmuje, że chińskie operacje informacyjne to przede wszystkim prowadzenie „kampanii dezinformacyjnych w stylu rosyjskim w mediach społecznościowych".

Legendowanie ekstremy, by siać niezgodę

Poza opisaniem udziału czeskiego naukowca w chińskich działaniach dezinformacyjnych dziennik „Aktualne" zwrócił uwagę na współpracownika Hrubeca, Ladislava Zemanka, który miał koordynować jeden z programów badawczych, przygotowywać analizy i organizować konferencje dotyczące Chin i Rosji w kierowanym przez Hrubeca Centrum Studiów Globalnych. Sama Czeska Akademia Nauk twierdzi, że Zemanek nigdy oficjalnie nie był w Centrum zatrudniony, ale być może współpracował „zewnętrznie z jednym z instytutów".

Zemanek, tak jak Hrubec, związany jest też z chińskim think tankiem Instytutem China-CEE.

Ale Zemanek jest szczególnie znany z tego, że w przeszłości był skazany za antysemickie wypowiedzi i głośno popiera politykę Putina, m.in. aneksję Krymu przez Rosję.

Sprawa czeskiego naukowca zaangażowanego w działalność na rzecz komunistycznego reżimu w Chinach ma swój happy end. Po artykułach w czeskiej prasie przedstawiającej, jak niebezpieczna była ta aktywność dla Czech, Hrubec stracił pracę w Czeskiej Akademii Nauk. Jednak ten przypadek to tylko kropla w morzu zagrożenia, bo jak piszą Clive Hamilton i Mareike Ohlebrg w wydanej w ubiegłym roku książce pt. „Ukryta ręka – w jaki sposób Komunistyczna Partia Chin przekształca świat"[4]: „Różne chińskie agencje wywiadowcze przez lata kultywowały relacje na zachodnich uniwersytetach i think tankach. Czeski przykład potwierdza, że robiły to głównie po to, by zintensyfikować działania chińskich machin propagandy i wpływów. ■

[4] „Hidden Hand – exposing how Chinese Communist Party is reshaping the world"

eprasa.pl 780403eca0

Olga Doleśniak-Harczuk



Wiele hałasu o federalizm

Skandal! Niemcy chcą nam zaprowadzić europejskie państwo związkowe! Jak mogli nas wpuścić w takie maliny? Mniej więcej w ten sposób odbieram komentarze, jakie padły po upublicznieniu umowy koalicyjnej spisanej przez SPD, FDP i Zielonych. I na usta ciśnie mi się jedno pytanie: Czego się Państwo spodziewali? Czy któraś z koalicyjnych partii nowo powstającego rządu niemieckiego dawała kiedykolwiek sygnały zdradzające wyjątkowe przywiązanie do koncepcji „Europy ojczyzn"? Nie? Więc skąd to oburzenie?

Zacznijmy od początku. Jak socjaldemokraci, Zieloni i liberałowie wyobrażają sobie (trzymając się tekstu umowy koalicyjnej) unijne państwo federalne?

„Bundesstaat", czyli „państwo związkowe"

W rozdziale zatytułowanym „Przyszłość Unii Europejskiej" koalicjanci powołując się na inicjatywę znaną jako „Konferencja w sprawie przyszłości Europy" (szereg paneli i inicjatyw tzw. obywatelskich w UE, gdzie teoretycznie każdy może wziąć udział w kształtowaniu przyszłości wspólnoty), postulują „niezbędne zmiany traktatowe" i opowiadają się za postępem w tworzeniu jednego, europejskiego państwa federalnego; pada tam też termin „Bundesstaat", czyli „państwo związkowe". Projekt ma być zwieńczeniem obrad „Konferencji w sprawie przyszłości Europy", a ta z kolei zgodnie z agendą upubliczni swoje wnioski wiosną 2022 roku, czyli mamy jeszcze kilka miesięcy, by poobserwować prace, spotkania i sprawozdanie tego gremium. A biorąc pod uwagę, że jednym z członków trzyosobowego zarządu konferencji jest Guy Verhofstadt, zagorzały zwolennik federalizacji UE, to wnioski raczej będą odważne i bardzo po myśli federalistów.

I teraz tak, zgodnie z tekstem umowy koalicyjnej, zakończenie prac komisji ma „zaowocować konwentem konstytucyjnym", czyli w perspektywie pojawia się znowu projekt wspólnej konstytucji dla UE. Konstytucji jednego państwa unijnego. To państwo ma z kolei być zorganizowane w oparciu o zasadę pomocniczości (subsydiarności) i proporcjonalności, obie zasady są zresztą w UE dobrze znane, a całość wyrastać z Karty Praw Podstawowych. Koalicjanci chcą wzmocnienia Parlamentu Europejskiego w zakresie prawa do inicjatywy ustawodawczej i pierwszeństwa metody wspólnotowej. To z grubsza. Co do szczegółów, koalicjanci w swoich planach na współpracę i przepływ informacji między Parlamentem Europejskim a niemieckim sięgają do zapisów niemieckiej konstytucji, ponadto popierają jednakowe prawo wyborcze w UE itd. Dopełnieniem, a może na razie wstępem do Unijnej Federacji, jest zapis umowy dotyczący „praworządności", do czego za chwilę przejdę. Pozostając na razie przy planach federalizacji UE, aż korci, by ten pasaż porównać z zapisem, jaki znalazł się

eprasa.pl 780403eca0

w programie wyborczym FDP przed wyborami do Bundestagu 2021 roku.

W programach o federalizacji i praworządności

Co tam znajdziemy? Pełną i jasną receptę na sfederalizowanie UE, tu cytat: „My, Wolni Demokraci, chcemy zwołać Konwent Konstytucyjny po zakończeniu prac »Konferencji w sprawie przyszłości Europy«. Konwent ten powinien nadać zdecentralizowanej i federalnej Unii prawnie wiążącą konstytucję z katalogiem praw podstawowych i silnymi instytucjami. Obywatele UE mają zdecydować o nowej konstytucji europejskiej we wspólnym referendum europejskim i w ten sposób stworzyć podstawę dla federalnego i zdecentralizowanego europejskiego państwa związkowego. Ta ścieżka jest deklarowanym kontrmodelem dla powrotu Europy do koncepcji drobnej państwowości z jednej strony lub stworzenia scentralizowanego europejskiego superpaństwa z drugiej. Do tego czasu chcielibyśmy, aby integracja europejska była pogłębiona równolegle przez Europę różnych prędkości". Koniec cytatu.

Widać w tym fragmencie silną inspirację programem wyborczym zarówno FDP, jak i Zielonych, z małym udziałem SPD. Owszem, socjaldemokraci postulowali jednorodne prawo wyborcze (co również znalazło się w umowie koalicyjnej) i podkreślali wagę „Konferencji w sprawie przyszłości Europy", ale bez konkretów. Zieloni okazali się już śmielsi. Oto, co znalazło się w ich programie, w rozdziale zatytułowanym „Dalej budujemy Europę":

„W nadchodzących miesiącach »Konferencja w sprawie przyszłości Europy« stanowi doskonałą okazję do wzmocnienia europejskiej sfery publicznej i opracowania reform UE wspólnie z jej obywatelami. Chcemy to wykorzystać w kolejnej fazie integracji europejskiej w drodze ku Federalnej Republice Europejskiej i sformułować europejskie odpowiedzi na główne wyzwania. Wyniki konferencji mają być wdrażane w ramach prawodawstwa europejskiego aż do zmian traktatowych". Dalej, w kolejnym rozdziale, Zieloni piszą, że chcieliby „europejskiej wspólnoty obywateli".

Tyle na ten temat komunikowano w programach. Kierunek zasygnalizowany więc w umowie koalicyjnej nie jest i nie powinien być dla nas źródłem zaskoczenia, tak samo jak postulat zwiększenia presji na państwa UE będące z Brukselą w sporze dotyczącym tzw. kwestii praworządności. Sprawie poświęcono również oddzielny rozdział w umowie i jest to powtórzenie zarówno postulatów programowych wszystkich trzech partii koalicyjnych, jak i inicjatyw podejmowanych przez te partie w Bundestagu w ciągu ostatniej kadencji.

Szpilka wbita Polsce

W rozdziale o praworządności słowo „Polska" nie pada ani razu, ale trudno interpretować wezwanie skierowane do Komisji Europejskiej jako strażniczki traktatów, by „bardziej spójnie i szybko wykorzystywała i egzekwowała istniejące instrumenty praworządności, w tym wyroki Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości na podstawie art.260 i 279 o funkcjonowaniu Unii Europejskiej" jako dobrą wróżbę dla Warszawy. I czytamy dalej: „W Radzie [Europejskiej] będziemy bardziej konsekwentnie egzekwować i dalej rozwijać stosowanie istniejących instrumentów na rzecz praworządności (dialog na temat praworządności, kontrola praworządności, mechanizm warunkowości, postępowania w sprawie uchybienia zobowiązaniom państwa członkowskiego, zalecenia i ustalenia w ramach procedury określonej w art. 7). [Ponadto] zgodzimy się na propozycje Komisji Europejskiej w sprawie planów Funduszu Odbudowy, jeśli zapewnione zostaną warunki takie jak niezawisłe sądownictwo. Wspieramy Komisję Europejską w dalszym opracowywaniu sprawozdania na temat praworządności poprzez zalecenia dla poszczególnych krajów i m.in. chcemy jeszcze bardziej wzmocnić ten proces dzięki niezależnej wiedzy fachowej. Jesteśmy zaangażowani i wspieramy przyszłe działania Komisji Europejskiej w zakresie postępowań przeciwko systemowym naruszeniom poprzez łączenie indywidualnych postępowań w sprawie naruszeń praworządności przeciwko państwu członkowskiemu. Chcemy, aby prawa wynikające z Karty Praw Podstawowych Unii Europejskiej podlegały w przyszłości pod ETS, nawet jeśli państwo członkowskie działa w ramach swojego prawa krajowego. W celu wzmocnienia ETS okres wyborów sędziowskich powinien zostać przedłużony do jednorazowego okresu dwunastu lat". To jest pewna zapowiedź przykręcania śruby nie tylko Polsce, lecz także Węgrom, znamy przecież kontekst i wiemy, że jeżeli wzywa się do tego typu działań, to raczej nie po to, by dyscyplinować Francuzów czy Holendrów. I tutaj też nie ma mowy o niespodziance. Kto śledził inicjatywy klubów parlamentarnych Zielonych i FDP w Bundestagu w poprzedniej kadencji, wie, o czym mowa. Tam było kilka bardzo ciekawych z polskiej perspektywy debat poświęconych sprawie Polski i tego, jak ją zdyscyplinować na forum UE.

To zaledwie dwa z wielu wątków umowy zawartej między partiami, które na początku grudnia 2021 roku przejmą stery w Berlinie. Umowy będącej skrajnie lewicową agendą i zapowiedzią presji na państwa, które jeszcze jej nie uległy. Z pewnością trzeba teraz bacznie śledzić wszelkie ruchy na forum „Konferencji w sprawie przyszłości Europy". Sądząc po nadziei pokładanej w tym formacie przez wszystkich koalicjantów, na wiosnę możemy spodziewać się kolejnej burzy. Tym razem już nie o zapisy niemieckiej umowy rządowej, lecz o postulaty płynące z samego serca Brukseli, a będące zbieżnymi z planami Berlina. Może warto zerwać z tradycją bycia notorycznie zaskakiwanym i przygotować się na ostrą batalię. ■

eprasa.pl 780403eca0

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Korea Południowa

Rząd Korei Płd. rozpoczął dyskusję społeczną na temat wprowadzenia przepisów zakazujących sprzedaży i spożywania psiego mięsa. Inicjatywa pojawiła się po tym, jak we wrześniu 2021 roku prezydent Moon Jae-in, miłośnik psów, zasugerował, że nadszedł czas, aby dokładnie rozważyć wprowadzenie zakazu konsumpcji i sprzedaży psiego mięsa.

W gospodarstwach na terenie całego kraju jest w tej chwili 1,5 mln psów hodowanych na pokarm, ale w ostatnich latach spada spożycie tego mięsa. Wynika to z faktu, że w Korei Płd. gwałtownie wzrosła liczba rodzin posiadających zwierzęta domowe, a w związku z tym podniosło się także zainteresowanie prawami i dobrostanem zwierząt.

Według danych, na które powołuje się Deutsche Welle, „w 2019 roku w Seulu było mniej niż 100 restauracji serwujących psy, a branża informowała, że sprzedaż spada aż o 30 proc. rocznie".

W Azji sprzedaż i konsumpcja psiego mięsa są nadal legalne w Chinach, choć i tu pojawiają się już kroki służące zmianie tego zwyczaju. Rok temu miasto Shenzhen w prowincji Guangdong wprowadziło zakaz jedzenia psiego mięsa.

Broniący konsumpcji psiego mięso w Państwie Środka powołują się często na starożytną tradycję. W Chinach jedzono psy ponad 2 tys. lat temu. Jednak są państwa w regionie, takie jak choćby Tajwan, w których także jedzono psie mięso i argumentowano to tradycją, lecz w końcu podjęto walkę z tym zwyczajem. Władze i organizacje broniące praw zwierząt przeprowadziły kampanie edukacyjne, a w 1998 roku uchwalono na Tajwanie prawo zakazujące uboju psów i kotów pod konsumpcję. W 2017 roku wyspa wprowadziła kary za jedzenie psów i kotów – od 1640 do 8200 dolarów. Prawodawca zakazał także wtedy ciągnięcia zwierząt na smyczy za samochodami i motocyklami, co niestety w wielu państwach w Azji nadal bywa formą ich „wyprowadzania na spacer".

Także w Hongkongu i Singapurze proceder konsumpcji psiego mięsa został zdelegalizowany w latach 50. ubiegłego wieku. Mieszkańcy Hongkongu są również coraz bardziej wyczuleni na krzywdę zwierząt. We wrześniu 2013 roku ponad tysiąc osób zgromadziło się pod siedzibą władz Hongkongu, domagając się egzekwowania prawa wobec osób maltretujących czworonogi. Protest odbył się po tym, jak w Internecie ukazały się zdjęcia 4-miesięcznego kota z odciętą łapką. Para odpowiedzialna za okaleczenie zwierzaka została najpierw aresztowana, ale zaraz potem wypuszczona, gdyż policja stwierdziła, że ma za mało dowodów na jej winę.

Hongkong

W Hongkongu, tak jak Chinach, władze podjęły walkę z pamięcią o masakrze na placu Tiananmen. Według doniesień hongkońskiego portalu Hong Kong Free Press (HKFP), biblioteki publiczne w Hongkongu w ciągu ostatnich 12 lat usunęły ze swoich półek 29 ze 149 tytułów poświęconych tamtym wydarzeniom. 26 z usuniętych pozycji jest w języku chińskim, a trzy w angielskim. Spośród 120 tytułów, które wciąż znajdują się w bibliotekach, tylko 26 stoi na półkach i jest natychmiast dostępnych do wypożyczenia. Pozostałe 94 są dostępne tylko na specjalne życzenie i są przechowywane w rezerwach książek poza budynkami bibliotek lub w sekcjach referencyjnych, w których można je przeczytać na miejscu, ale nie można ich wypożyczyć.

W nocy z 3 na 4 czerwca 1989 roku chińska armia użyła broni przeciwko tysiącom osób demonstrujących w Pekinie. Nigdy nie ogłoszono oficjalnego bi-

eprasa.pl 780403eca0

lansu zmarłych, ale według informacji odtajnionych w 2017 roku przez Brytyjskie Archiwum Narodowe, zostało zabitych co najmniej 10 tys. cywilów. Nigdy nie rozliczono winnych masakry.

W przeszłości w Hongkongu co roku upamiętniano te wydarzenia. Obchody były postrzegane jako papierek lakmusowy tego, czy miasto może chronić swoje wolności po przekazaniu go Chinom w 1997 roku. Jednak w ostatnich miesiącach grupa, która od dziesięcioleci organizowała coroczne czuwania przy świecach w rocznicę masakry, Hong Kong Alliance in Support of Patriotic Democratic Movements of China, została rozwiązana w wyniku śledztwa policyjnego, a kilku jej przywódców aresztowano. Niektórzy zostali oskarżeni na mocy nowego prawa dotyczącego bezpieczeństwa narodowego narzuconego Hongkongowi przez Pekin po protestach w 2019 roku.

Wśród książek poświęconych masakrze na Tiananmen, które zostały usunięte z hongkońskich bibliotek, są te, których autorami są przywódcy protestów z 1989 roku przebywający obecnie za granicą, i te wydane przez Hong Kong Alliance, w tym praca byłego szefa tej grupy, który został skazany na karę więzienia w zawieszeniu za udział w zeszłorocznym czuwaniu 4 czerwca.

Według Mak Hoi-wah, związanego z Hong Kong Alliance, władzom Chin i Hongkongu chodzi o „usunięcie z pamięci hongkończyków wszystkich historycznych zapisów, tak jakby wydarzenia z 1989 roku nigdy nie miały miejsca w Chinach albo nikt w Hongkongu w nich nie uczestniczył".

▶ Japonia–Korea Płd

W artykule, jaki ukazał się 25 listopada na portalu Diplomat, Yuki Tatsumi – dyrektor Programu Japońskiego w Stimson Center w Waszyngtonie zastanawia się, czy stosunki między dwoma ważnymi sojusznikami Stanów Zjednoczonych, Japonią a Koreą Płd., wrócą na właściwe tory. Te relacje zawsze „były skomplikowane, z niemal cyklicznymi wzlotami i upadkami. Przypływy i odpływy relacji są ściśle związane z historycznymi krzywdami, które istniały między dwoma krajami od czasu ich normalizacji dyplomatycznej" – pisze Tatsumi.

Za rządów prezydenta Moon Jae-ina w Korei Płd. mamy kolejne pogorszenie stosunków. Ostatnia odsłona dotyczy Dokdo (Takeshima), grupy wysp na Morzu Japońskim, które 1952 roku zostały zajęte przez Koreę Płd. utrzymującą obecnie na wyspie stały posterunek policji. Jest to przyczyną sporu między Japonią i Koreą Płd. W połowie listopada 2021 roku, gdy w Waszyngtonie na trójstronnych konsultacjach gościli wiceministrowie spraw zagranicznych Korei Płd. i Japonii, szef południowokoreańskiej policji odwiedził Dokdo. Wywołało to oburzenie Tokio, które odwołało wspólną z konferencję w USA swojego wiceministra z jego południowokoreańskim odpowiednikiem. „Epizod był przypomnieniem, że nie ma już nadziei na poprawę stosunków między Japonią a Koreą Południową, zanim Moon opuści urząd w maju 2022 roku" – czytamy w Diplomat.

Według Tatsumi, na razie słuchając kandydatów w nadchodzących wyborach prezydenckich, nie widać szans na poprawę relacji pomiędzy oboma krajami. „Lee Jae-myung, kandydat na prezydenta liberalnej Demokratycznej Partii Korei, z której pochodzi obecny prezydent Moon, powiedział, że jest przeciwny trójstronnemu sojuszowi USA–Japonia–Korea. [...] Yoon Seok-youl, kandydat konserwatywnej partii, powiedział, że zażąda od Japonii »szczerych przeprosin« w związku z problemami wojennymi. Krótko mówiąc, wydaje się, że ci dwaj kandydaci rywalizują o to, który z nich ma bardziej twardą pozycję w stosunku do Japonii".

Autorka artykułu w Diplomat wskazuje także na zmianę w nastawieniu Japonii. W przeszłości, gdy dochodziło do antyjapońskiej akcji lub oświadczeń Korei Płd. dotyczących kwestii historycznych, Tokio powtarzało najpierw przeprosiny i szukało okazji do naprawienia relacji. Jednak teraz nie czuje się już zobligowane, by tak postępować. Nie chce być pierwszym, który podejmuje działania na rzecz naprawy stosunków. Pokazuje, że jest „zmęczone przeprosinami", co, jak zauważa Tatsumi, wyczuwało się już wcześniej, ale nasiliło się za administracji Moona.

Brak nadziei na poprawę relacji Tokio i Seulu jest niepokojący, bo państwa te powinny wspólnie ze Stanami Zjednoczonymi skupić się na wspólnych zagrożeniach ze strony Chin i Korei Płn., a także na wyzwaniach, jakimi są m.in. stworzenie stabilnych łańcuchów dostaw i działania na rzecz ożywienia gospodarczego w erze po pandemii.

Według Yuki Tatsumi, wybrany właśnie premier Japonii, Fumio Kishida, może być dobrym partnerem dla nowego prezydenta Korei Płd., kimkolwiek on będzie, w zresetowaniu relacji. W 2015 roku Kishida negocjował i podpisał porozumienie w sprawie rozwiązania historycznego sporu o tzw. kobiety do pocieszania, czyli kobiety zmuszane do prostytucji pod japońską okupacją w czasie II wojny światowej. Umowa, na którą złożyły się przeprosiny premiera Japonii oraz wynoszący 1 mld jenów (8,3 mln USD) fundusz pomocowy dla wykorzystywanych seksualnie w czasie II wojny światowej kobiet, pomogła zażegnać trwające lata animozje i brak zaufania na linii Seul–Tokio, które niestety znowu odżyły. ■

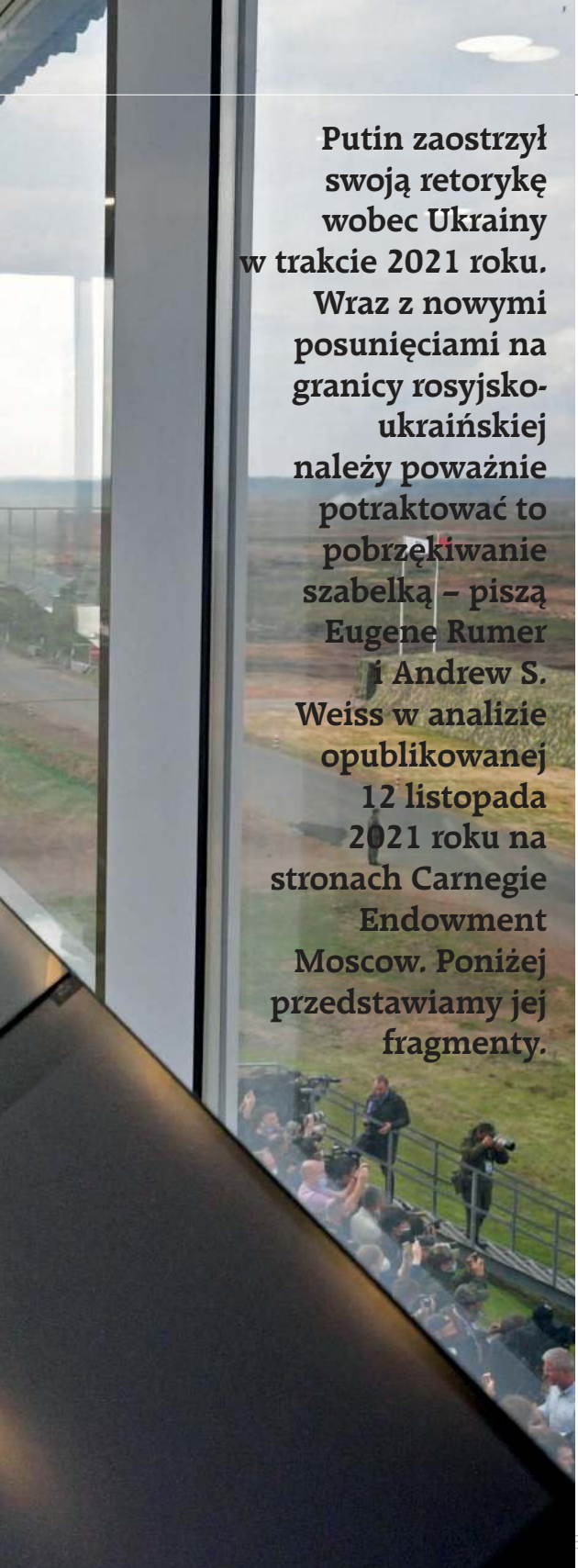
eprasa.pl 780403eca0

TŁUMACZYŁ I OPRACOWAŁ
Antoni Rybczyński



UKRAINA
– niedokończona sprawa Putina

eprasa.pl 780403ec30



Putin zaostrzył swoją retorykę wobec Ukrainy w trakcie 2021 roku. Wraz z nowymi posunięciami na granicy rosyjsko-ukraińskiej należy poważnie potraktować to pobrzękiwanie szabelką – piszą Eugene Rumer i Andrew S. Weiss w analizie opublikowanej 12 listopada 2021 roku na stronach Carnegie Endowment Moscow. Poniżej przedstawiamy jej fragmenty.

FOT. ALEXEI DRUZHININ/KREMLIN POOL/SPUTNIK/POOL/PAP/EPA

Czy rok 2021 zostanie zapamiętany jako ten, w którym prezydent Władimir Putin zrezygnował z rozmów z przywódcami Ukrainy i wykonał zdecydowany ruch, by siłą przywrócić ją w orbitę Rosji? W marcu i kwietniu tego roku wywołał poważne obawy przed wojną, ale z niewiadomych przyczyn nie zdecydował się na ponowną inwazję na bezbronnego, znacznie mniejszego sąsiada. Teraz Putin po raz kolejny przesuwa wojska w pobliże granicy z Ukrainą. Sekretarz stanu USA Anthony Blinken zasugerował, że Rosja może zastawić pułapkę na Ukrainę, która da Rosji pretekst do inwazji. Wytrawni obserwatorzy rosyjskiego wojska ostrzegają, że możliwość wybuchu wojny może być większa teraz niż na wiosnę. Putin zaostrzył również swoją retorykę wobec Ukrainy w licznych wystąpieniach publicznych w 2021 roku. Szeroko sugerował, że jego cierpliwość do Kijowa jest na wyczerpaniu. Uważny przegląd dotychczasowych działań rosyjskiego przywódcy w stosunku do Ukrainy sugeruje, że niemal wszystkie niezbędne elementy i uzasadnienia interwencji wojskowej są już na miejscu lub się do niego zbliżają. Zarówno krótko-, jak i długoterminowe wskaźniki sugerują, że Kijów i Waszyngton mają powody do obaw. [...]

Niedokończona sprawa

Trajektoria polityki wewnętrznej i zagranicznej rosyjskiego przywódcy sugeruje, że wkraczając w trzecią dekadę u steru władzy i zbliżając się do siedemdziesiątych urodzin, myśli on o swoim dziedzictwie. Dzięki zmianom konstytucyjnym wprowadzonym w 2020 roku nie ma formalnych ograniczeń, które uniemożliwiałyby mu rządzenie Rosją do 2036 roku, a może nawet dłużej. Jest jednak jeden poważny niedokończony element, którego wciąż brakuje w spisie dokonań Putina, jeśli ma on ugruntować swoją reputację jako przywódcy, który przywrócił Rosji dawną wielkość. Tą niedokończoną sprawą jest przywrócenie Rosji panowania nad kluczowymi częściami jej historycznego imperium. Żaden z punktów tego programu nie jest ważniejszy – lub bardziej kluczowy – niż powrót Ukrainy do tego imperium. Dla rosyjskiego prezydenta i jego ekipy odbudowa słowiańskiego serca dawnego imperium – w jakiejś formie, niekoniecznie jako ZSRS 2.0 – ma znaczenie nie tylko geopolityczne. Jest to również kwestia pokoleniowa, strategiczna i osobista. Coraz więcej dowodów wskazuje na to, że Putin był szczery, gdy mówił, że rozpad ZSRS był „największą katastrofą geopolityczną [XX] wieku". Powracał do tego tematu w takiej czy innej formie przy różnych okazjach na przestrzeni lat.

Pokoleniowa nostalgia i rozczarowania

Reżim sowiecki był dobry dla pokolenia Putina – to znaczy dla obecnego kierownictwa Kremla. Są to mężczyź-

30403eca0

ni po sześćdziesiątce i siedemdziesiątce, których rodzice należeli do „najwspanialszego pokolenia" Związku Sowieckiego, które walczyło, prawie przegrało, a następnie wygrało wojnę z nazistowskimi Niemcami. Sam Putin jest pod tym względem typowy: urodzony w powojennym Leningradzie (obecnie Sankt Petersburg) w rodzinie robotniczej o skromnych dochodach, dostał się na prestiżową uczelnię i rozpoczął obiecującą, zwłaszcza dla kogoś bez rodzinnych i politycznych koneksji, karierę w KGB, elitarnej instytucji i kluczowym filarze sowieckiego reżimu. Dostał nawet wyjazd za granicę – nie do kraju kapitalistycznego, tylko do Niemiec Wschodnich, ale i tak przyniósł mu on korzyści materialne niedostępne dla większości obywateli radzieckich. Wszystko to załamało się w 1991 roku, pozostawiając putinowskie pokolenie młodych urzędników państwowych w rozterce, tęskniących za powrotem do starych dobrych czasów stabilności, prestiżu i uznania ich kraju za supermocarstwo. Dla tego pokolenia impas z Zachodem nie zaczął się w 2014 roku, lecz sięga lat 60. XX wieku.

Pokoleniowa nostalgia za dawnym imperium ma jednak swoje trwałe uzasadnienie strategiczne, co sugeruje, że polityka Rosji wobec sąsiadów nie ulegnie radykalnej zmianie nawet po zejściu ze sceny pokolenia Putina. Głębia strategiczna – bufor między rosyjskim sercem a potężnymi europejskimi przeciwnikami – od dawna była krytycznym wymogiem bezpieczeństwa państwa rosyjskiego. Dążenie do osiągnięcia głębi strategicznej definiuje politykę Kremla od czasów Piotra Wielkiego, jeśli nie wcześniej. Głębia strategiczna uchroniła Rosję przed klęską w 1812 roku, gdy wojska Napoleona zdobyły Moskwę, i w 1941 roku, gdy wojska Hitlera maszerowały niemal do bram stolicy Związku Radzieckiego. Wraz z upadkiem ZSRS i ekspansją NATO, Rosja utraciła tę strategiczną głębię. Odzyskanie jej jest podstawowym wymogiem rosyjskiej polityki bezpieczeństwa, która przetrwała wieki, rewolucje i zmiany rządów. Z czasem postęp w technologii wojskowej i narzędziach cybernetycznych może wpłynąć na znaczenie, jakie rosyjscy przywódcy przypisują głębi strategicznej, ale ogólnie rzecz biorąc, prawdopodobnie pozostanie ona jednym z najważniejszych priorytetów.

Klejnot w koronie

Żadna część imperium rosyjskiego i sowieckiego nie odegrała większej i ważniejszej roli w rosyjskiej strategii wobec Europy niż klejnot w koronie: Ukraina. Kraj ten jest kluczowy dla rosyjskiego bezpieczeństwa z wielu powodów: jego wielkość i populacja, położenie pomiędzy Rosją a innymi głównymi potęgami europejskimi, rola centrum imperialnej gospodarki rosyjskiej i sowieckiej, głębokie kulturowe, religijne i językowe związki z Rosją, a zwłaszcza historia Kijowa jako kolebki ruskiej państwowości. Żadna część Związku Sowieckiego nie odegrała większej roli w jego rozpadzie niż Ukraina. Ogłoszenie przez Ukrainę niepodległości w następstwie nieudanego puczu w sierpniu 1991 roku, potwierdzone w referendum z 1 grudnia 1991 roku, oznaczało koniec Związku Sowieckiego. Związek ten nie mógł trwać bez Ukrainy, najbliższego i najważniejszego partnera Rosji w konstrukcji ZSRS. Warunki rozwodu zostały sfinalizowane tydzień później przez przywódców Rosji, Ukrainy i Białorusi.

Tym razem to sprawa osobista

Ukraina jest zatem miejscem zarówno pokoleniowego, jak i strategicznego oddziaływania rosyjskiej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Dla Putina jest to także sprawa osobista. A to dlatego, że w ciągu dwóch dekad u steru władzy wielokrotnie próbował i ponosił porażki, aby przywrócić Ukrainie należne jej, jego zdaniem, miejsce w orbicie Rosji. Pierwsza okazja ku temu nadarzyła się w 2004 roku, kiedy Ukraina wybierała nowego prezydenta. Wybór sprowadzał się wówczas do dwóch kandydatów – skłaniającego się ku Zachodowi Wiktora Juszczenki i skłaniającego się ku Rosji Wiktora Janukowycza. Kreml rozpętał kampanię propagandową na rzecz Janukowycza. Na kilka tygodni przed głosowaniem Juszczenko został otruty dioksynami, omal nie zmarł i został poważnie oszpecony. Sprawca zamachu na jego życie nigdy nie został jednoznacznie ustalony. Sfałszowane wybory zostały zniweczone przez „pomarańczową rewolucję" i ostatecznie rozpisano nowe głosowanie, które wygrał Juszczenko. Była to poważna porażka Putina, który osobiście interweniował, aby przechylić szalę na korzyść Janukowycza.

Putin prawie się jednak zemścił w 2010 roku, w kolejnych wyborach prezydenckich na Ukrainie, które wygrał jego człowiek Janukowycz. Zwycięstwo to okazało się jednak rozczarowaniem. Janukowycz stał się frustrującym partnerem dla Putina. Zaangażował się m.in. w negocjacje z UE na temat szeregu ważnych umów, które miały zacieśnić więzi Ukrainy z Europą, podczas gdy Putin próbował wciągnąć Ukrainę z powrotem w orbitę gospodarczą i polityczną Rosji. Ostateczny cios ambicjom Putina zadano w 2014 roku, kiedy to Janukowycz, w obliczu masowych protestów, uciekł z kraju i do władzy doszedł nowy, prozachodni rząd. Posunięcia Putina, czyli aneksja Krymu i rozpętanie wojny na wschodniej Ukrainie, wzmocniły go w kraju i zapewniły taktyczną przewagę. Jednak ze strategicznego punktu widzenia była to porażka wzmacniająca prozachodnią orientację Ukrainy i międzynarodową izolację Rosji. Nie ma wątpliwości, że Ukraina jest najważniejszą niedokończoną sprawą, nad którą rosyjski przywódca musi zastanawiać się do końca kadencji, sprawą kluczową dla oceny jego dziedzictwa.

eprasa.pl 780403eca0

Moment zwrotny?

Obsesja Putina na punkcie Ukrainy osiągnęła w 2021 roku bezprecedensowy poziom. W ciągu całego roku jego wypowiedzi nabrały ostrości, jakiej nie obserwowano od 2014 roku. W lipcu opublikował on długą rozprawę o Ukrainie, która była niczym innym jak historycznym, politycznym i bezpieczeństwa uzasadnieniem inwazji na Ukrainę – jeśli i kiedy będzie to konieczne. Istotę tego długiego artykułu można sprowadzić do kilku kluczowych punktów: – Ukraina nie jest i nigdy nie była niepodległym państwem;

– Ukraina jest niezbywalną częścią Rosji, pozbawioną odrębnej tożsamości etnicznej, kultury, religii i języka – sama jej nazwa pochodzi od rosyjskiego słowa „peryferia";

– terytorialnie, to, co jest obecnie niepodległą Ukrainą, nie ma żadnych podstaw w historii i składa się z ziem nabytych przez Imperium Rosyjskie i Związek Sowiecki;

– Ukraina zawsze prosperowała, gdy była częścią Rosji i cierpiała, gdy nią nie była;

– niepodległość Ukrainy zawsze była inspirowana i sponsorowana przez wrogów Rosji, którzy używali jej jako broni przeciwko Rosji.

Wypowiedzi Putina od czasu opublikowania tej żałośnie niedokładnej reinterpretacji historii Ukrainy i jej relacji z Rosją odzwierciedlały nowe poczucie pilności, którego brakowało w jego wcześniejszych wypowiedziach na ten temat. W ciągu ostatnich kilku miesięcy rosyjski prezydent określił działania NATO na Ukrainie i wzrost ukraińskiego potencjału wojskowego jako zagrożenie dla rosyjskiego bezpieczeństwa i „czerwoną linię". Trudno znaleźć inny przypadek, w którym rosyjski przywódca użył tego ostatniego określenia w odniesieniu do Ukrainy lub w innych kontekstach. Retoryka Putina przeciwko Ukrainie jako narzędziu wrogów Rosji została podchwycona i wzmocniona przez cały reżim. Propaganda sponsorowana przez państwo sięga od nocnych ataków na Ukrainę w rosyjskiej telewizji po niedawny artykuł byłego prezydenta Rosji Dmitrija Miedwiediewa. Jak napisał Miedwiediew, negocjacje z ukraińskimi przywódcami nie mają już sensu, ponieważ są oni marionetkami w rękach zachodnich sponsorów, zainteresowanych Ukrainą jedynie jako narzędziem w ich wysiłkach zmierzających do powstrzymania i zaszkodzenia Rosji. Zaostrzenie retoryki Kremla, w połączeniu z ostatnimi doniesieniami o ruchach rosyjskich wojsk na granicy z Ukrainą, rodzi niepokojące (ale aż nazbyt znajome) pytanie: Czego chce Putin?

To nie kolejny zamrożony konflikt

Polityczne rozwiązanie konfliktu na wschodzie Ukrainy stało się nieosiągalne, ponieważ interpretacja przez Moskwę naprędce uzgodnionych w 2015 roku w Mińsku warunków zawieszenia broni okazała się nie do przyjęcia dla Kijowa i *vice versa*. Wysiłki dyplomatyczne na wysokim szczeblu, takie jak proces normandzki prowadzony przez Francję i Niemcy, konsekwentnie nie osiągały swoich celów. Amerykańsko-unijne sankcje nie zdołały zmienić strategicznych kalkulacji Rosji w sprawie Ukrainy. Wszystkie te czynniki razem wzięte sprawiły, że niektórym obserwatorom łatwo było dojść do wniosku, że w najbliższej przyszłości nic w impasie na wschodzie Ukrainy nie ulegnie zmianie i że będzie on w mniejszym lub większym stopniu przypominał inne postsowieckie zamrożone konflikty na peryferiach Rosji. Ale Ukraina nie jest jak każdy inny kraj byłego Związku Sowieckiego. Patrząc z Kremla, sytuacja we wschodniej Ukrainie nie jest powodem do samozadowolenia. Putin i inni rosyjscy przywódcy wciąż wydają się szczerze zaniepokojeni możliwością, że Ukraina może w końcu wstąpić do NATO, nawet jeśli zachodni przywódcy, tacy jak Biden, powiedzieli, że w tej kwestii nie ma o czym mówić. Dla Kremla bardziej istotny jest fakt, że ukraińskie zdolności obronne będą prawdopodobnie stale rosły bez względu na to, co stanie się na drodze do członkostwa w NATO.

Równie niepokojąca dla Kremla jest perspektywa jakościowej poprawy ukraińskiego aparatu bezpieczeństwa w takich dziedzinach, jak wywiad, cyberprzestrzeń i polityczna dywersja wobec Rosji, a wszystko to dzięki hojnemu finansowaniu i stałemu partnerstwu ze Stanami Zjednoczonymi, Wielką Brytanią i innymi krajami zachodnimi. Niedawne użycie dostarczonych przez Turcję uzbrojonych bezzałogowych statków powietrznych pokazało, że Ukraina jest w stanie wykorzystać nowe możliwości w sposób, który zwróci uwagę Moskwy. Rola Turcji jest szczególnie wrażliwa, biorąc pod uwagę jej zaangażowanie w niepowodzenia na polu bitwy, jakich od 2019 roku doznały wspierane i uzbrajane przez Rosję siły w Libii, Syrii i Górskim Karabachu. Po tym, jak niemal zniknęło podczas rewolucji na początku 2014 roku, wyłania się silniejsze państwo ukraińskie. Pomimo swoich ograniczeń, ukraiński opór wobec kremlowskiej interwencji wojskowej i kampanii nacisku uniemożliwił Moskwie kontrolowanie więcej niż tylko skromnej części regionu Donbasu i Półwyspu Krymskiego. [...]

Myśląc o tym, co nie do pomyślenia

Ryzykowne byłoby zakładanie, że Putin pogodził się ze *status quo* lub że nie jest skłonny do ponownych nacisków w sprawie Ukrainy. Straszenie wojną wiosną 2021 roku i incydent w Cieśninie Kerczeńskiej w 2018 roku obnażyły granice zachodniego wsparcia dla Ukrainy i posłużyły jako żywe ilustracje faktu, że ani NATO jako całość, ani Stany Zjednoczone, ani żaden inny pojedynczy członek Sojuszu nie jest gotów

eprasa.pl 780403eca0

ryzykować wojny z Rosją o Ukrainę. Poza tym dokonania zachodnich analityków w latach 2013–2014 odnośnie do działań Kremla na Ukrainie powinny budzić pokorę co do naszej zdolności przewidywania działań Rosji. Decyzja Putina o aneksji Krymu i rozpoczęciu niezadeklarowanej, brutalnej wojny w Donbasie wykraczała daleko poza to, czego większość obserwatorów, w tym my, kiedykolwiek się spodziewała. Ponadto, choć Putin często sprawia wrażenie zimnego i wyrachowanego, nie należy zapominać o jednym aspekcie jego temperamentu – skłonności do działań emocjonalnych i gwałtownych reakcji w sposób, który nie zawsze ma „sens" dla zewnętrznych obserwatorów. Z jednej strony, Putin niewątpliwie myśli o swoim dziedzictwie jako jednego z najbardziej wpływowych władców Rosji; będzie chciał, aby sytuacja na Ukrainie została rozwiązana, zanim odejdzie, kiedykolwiek to nastąpi. Z drugiej strony, Zełenski podjął szereg działań od 2020 roku – na przykład rozprawił się z bliskim przyjacielem Putina Wiktorem Medwedczukiem i jego wpływami w mediach – które z pewnością rozgniewały Putina na poziomie zarówno osobistym, jak i geopolitycznym. Zełenski zakpił również z Putina i udzielił kąśliwej odpowiedzi na jego długą rozprawę o Ukrainie. Niewykluczone, że Ukraina i jej partnerzy już przekroczyli niektóre z „czerwonych linii" Putina, być może nieświadomie.

Jeśli perspektywa ponownej inwazji Rosji na Ukrainę jest realna, a celem strategicznym jest zmuszenie Kijowa do politycznej i geopolitycznej kapitulacji, to jak Putin zamierzałby to osiągnąć? Jakie cele operacyjne postawiłby sobie do osiągnięcia? Istnieją cztery potencjalne szerokie obszary, w których Kreml mógłby dążyć do przełamania *status quo*, odwrócenia negatywnej trajektorii, na której znajdują się wskazane powyżej rosyjskie interesy, i spróbować osiągnąć swój cel, jakim jest bardziej ustępliwa Ukraina. Zostały one wymienione poniżej w kolejności od najbardziej prawdopodobnych do najmniej prawdopodobnych oraz pod względem wagi związanych z nimi kosztów.

1. Ograniczenie obcej wojskowej aktywności

W ostatnich miesiącach retoryka Putina zaczęła przedstawiać eksploatację lub wchłanianie (po rosyjsku освоение) terytorium Ukrainy przez wrogie, obce mocarstwa jako niedopuszczalne zagrożenie dla bezpieczeństwa Rosji. Jednak jest mało prawdopodobne, aby Stany Zjednoczone i ich sojusznicy zgodzili się na wynegocjowanie wyraźnych ograniczeń co do tego, co mogą, a czego nie mogą robić na Ukrainie. Nie pozwolą oni Rosji na wyznaczenie Ukrainy jako strefy zamkniętej lub na nałożenie ograniczeń na rodzaje broni, które mogą dostarczać jej wojsku. Mimo to Moskwa może próbować wykorzystać groźbę rozmieszczenia wojsk i inne formy nacisku, które nie wymagają bezpośredniej interwencji, do sztucznego podniesienia napięcia w regionie i wokół niego, a także sprawić, że partnerzy Ukrainy będą bardziej niezdecydowani i ostrożni w podejmowaniu ryzyka. [...]

2. Siłowa implementacja porozumień mińskich

Irytacja Kremla siedmioletnim brakiem implementacji porozumień mińskich, które zostały narzucone Kijowowi pod lufami karabinów, może doprowadzić do użycia siły, aby zmusić Kijów do realizacji postanowień porozumień, które od dawna są politycznie niewykonalne dla ukraińskich przywódców. Rosyjska wizja pełnej implementacji porozumień mińskich zakłada w szczególności szereg posunięć zmierzających do federalizacji Ukrainy, przyznania daleko idącej autonomii kontrolowanym przez Rosję „państewkom" w Donbasie, a tym samym formalnego pozbawienia Ukrainy statusu neutralnego i być może zakończenia jej istnienia jako suwerennego państwa. (Moskwa ma słabo zakamuflowane nadzieje, że inne regiony Ukrainy będą dążyć do wynegocjowania podobnych porozumień z rządem centralnym). [...]

3. Budując lądowy most

We wcześniejszych fazach konfliktu pojawiały się spekulacje, że Moskwa może próbować rozszerzyć kontrolowane przez siebie terytorium. Dyskusja skupiała się na możliwym przejęciu: kanału z czasów sowieckich, który dostarcza kluczowe zasoby wodne na Półwysep Krymski, portowego miasta Mariupol lub pozostałego terytorium kontrolowanego przez Ukrainę wzdłuż wybrzeża Morza Azowskiego aż do Krymu, które mogłoby stworzyć „most lądowy" na półwysep. [...]

4. Atak na pełną skalę

Z publicznie dostępnych ocen wynika, że ukraińskie wojsko miałoby ogromne trudności z obroną przed jakąkolwiek rosyjską operacją wojskową na dużą skalę. [...] Niektórzy analitycy sugerują, że Kreml mógłby przeprowadzić szybką napaść wojskową, aby złamać kręgosłup ukraińskiej armii i zmusić ją do odwrotu za Dniepr. W ten sposób Kreml uzyskałby kontrolę nad tym, co powszechnie określa się mianem „lewobrzeżnej Ukrainy", w tym nad historyczną częścią Kijowa, która w ocenie Putina stanowi niezbywalną część wielkiego państwa rosyjskiego. Przypuszczalnie Kreml mógłby nawet spróbować zainstalować w Kijowie marionetkowy rząd i ogłosić, że „misja została wykonana". [...] ■

eprasa.pl 780403eca0

Tomasz Sakiewicz

W oczekiwaniu na wojnę

Wszelkie twierdzenia o końcu historii, dojściu ludzkości do momentu, w którym pewne rzeczy są niemożliwe, zwykle okazywały się kompromitujące dla ich autorów. W 1938 roku nikt nie wierzył w kolejną awanturę militarną. Po wielkiej wojnie wydawało się oczywiste, że następna nadejść nie może. Przyszła rok później i sprawiła, że wielką wojnę nazwano pierwszą, a następną – drugą. Niestety, arytmetyka zna kolejne liczby, które mogą opisywać straszne wydarzenia, i to jest najbardziej okrutne doświadczenie historii.

Czy Polska jest zupełnie bezpieczna? To zależy, przed jakim zagrożeniem. Jedenaście lat temu na oczach świata zamordowano polskiego prezydenta i prawie stu przedstawicieli naszego państwa. To, że świat, nawet sojusznicy, nic nie zrobił, mnie nie dziwi. Zdumiewające było, że pogodziła się z tym większość polskich elit. Jako państwo okazaliśmy się tak słabi, że poza wyjątkami brakowało głosu protestu, gdy fałszowano śledztwo albo zastraszano świadków.

Polska od tej pory się zmieniła. Zaczęliśmy powoli stawiać na ludzi, którzy dbają o nasze interesy, a przede wszystkim nie sprzedadzą nas pierwszego dnia potencjalnym okupantom. To się nie podoba ani w Moskwie, ani w Berlinie. Przykład Polski staje się zaraźliwy dla wielu naszych sąsiadów. Można wybić się na niepodległość i z tego korzystać. Zawsze będzie to budziło opór największych, przede wszystkim Rosji i Niemiec. Nikt nie lubi konkurencji, szczególnie pod swoim okiem. Doktryna rosyjska jest tu naprawdę niebezpieczna. Moskwa najpierw uznaje cudzie terytorium za swój obszar wpływów, a potem go broni, bo to jest „ich obszar". Obrona polega na podboju i mordowaniu stawiających opór.

Niemcy potrzebują więcej hipokryzji. Opakowują próby dominacji pięknymi hasłami, na przykład o jedności Europy. Ile jest to warte, przekonaliśmy się przy Nord Stream.

Czy więc grozi nam agresja militarna? Moim zdaniem jeszcze nie. Nie dlatego, że jest to niemożliwe, lecz dlatego, że w tej chwili nieopłacalne. Rosja musi najpierw rozwiązać problem Ukrainy, a Kaukaz też staje się wyzwaniem wobec rosnących aspiracji Turcji. Wojna z Polską to być może jednak starcie z całym NATO. Łatwo wtedy o globalną katastrofę, a trudno o większe zdobycze. Co innego Ukraina. W głowach władców z Kremla to zdobycz możliwa. Rosjanie mogą ciąć Ukrainę po kawałku, a jeżeli ta się zachwieje, ustanowić tam znowu swoje rządy. Mają tylko jeden problem: Ukraińcy także stali się nieprzewidywalni. Nikt na świecie nie jest w stanie powiedzieć, jaki realnie stawią opór. Nie wiadomo też do końca, jaka będzie reakcja Zachodu na agresję. Z pewnością będzie ona po części funkcją oporu Ukrainy.

Putin, aby odzyskać imperialność Rosji, musi Ukrainę podbić. To czyni cały nasz region bardzo niestabilnym. Nie ustabilizuje go żaden wariant polityki niemieckiej czy rosyjskiej. Może tego dokonać jedynie silny sojusz państw wokół Polski, wzmocniony wsparciem USA i Wielkiej Brytanii. Tylko tak na dłuższą metę można zachować pokój. Wszelkie inne rozwiązania to powtórki z krwawej historii. ■

PRZYKŁAD POLSKI STAJE SIĘ ZARAŹLIWY DLA WIELU NASZYCH SĄSIADÓW. MOŻNA WYBIĆ SIĘ NA NIEPODLEGŁOŚĆ I Z TEGO KORZYSTAĆ. ZAWSZE BĘDZIE TO BUDZIŁO OPÓR NAJWIĘKSZYCH, PRZEDE WSZYSTKIM ROSJI I NIEMIEC.

eprasa.pl 780403eca0

Prezentami rządzisz

Nowy superpakiet ze sportem już za 60 zł/mies.

Dekoder polsat box I 4K lite **za 1 zł**.

Na start
3 miesiące
pełnej oferty TV bez opłat



polsat sport premium





polsat box

Wybierz swoje wszystko

TV satelitarna TV kablowa IPTV

Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i kablowej IPTV przy umowach na pakiet M Sport ze zobowiązaniem od 60 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera oraz opłat za Internet. Technologia kablowa IPTV działa z Internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange i wymaga łącza o min. prędkości 8 Mb/s dla kanałów w jakości HD i 25 Mb/s dla kanałów w jakości 4K na dekoder. „Od 1 zł" – opłata uiszczana przy podpisaniu umowy dotyczy aktywacji i udostępnienia dekodera. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl LaLiga Santander w ELEVEN SPORTS | Zdjęcia: Getty Images. Oferta ważna na dzień 19.11.2021 r.